Szkice i drobiazgi historyczne

Jan Korwin Kochanowski

J. K. KOCHANOWSKI

SZKICE I DROBIAZGI
HISTORYCZNE

SERYA DRUGA

TREŚĆ:

NAJNOWSZE KIERUNKI W HISTORYOZOFII A WSKAZANIA HISTORYOGRAFII NAUKOWEJ. — PRZYCZYNKI DO DZIEJÓW ROZWOJU POJĘĆ MORALNYCH NA TLE ZABYTKÓW JĘZYKA POLSKIEGO — ROZWÓJ DZIEJOPISARSTWA POLSKIEGO W DRUGIEJ POŁOWIE XIX WIEKU — KMIECIE, KARTA Z DZIEJÓW WŁOŚCIAŃSTWA POLSKIEGO — KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLĘCIEM (SZKIC DZIEJÓW ŁODZI I JEJ OKOLIC) — KONGRES LONDYŃSKI MIĘDZYNARODOWEGO INSTYTUTU SOCYOLOGII W PARYŻU — JAKÓB CARO — FRANCISZEK PIEKOSIŃSKI — Z KONKLAWE I Z KORONACYI PIUSA X-GO — Z WYCIECZKI PO KRAJU (ŚW. KRZYŻ, OPATÓW, SANDOMIERZ) GARŚĆ WRAŻEŃ.



WARSZAWA
NAKŁAD KSIĘGARNI E. WENDE I SP.
(T. HIŻ I A. TURKUŁ)
1908

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Zbiór niniejszy, serya druga «Szkiców i drobiazgów historycznych», jest przedrukiem artykułów, pisanych w latach 1903—1907 i zamieszczonych w tym okresie, z wyjątkiem szkicu III-go, w różnych czasopismach i wydawnictwach warszawskich.

Nie weszły tu studya, traktujące swój przedmiot w sposób bardziej wyczerpujący, lecz przeważnie utwory mniejsze o charakterze szkicowym.

Drukowały je (po raz pierwszy) z kolei: *Myśl*, księga zbiorowa, wydana staraniem redakcyi «Ogniwa» (szkic I.), *Myśl Polska*, tygodnik poświęcony zagadnieniom życia narodowego (szkic II.), *Wielka Encyklopedya Powszechna Ilustrowana* (szkic IV.), *Biblioteka Warszawska* (szkic V. i IX.), *Kuryer Warszawski* (szkic VI. i VIII.), *Przegląd Historyczny* (szkic VII.) i *Goniec* (szkic X.).

Szkic III-ci, drukowany dotąd tylko po francusku, ukazuje się tutaj po raz pierwszy w języku polskim.

Pierwodruki wszystkich tych artykułów uległy w wydaniu obecnem pewnym zmianom.

Warszawa, dnia 15 września 1907 r.

Autor.

NAJNOWSZE KIERUNKI W HISTORYOZOFII
A WSKAZANIA HISTORYOGRAFII NAUKOWEJ.

Wiele było, jest i będzie określeń historyi i jej zadań, ale żadne z nich — najgłębsze nawet — nie osłabi w niczem powagi prostych słów Rankego: *wie es eigentlich gewesen*...

Postulaty owego »jak było?« mogą i muszą oczywiście rozwijać się w nieskończoność, ale — »jak było?« pozostanie mimo to sobą i wszystko, co »było«, — nawet okruchy i źdźbła najniklejsze, winny w historyi posiadać zawsze przewagę stanowczą nad zjawiskami, rzekomo najwspanialszemi nawet, jakich, jako istotnie »byłych«, w sposób krytyczny wykazać niepodobna. Naukowe kryteryum dziejopisarskie jest tedy proste i jasne, a tylko to, co mu odpowiada, za nabytek rzetelny właściwej gałęzi wiedzy uważane być może. — Pomijając dociekania nad istotą krytyki i »prawdą«, jaką ona osiągnąć może, powiemy krótko, że o ścisłości możliwej każdego kryteryum naukowego i o wartości otrzymywanych przez nie rezultatów, stanowić może tylko i jedynie poczucie gromadne specyalistów — umysłów najgłębiej z rzeczą obeznanych... Spra-

1*

wdzianowi temu daleko do ideału, — wiadomo jednak, że lepiej jest wrogiem dobrego.

Wobec trudności olbrzymich, jakie towarzyszyć zwykły każdemu zadaniu bardziej wielostronnego określenia charakteru danego zjawiska dziejowego, w sposób z nauką [1]), t. j. z badaniem metodycznem zgodny, każdy niemal specyalista odczuwa lęk zasadniczy przed uogólnianiem szerokiem spostrzeżeń swoich — jakby w obawie popełnienia niewątpliwego błędu.

Zasada takiego poczucia znajduje w stanie rozwijającej się wciąż, a wciąż jeszcze ułomnej nauki, swoje pełne usprawiedliwienie... Jakżeż tedy przedstawić się mogą na tle takim wszelkie lotne... zofie, do jakich w pierwszym rzędzie należy najlotniejsza ze wszystkich bodaj — historyozofia, będąca — jakby specyalnością uogólniania spostrzeżeń (przeważnie »imponujących«, a najczęściej całkiem podmiotowych) z zakresu historyi?...

Możnaby wręcz zapytać, czy ma ona dzisiaj jakąkolwiek racyę bytu naukowego, gdyby nie zawsze jednaka, a niewątpliwa jej zasługa uboczna, polegająca na rozszerzaniu widnokręgów

---

[1]) Na pytanie zasadnicze, czy historya jest nauką, odpowiedzieć musimy twierdząco, gdyż posiada ona naukową metodę badania, której ścisłość niewątpliwą potwierdzają »eksperymenty«, jak dotąd, — przeważnie z zakresu t. zw. dyplomatyki *(Urkundenlehre)*.

dziejopisarskich. — Sama (w oderwaniu od historyi) nauką nie jest, podobnie, jak i lotna metafizyka... Obie jednak rozwijać (lub zaciemniać) mogą umysły i rozszerzać (lub zwężać) widnokręgi poznania; obie służyć mogą zaspakajaniu potrzeb intelektualnych chwili; obie posiadać zwykły wartość dyalektyczną, — obie też — dalekie najczęściej w swych wynikach od *species aeternitatis*... na »ryzyko« własne brać trzeba.

Jeżeli w obliczu majestatu nauki metafizykowi raczej stosowaćby się do filozofa przystało, niż odwrotnie, to tenże sam wzgląd obowiązywać winien i historyozofa-specyalistę względem historyka w chwili, kiedy pierwszy badania specyalne drugiego nie na jego, ale na swój sposób »ogólniejszy» oświetlić pragnie.

Oświetlić... Tak! Zdawałoby się, że tu tylko o oświetlenie faktów idzie. Zauważyć jednak trzeba, że każdy stały, a stąd i jednostronny system oświetlania zjawisk wynaturza je aż nazbyt często i pozbawia (w wykładzie) cech, niekiedy najistotniejszych, przez badanie ściślejsze stwierdzonych.

Zapomnieć także trudno, że prawdę jeden krok tylko dzieli od doktryny, a intuicyę — od przywidzenia... Zdaje się też, że — jeśli o zasadę chodzi, to historyozofem dla historyka powinien być przedewszystkiem on sam, bacząc,

aby wszelkie historyozoficzne teorye cudze traktował w sposób jaknajoględniejszy.

* * *

Posiadamy dziś dwa najnowsze, a i najciekawsze kierunki historyozoficzne: t. zw. kierunek psychologiczny — Lamprechta i socyologiczny — Lipperta, — oba przez samych-że twórców żywcem na gruncie dziejopisarskim uprawiane i dlatego właśnie — aczkolwiek przez naukę przyjęte bardzo podejrzliwie — na uwagę baczniejszą zasługujące.

Polemika rzeczowa z obu tymi autorami wrzała, a poniekąd wre i dzisiaj jeszcze na łamach organów specyalnych: nam tutaj jedynie o ilustracyę punktów zasadniczych chodzi [1]).

Otóż — co do Lamprechta, to zgodzić się z nim niewątpliwie trzeba, że działalność najpotężniejszej nawet jednostki zależną jest od podstaw tej kultury, wśród jakiej owa jednostka żyje i działa. Zgodzić się również trzeba, że

---

[1]) Z obrazem teoryi Lamprechta czytelnik zapoznać się może i w literaturze naszej (Ateneum r. 1901, t. I.) z artykułu dra Wacława Sobieskiego. Tenże autor usiłował je przeszczepić na nasz grunt dziejopisarski (»Nienawiść wyznaniowa tłumów za Zyg. III«). Teorye Lipperta stosował u nas dr Kazimierz Gorzycki w »Zarysie społecznej historyi państwa polskiego« (Warsz. 1901).

środowisku temu i jego wpływom podlegają bardziej jeszcze jednostki przeciętne. Nie można mu również zaprzeczyć, że badania i studya nad rozwojem wewnętrznym gromad ludzkich: szczepów, plemion, państw i narodów, skierowywane ku ich warunkom społecznym i kulturalnym, stanowią dźwignię najpoważniejszą w dobywaniu prawdy dziejowej. Zgodzić się trzeba na to wszystko bez żadnych zastrzeżeń, ale... z dodatkiem, że wyliczone poglądy i zapatrywania stanowią oddawna, bo od lat trzydziestu z górą — niesformułowany może, lecz istniejący a kardynalny warunek ogólnej metody dziejopisarskiej i zwykłej hermeneutyki historycznej, obowiązujących pracę naukową od dwóch, conajmniej, dziesięcioleci przed wystąpieniem Lamprechta.

Co zaś do jego »Kolektywizmu«, czy — jak go zmienił ostatnio — »uniwersalizmu«, co do »heterogienii skutków«, co do »dyapazonów epoki« i t. p. pojęć, rzecz ma się inaczej, gdyż stanowią one istotnie oryginalny, ale zarazem — bardziej niż problematyczny pod względem naukowym, nabytek Lamprechta.

Nie może być inaczej tam, gdzie — wobec dzisiejszego stanu wiedzy — chodzi o pochwycenie istoty tego procesu psychicznego, jaki towarzyszy oddziaływaniu jednostek na masy i odwrotnie, w toku historycznego rozwoju grupy.

Jest to szczytna zasada postulatów Lamprechta, dążącego do wyjaśnienia zagadnień zbyt zawiłych, by je wiedza dzisiejsza, choćby i w przybliżeniu, rozwikłać mogła. Zagadnienia te bowiem, należące jeszcze do psychologii, winny przedewszystkiem, nim się postulatami dziejopisarstwa staną, wpłynąć na ustalenie metody samej psychologii; winny zapobiedz pierwej zjawiskom podobnym, jak to, że najpoważniejsi przedstawiciele właściwej gałęzi wiedzy *(Wundt)* wahają się sami w studyach nad psychologią (jednostki!) pomiędzy krańcowymi biegunami empiryzmu fizyologicznego i — metafizyki; winny wyjaśnić cały szereg najpoważniejszych zagadek bytu jednostkowego, dostępnego dla autopsyi, a jednak wciąż jeszcze ciemnego, zanim obejmą w swych ramach zjawiska o wiele bardziej złożone — dalekie widnokręgi psychologii tłumów, i do tego — tłumów minionych! [1]).

Nie tu miejsce na polemikę; stwierdzamy tylko ogólnie, że — hołdując zasadzie złotego środka w kulturalno-politycznem rozważaniu dziejów, a nie przesądzając bynajmniej wagi inicyatywy, ani rezultatów dalszych po-

---

[1]) Stanowisko swoje wobec istoty tych zagadnień zaznaczyliśmy później w pracy p. t. »Tłum i jego przewódcy« (Warszawa 1906 r., str. 19). Szkic niniejszy powstał w r. 1902, a ukazał się w druku w 1904-tym. Podajemy go tu — dla ścisłości — bez zmiany.

szukiwań Lamprechta i jego uczniów, przyznać możemy dotychczasowym jego tezom oryginalnym wartość raczej dyalektyczną, aniżeli metodologiczną, z którejby dziejopisarstwo obecne osiągnąć już mogło korzyść rzetelną.

Co do socyologicznej *par excellence* (kolektywistycznej) interpretacyi dziejów, wszczętej przez Lipperta *(Social-Geschichte Böhmens)*, to każdy chyba historyk zgodzić się musi na bardzo oględne stosowanie jego zdobyczy, a mówiąc ściślej — zdobyczy socyologicznych wogóle — względem niektórych, zbadanych gruntowniej, zjawisk dziejowych.

Rozwój normalny, t. j. stopniowy ducha historycznych badań usprawiedliwia aż nadto ów eklektyzm tymczasowy, wobec zadań innych, ściślejszych, bo wskazanych (w historyi) przez potrzebę zasadniczą metodycznego wykrywania faktów i zjawisk minionych w ramach jaknajistotniejszego, właściwego im niegdyś, *status vitae.*

Potrzeba ta powstrzymuje dotąd i powstrzymywać musi dziejopisarstwo od powziętych z góry, a nieoględnych wypraw na morza »nowostek«, aby uchronić je od znalezienia się w krainie fantazyi, z której wszystkie gałęzie nauki wycofują się tak usilnie.

Jakżeż bowiem zgodzić się można dzisiaj na

zupełny, niemal całkiem przez historyków-socyologów wyzwolony, kierunek antyheroistyczny, będący naturalnym zresztą wykładnikiem przedwczesnej dla dzisiejszego dziejopisarstwa tezy, która głosi, że ewolucye zjawisk społecznych są niemal jedynie wynikami funkcyi przyrodzonych, powodowanych przez siły, zawarte w masach, a kierowanych przez stałe prawa dziejowe?!

Ponieważ siły te są dotąd nieokreślone, a prawa — nieznane, podobnie, jak i sam mechanizm oddziaływania jednostek na tłumy i odwrotnie; ponieważ większość faktów dziejowych ukazuje się wciąż jeszcze oku historyka w świetle niedopuszczającym lekceważenia roli jednostek, przeto pełnia kierunku antyheroistycznego w dziejopisarstwie obecnym zakrawać musi na szkodliwą ideologię. Z ideologii tej wypływa bowiem w naturalnym biegu rzeczy lekceważenie t. zw. historyi politycznej, jako uwidoczniającej rolę dziejową jednostek w sposób najwybitniejszy.

Ponieważ historya polityczna stanowi wraz z właściwemi dziejami wewnętrznemi jednę nierozdzielną całość; ponieważ jest jej koroną, dającą się porównać z funkcyą mózgu gromady, która pewne tylko podstawy swego ustroju socyalnego wyniosła z czasów, kiedy była niższym kręgowcem społecznym, przeto niechęć

historyków-socyologów do historyi politycznej zakrawa na oportunizm, połączony z krótkowidzeniem.

To jedna strona pomienionej ideologii; drugą jest przecenianie, lub lekceważenie zjawisk, nietylko »politycznych«, ale i »wewnętrznych« — społecznych, o ile te dają się, lub nie dają wyjaśnić rozporządzalnemi zdobyczami socyologii, — albo pozwalają, lub nie pozwalają naginać się do formułek, powstałych, jako uogólnienie (niekiedy przedwczesne), na podstawie (szczupłych jeszcze) eksperymentów socyologicznych.

Względy pomienione sprawiają, że historyk-socyolog, wtłaczając fakty dziejowe w ramy postulatów socyologicznych, klasyfikuje je nieraz nie na podstawie ich wewnętrznego (rozwojowego) związku i wypływających zeń wartości, lecz na zasadzie cech zewnętrznych, odpowiadających mniej, lub więcej, formułom apriorystycznym.

Powstaje stąd eklektyzm o tyle mniej uzasadniony od wskazanego wyżej (historycznego), że tamten jest tylko cząstkowym i — ze względu na rozwój stopniowy nauki historycznej — normalnym dodatkiem do właściwych badań, — ów zaś zjawiskiem odwrotnym.

I jeszcze jedno. Kierunek, o jakim mowa, zdaje się spuszczać zbyt często z oka różnicę,

zachodzącą pomiędzy endogienezą ludów, zwłaszcza egzotycznych i — egzogienezą narodów cywilizowanych, stosując nieraz (z konieczności!) z całą bezwzględnością wykryte przez socyologię normy społeczne pierwszych — do drugich. Błąd ten tłómaczy nam doktrynę, czy poetycki poryw, z jakim dzisiejsza historya socyologiczna lubuje się jednostronnie w pierwotnych właściwościach endogienetycznych gromady, przypisując im i na późniejszych, cywilizacyjnych szczeblach rozwoju kulturalnego nie — wielką doniosłość zasadniczą, boć tej zaprzeczyć niepodobna, ale — jakby wyłączność, pozostawiającą w cieniu zupełnym całość procesu rozwojowego zjawisk i prądów dziejowych, poczynanych wprawdzie przez (nieznane) czynniki przyrodzone, ale rodzonych, bądźcobądź, przez jednostki wybitne: namacalne kwiaty ludzkości.

Kierunkowi socyologicznemu przyznać trzeba wielką doniosłość i potrzebę pilnego uwzględniania w historyi jego zdobyczy dotychczasowych — w miarę istotnej możności. To pewna. Możność ta jest jednak, wobec postulatów ściślejszych dziejopisarstwa, daleką jeszcze, i bardzo, od tych granic szerokich, jakie jej Lippert zakreślił.

PRZYCZYNKI DO DZIEJÓW ROZWOJU POJĘĆ MORALNYCH NA TLE ZABYTKÓW JĘZYKA POLSKIEGO.

Przystępujemy z pewną obawą do niniejszego szkicu, i to z obawą podwójną: dyletanta w zakresie kwestyi, jakie tu poruszyć pragniemy, oraz spostrzegacza, odczuwającego niewymierność, zachodzącą pomiędzy głębią i złożonością samego zadania, a szczupłością danych źródłowych, mogących nam posłużyć do osiągnięcia zamierzonego celu.

Napis, położony tutaj na czele, to może tytuł zbyt szumny w stosunku do ilości, a nadewszystko do — jakości źródeł, którymi rozporządzamy na dany temat[1]). Szumny, ale i jedynie właściwy zarazem — ze względu na istotę tego zjawiska, o jakie nam chodzi... Opierając się bowiem na

---

[1]) Materyał, zużytkowany w szkicu niniejszym, zaczerpnęliśmy z wydawnictw zapisek sądowych: Balzera, Helcla, Lekszyckiego, Liskego, ks. Lubomirskiego i Pawińskiego, a przedewszystkiem z »Materyałów do słownika łacińsko-polskiego średniowiecznej łaciny i starożytności polskich«, zebranych przez Dra W. Łebińskiego (Sprawozdanie Tow. Przyj. Nauk Pozn. za rok 1884 Poznań 1885).

zasadzie ciągłego postępu i różniczkowania się w ciągu wieków rozwoju pojęć, wyjść musimy z założenia, że pojęcia te — od prostych, mało złożonych a wyrażających syntezę ideową nizkich wrażeń bezpośrednich — przechodziły stopniowo w fazy idei coraz wyższych, coraz subtelniejszych i coraz ściślej odpowiadających różniczkującej czy doskonalącej się naturze duchowej człowieka.

Opierając się na tej samej zasadzie, stwierdzić musimy nadto rzecz oczywistą, że pojęcia — rezultat pracy duchowej jednostek i pokoleń — rozwijały się szybciej wśród poszczególnych ludów, aniżeli ich języki, t. j. zasób odpowiednich temu rozwojowi środków językowych swojskich. Dowodem tego zjawiska jest choćby uderzające wszędzie przejmowanie nazw obcych, mających służyć do określania wyobrażeń i pojęć nowych, zapożyczanych z obczyzny, a przyswajanych sobie przez te ludy, potem — narody.

* * *

Okolicznością najdonioślejszą w badaniu, jakie tu mamy na celu, jest fakt równorzędnego istnienia w Europie łaciny — języka umarłego — obok rozwijających się języków nowożytnych: w danym wypadku — języka polskiego.

Łacina zawarła w sobie skarbnicę wyobrażeń i pojęć, skrystalizowanych, a poniekąd — skamieniałych na pewnym szczeblu rozwoju świata starożytnego. Stało się to już w chwili, kiedy zastęp ludów barbarzyńskich stawiał pierwsze zaledwie kroki na drodze bytu historycznego Europy. Dalszy byt ten miał się opierać z jednej strony na własnych siłach owych ludów, z drugiej zaś — na pożywce spuścizny po świecie starożytnym. Częścią najistotniejszą tej pożywki był sam język — była łacina i zaklęte w niej skarby intellektualne. Na skarbach tych miały się kształcić i rozwijać ludy młode: na razie biernie i nawpół świadomie, później z głębszem zrozumieniem rzeczy i ze wzrastającym zapałem. Owo — »później«, to doba nowożytna; owo — »na razie«, to Wieki Średnie, które nas tutaj obchodzą przedewszystkiem.

Wspomniana bierność i świadomość połowiczna zaznaczały się w stosunku młodych ludów do spuścizny świata klasycznego, a więc i do łaciny, w tem, że łacina miała dla ich intellektu — jak cylinder dla murzyna — znaczenie rzeczy bezkrytycznie, »wyższej«, że przeto ten, co ją posiadł, zdobywał p r z e z t o s a m o wyższość wśród własnego otoczenia. Z jednej strony tłómaczy się to zjawisko stałem prawem rozwoju, stwierdzającem poddawanie się wszelkich kultur niższych kulturom wyższym; z drugiej

zaś — za pomocą faktu, że sam Rzym, jeszcze za czasów swojej przewagi fizycznej, wpoił namacalnie w barbarzyńców przekonanie o wyższości tego, co pochodziło z nad Tybru.

Łacina była przeto wyższa — i w rzeczywistości i w przeświadczeniu młodych ludów Europy, aniżeli ich swojskie języki i narzecza. Każdy z tych ludów, kształcąc się na łacinie, wpajał ją w siebie i przetrawiał po swojemu jej treść intellektualną w samym sobie. Powstała wreszcie na drodze rozwoju tych ludów — przyczem proces, o jakim mowa, olbrzymią odegrał rolę — nowożytna cywilizacya nasza.

Nim do tego przyszło, nim fazy wyższe wspomnianego procesu, powstające i krzyżujące się nawzajem wśród emulacyi dziejowej ludów, zrodziły powszechne idee nowożytne, — każdy lud po swojemu na łacinie się kształcił, każdy pojmował ją po swojemu i każdy wyrażał w niej — za pomocą symbolów językowych Rzymu — sam siebie.

Gdyby było inaczej, gdyby owe ludy wyrażały były intellektualne zasoby swoje wyłącznie w językach własnych, — pewne badania, jak zobaczymy, nie miałyby dziś klucza nader doniosłego w dążeniu do zrozumienia wielu faz rozwojowych, zaklętych we własnych językach tych ludów — odbiciu ich dusz.

Oto, języki te, rozwijając się z postępem

wyobrażeń i pojęć ludów, kryły w każdej dobie pod formą starą, wytworzoną w stadyach dawnych faz rozwojowych, zawiązki wyobrażeń i pojęć późniejszych, powstających na drodze ewolucyi psychicznej z pokrewnych pra-pojęć i pra-wyobrażeń swojskich.

»Odpowiedź« była niegdyś obelgą, dziś jest — odpowiedzią.

Wkraczamy tu za zasłonę tajemniczego świata, w głąb skarbów, uwarstwionych w otchłannej głębinie rozwoju: od prawieku aż po dziś dzień — od czasów zawrotnie oddalonych aż do chwili obecnej, która, ślizgając się w życiu codziennem po górnej warstwie rozwoju, zdaje się nie przeczuwać nawet, co pod nią spoczywa i co się kryje w łonie jej pra-macierzy.

* * *

Wiemy, co o tem napomknął Nietzsche w swej »Genealogii moralności«; wiemy, co powiedział Brückner w »Cywilizacyi i języku«, oraz w pracy p. t. »Z dziejów języka«; wiemy, co o semazyologii pisali: Rozwadowski, Malinowski i inni, a na tle ściślej już historycznem — Adolf Pawiński w studyum o »Odpowiedzi w dawnem prawie rycerskiem«; wiemy wreszcie, do jakich wyników imponujących dochodzi lingwistyka porównawcza przez badanie części składowych

i pochodzenia wyrazów. Za mało jednak, a może prawie nic nie wie ogół nasz o tem, jakie to skarby spostrzeżeń kryją się w prostem zestawieniu jednego i tegoż samego wyrazu łacińskiego z jego równoznacznikami polskimi, czerpanymi z różnych epok, po sobie następujących.

Próba taka, przeprowadzana dla przykładu na wyrazach: *usurpatio, usurpative,* zachęci nas może do dalszych...

Usurpatio — *usurpative* oznaczają dzisiaj uzurpacyę, przywłaszczycielstwo, przyczem pierwszy z tych wyrazów (uzurpacya) dotyczy najprzeważniej władzy i jest określeniem zwężonego pojęcia przywłaszczycielstwa wogóle. Oba te wyrazy, i jeden i drugi, kryją w sobie dzisiaj pojęcie, etycznie ujemne. Tymczasem *usurpatio, usurpative,* oznaczały jeszcze w wieku XV sam tylko stan posiadania, użytkowania z rzeczy posiadanej, bez względu na źródło posiadania — w użytek mieć, i kwita! a nawet oznaczały poprostu sam owoc takiego posiadania — korzyść, oczywiście w pierwszym rzędzie materyalną (*usurpative* — korzystną rzeczą). Jest tu zjawiskiem, godnem zaznaczenia, fakt, że uzurpacya właściwa oznacza i dziś jeszcze naogół pojęcie etycznie — bodaj odrobinę — wyższe, aniżeli przywłaszczycielstwo zwykłe. Czyżby z powodu większej korzyści uzurpatora, niż przywłaszczyciela?...

Choć o tem sami często nie wiemy, lub widzimy (w zasadzie! Dlaczego?) w pobudkach uzurpatorów dążności wyższe, to jednak rodowód tych naszych poczuć stwierdza coś innego... Etyka nasza czci tu jeszcze bezwiednie siłę materyalną...

Rzecz oczywista, że odpowiednie w swoim czasie środki »pedagogiczne« różnych uzurpatorów nie pozostały tu także bez wpływu. Zaznaczyć trzeba nadto, przez prostą analogię, że tam wyraz korzyść oznaczać musiał wtedy (XV w.) coś *de facto* etycznie niższego, niż dzisiaj, czyli *vice versa*, coś — na tle etyki ówczesnej — doskonalszego, niż obecne pojęcia korzyści materyalnej na tle etyki dzisiejszej. Ale idźmy dalej...

Meritum oznacza dziś, ogólnie już, zasługę w jej znaczeniu moralnem, zawierającem ocenę danej działalności z punktu widzenia jej pożytku dla innych. Strona etyczno-społeczna takiego pożytku jest już dzisiaj istotą pojęcia t. zw. zasługi. Kto zaś położył tę zasługę i na jakiej drodze, są to dla nas względy w zasadzie drugorzędne, lub nawet całkiem obojętne, gdy ideę zasługi rzeczywistej mamy na myśli. Zasługa, położona przez człowieka (dostojnego), któremu ułatwiły ją szczęśliwsze warunki życia, bywa nawet poniekąd, przez prostą sprawiedliwość, oceniana surowiej, aniżeli t. zw. cicha zasługa.

Prawda, że ta ostatnia rodzi uznanie mniej głośne, ale częściej za to głębokie i szczere. Istnieje już tedy, bodaj w ideale, tendencya wyraźna do wieńczenia przedewszystkiem strony moralnej w każdej zasłudze, jakkolwiek różne zasługi posiadają stopień i zakres bardzo rozmaity swej użyteczności bezpośredniej. Prozaiczne atoli jest i tutaj podłoże, spoczywające u podstaw rodowodu tego ideału. Wycieczka w głąb samego podłoża zawiodłaby nas może w krainę fantazyi. Poprzestaniemy tedy na jednem z ogniw historycznych samej jego genealogii. *Meritum* w wieku XV oznacza — dostojność. Owa zaś dostojność była wówczas pojęciem — oczywiście — bardziej jeszcze materyalistycznem, aniżeli dzisiaj. Jakże wiele mówi to proste zestawienie dwóch wyrazów: zasługi i dostojności. Do podobnych może spostrzeżeń ideowych doprowadziłaby nas próba zestawienia dawnego znaczenia wyrazu »zasługa« *(salarium)*, przechowanego podziśdzień w tym sensie w pojęciu ludu — z naszem rozumieniem tego wyrazu. O ideale! cześć ci za to, żeś powstał z krwawego trudu życia, myśli i czynu!

A teraz przykład trzeci: *Depauperatio* oznacza dziś zubożenie, t. j. obniżenie stopnia bogactwa (materyalnego), zamożności lub dobrobytu. Jakkolwiek ideał chrześcijański powiada: *res sacra miser*, to jednak daleko nam jeszcze

do tego, by w wyrazie *depauperatio* odczuwać szczerze pojęcie uświęcenia. Jesteśmy raczej bliżsi bieguna przeciwnego, na którym — jeszcze w wieku XV — w wyrazie tym widziano proste potępienie! Wyraz »zubożenie« nie istniał wtedy; powstał on później, kiedy ubóstwo przestało się już równać średniowiecznemu pojęciu piekła...

Wyraz *habere*, mieć, tłómaczono w wieku XV przez imać, który to wyraz przechował się po dziśdzień w znaczeniu chwytania. Istotnie, wszak każde mienie czegoś (por. имѣть) było pierwotnie i być musiało nie czemś innem, jeno łupem w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Stwierdza to poniekąd sama historya, jakkolwiek nie sięga zbyt daleko wstecz. Ustrój społeczny, rozwijający się w ciągu dziejów, podzielił jedynie sposoby imania, czyli źródła mienia, na dwie kategorye: dozwolonych i niedozwolonych, »prawowitych« i »karygodnych«. Granice pomiędzy obu temi kategoryami, modyfikowane na swój sposób w każdej epoce, ustanawiały zawsze: naprzód obyczaj (etyka), a później władza (prawo).

Culpa, wina, obejmująca dziś przedewszystkiem pojęcie moralne krzywdy, wyrządzonej komuś (moment altruistyczny), oznaczała w wieku XV winę w znaczeniu (egoistycznem) skutków, obciążających winnego pod postacią grzechu — w żywem naówczas rozumieniu religij-

nem, a hańby i sromoty w rozumieniu społecznem.

Równoznacznikiem polskim wyrazu *divisus*, w jego znaczeniu podziału, a raczej — obdzielenia kogoś czemś (np. syna majątkiem przez ojca), był w wieku XV imiesłów dzielny (dziś obdzielony). Stał się on, jak wiadomo, przymiotnikiem, określającym pewną czynną właściwość charakteru — wysokie już dzisiaj pojęcie moralne. Postęp, zaiste, zdumiewająco szybki, jak na kilkanaście pokoleń.

Evadere, dziś — uniknąć czegoś (np. straty materyalnej lub moralnej), — oznaczało w wieku XV, między innemi, jeszcze odbicie gwałtem (rzeczy przez kogoś pochwyconej)!

Excusare, dziś uniewinnienie siebie, lub kogoś, najprzeważniej w zakresie obciążenia moralnego, oznaczało: wymówić się prawem, czyli — wykręcić się z zadanej sobie winy (materyalnej), jeśli nie prawem, to lewem.

Imiesłów od wyrazu *liberare* (uwalniać) — *liberans*, uwalniający, oznaczał w wieku XV zachodźcę. Dzisiejsze jeszcze znaczenie wyrazu »zachodzić«, wystarcza, by zrozumieć, co się ongi na pojęcie wyrobienia komuś wolności składało przedewszystkiem: zajście (z. drogi, z. nagłe w dom, lub wreszcie — kręte obejście racyi przeciwnika).

Lis, chytry podstęp, byłby po odjęciu mu

dzisiejszego, ujemnego pierwiastku moralnego, tylko pewnym kłopotliwym trudem; oznaczał też istotnie w wieku XV kłopot, a nawet wprost sam przedmiot owego »kłopotu«.

Maiestas znaczyło wielmożność, t. j. to tylko, co w dzisiejszem pojęciu majestatu, a nadewszystko — majestatyczności, tkwi jako wartość realna, konkretna.

Polskim równoznacznikiem średniowiecznym wyrazu *negligere* (dziś, zaniedbać coś), było — zamieszkać. Czyżby zestawienie dzisiejszego i ówczesnego znaczenia wyrazu *negligere* kojarzyć się miało z echem czasów prastarych, kiedy osadnik-pionier, odbiwszy się od gromady nomadów, przez samo zamieszkanie na miejscu stałem, zaniedbywał się (»omieszkiwał«) jednocześnie w korzystaniu z tego dobra, jakiem go dawna wspólnota karmiła?... Niewątpliwie.

Punire, karać, przyczem rdzeń pojęcia istoty tego karania, kary, stanowi dziś idea poprawy winnego, a przynajmniej — ochrony ogółu od jego działalności szkodliwej — oznaczało dawniej wyłącznie zemstę. *Punire* znaczy w wieku XV — męczyć, mszczeni być, *impunitus*, niepomszczony, a *vendicare*, oznaczające dziś zemstę, znaczyło nietylko mścić, ale także imieć, a nawet zyskować. Kara była zemstą, a zemsta (najprzeważniej krwawa) — oczywistą drogą do zysku.

Vis oznaczała nietylko (siłę) m o c, ale przedewszystkiem g w a ł t.

Przykładów, jak powyższe, możnaby przytoczyć wiele. Nie o to jednak, nie o wyczerpanie obfitego materyału nam chodzi. Oto, wniosek ogólny narzuca się sam przez się pod postacią formuły następującej: jeżeli pojęcie zła etycznego oznaczymy przez *a*, dobra (takiegoż) przez *b*, zła materyalnego przez *c*, takiegoż dobra przez *d*, przeszłość przez *e*, a przyszłość przez *f*,

$$a : b = e : f$$
$$c : d = f : e$$

* * *

Grupę przykładów i spostrzeżeń, będącą w powinowactwie ideowem z tem wogóle, o czem mówiliśmy powyżej, stanowią materyały językowe, dotyczące rozwoju instytucyi rodziny i pokrewieństwa. Nie są to materyały zbyt obfite, ani bogate. Zasługują jednak na to, aby tu kilka słów o nich powiedzieć, pomimo, że naogół dotyczą sfery nader już zamglonej i przeto dla wniosków ściślejszych niepodatnej. Poprzestaniemy tedy na kilku ciekawszych zestawieniach:

Conditio, dziś stan, położenie, warunek, niegdyś c z e ś ć i s t a d ł o (małżeńskie). — *Femella*, dziś samiczka, niegdyś d z i e w k a, c ó r k a. — *Filiastra*, dziś synowica, niegdyś t a k ż e i sy-

nowa. — *Homo*, człowiek (mężczyzna i kobieta), dawniej wyłącznie mąż w znaczeniu mężczyzny. — *Nepos*, wnuk lub wnuczka, dawniej nadto siostrzeniec i synowica. — *Privignus*, pasierb, dawniej pasierb i wnuk. — *Socer*, teść, dawniej teść i ojczym.

Echa, może jeszcze matryarchalne, łączą się tu, jak widzimy, z pra-patryarchalnymi. Do pierwszych zaliczylibyśmy (w powyższem oświetleniu) wyrazy: *filiastra, nepos, privignus;* do drugich: *conditio, femella, homo, socer.* Materyał jest jednak zbyt skąpy, aby módz szczegółowo i głębiej rzecz, naszkicowaną tutaj, rozwinąć.

Celem publikacyi przyczynków niniejszych, celem niepoślednim, była także chęć zwrócenia uwagi na najdawniejsze a obfite zabytki języka polskiego, zawarte w rotach przysiąg, a nawet w samym tekście t. zw. zapisek sądowych. Sięgają one końca XIV wieku, gdy tymczasem najstarsze zabytki literackie datują naogół z doby o wiele późniejszej. Wydawnictwa słowników korzystają w zasadzie tylko z druków, a do archiwów docierają wyjątkowo. Tymczasem materyał, o którym mowa, ogłoszony zaledwie w drobnej cząstce (publikacye Helcla, Pawińskiego, Lekszyckiego, Liskego, Balzera i niewielu innych), wzrósłby znakomicie i w niejednym kierunku naukę wzbogacił, gdyby podjęto wypisy i publikacyę wyrazów polskich średniowie-

cznych, zaopatrzonych często w ich ówczesne równoznaczniki łacińskie, a zawartych w Księgach Sądowych. Przechowują one skarby rzeczone w jedynym wielotomowym egzemplarzu rękopiśmiennym, który przez pożary (jak Księgi sandomierskie), a nadewszystko przez butwienie papieru, uległ już w znacznej części i wciąż ulegać będzie stopniowej, niepowetowanej zagładzie. Obok regestowania więdnących skarbów folklorystycznych, skarby, zawarte w »Księgach sądowych«, koniecznie uwzględnione i uratowane być powinny.

ROZWÓJ DZIEJOPISARSTWA POLSKIEGO W DRUGIEJ POŁOWIE XIX-go WIEKU [1].

---

[1]) Odczyt, wygłoszony (przez p. Antoniego Wysłoucha, w zastępstwie autora) w języku francuskim p. t. »Le développement de l'historiographie polonaise dans la seconde moitié du XIX-e siècle« w dziale *Metodica della Storia* Międzynarodowego Kongresu Historycznego w Rzymie, na posiedzeniu, odbytem w Collegio Romano dnia 3 kwietnia 1903 roku pod przewodnictwem prof. Rafaela Altamira y Crevea. Rzecz ta, niedrukowana dotąd po polsku, ukazała się najpierw, w r. 1905, w *Revue Historique* w Paryżu (T. 87, str. 369—374), a następnie (z dodatkiem na końcu 20 wierszy o wydawnictwach najnowszych, co niżej — dla ścisłości — w przypisku podajemy) w *Atti del Congresso Internazionale di Scienze Storiche* (T. III, str. 599—605) w r. 1906 w Rzymie.

Dzieje Polski, to jeden z najciekawszych działów historyi powszechnej. Są to dzieje narodu cywilizowanego, który po ośmiu wiekach niepodległości, utracił swój byt polityczny — wyraz najpotężniejszy własnego istnienia.

Usiłując scharakteryzować tutaj sposób, w jaki Polacy pojmowali dzieje swoje w ubiegłych pięćdziesięciu latach, osiągnąć możemy przez to cel podwójny: objaśnienia naszego rozwoju historycznego w przeszłości, a zarazem — wyłożenia naszych poglądów własnych na ów rozwój. Innemi słowy: scharakteryzujemy poniekąd w ten sposób rolę, zajmowaną dawniej i obecnie przez Polskę w cywilizacyi europejskiej.

Niesłychana katastrofa, jakiej ulegliśmy na schyłku XVIII-go wieku, była wynikiem strasznym, lecz logicznym, własnych naszych błędów politycznych. Atoli, bardziej jeszcze fatalnem było położenie geograficzne, które uczyniło z kraju naszego, pozbawionego granic naturalnych, punkt dziejowego ścierania się dwu wiel-

kich części składowych cywilizacyi europejskiej, reprezentowanych przez Rzym i Carogród.

Kiedy w wieku XIV-tym, Polska, która już się była oparła w swoim rozwoju historycznym na Zachodzie, weszła w związek z państwem Litewsko-Ruskiem, posiadającem naówczas charakter wręcz niemal wschodni, — związek ten stał się wprawdzie na razie źródłem powstania wielkiej potęgi politycznej, ale jednocześnie skomplikował niesłychanie stosunki wewnętrzne, wykolejając dalszy rozwój normalny całego państwa.

Zamiast dać się unieść temu prądowi, który skierowywał państwa zachodnio-europejskie ku centralistycznemu systemowi monarchii, opartych na armiach, Polska przetrwała niemal do schyłku swego istnienia politycznego w atmosferze partykularyzmu Wieków Średnich, i, przyparta przez sąsiadów na schyłku XVIII-go stulecia, padła ich ofiarą.

Przyczyny, wyjaśniające nasz upadek polityczny, oraz sam ten upadek, pociągnęły za sobą, jako skutek naturalny, fakt, że dziejopisarstwo nasze stoi podziśdzień — wobec trudności wyjątkowych (naukowych i życiowych) [1] — niemal

---

[1]) Objaśniając tutaj ten ustęp, powiemy, że, wobec scharakteryzowanych powyżej, wyjątkowych komplikacyi w dziejach Polski (Zachód—Wschód) same trudności

zupełnie poza sferą najnowszych prądów historyograficznych na Zachodzie: kierunku socyologicznego i psychologicznego. Trzyma się też ono wyłącznie — bo z konieczności — tego pozytywizmu, który bada zjawiska dziejowe w ścisłym świetle faktów, naukowo i niewątpliwie stwierdzonych i który unika wznoszenia się ponad nie w jakimkolwiekbądź kierunku. Wzgląd ten wyjaśnia zarazem szczególną, bodaj wyjątkową, cechę naszego dziejopisarstwa czasów ostatnich: Oto — wytworzyliśmy ilość olbrzymią monografii, a — właściwie mówiąc — żadnej pracy poważniejszej o charakterze ogólnym, syntetycznym!

W ciągu ubiegłego, XIX-go stulecia, oddawaliśmy się przez czas długi słodkim i gorzkim złudzeniom: Ubóstwialiśmy naszą przeszłość, nazywając Polskę Chrystusem narodów, to znowu — upajając się romantyzmem demokratycznym a buntując się przeciw fatalności losu — śniliśmy fantastyczną idyllę ludowładztwa... Nakoniec przebudziliśmy się z tych marzeń i mrzonek, a najnowsze dziejopisarstwo nasze jest wła-

naukowe (przy pogłębianiu przedmiotu badania) są u nas większe niż gdziekolwiekbądźindziej, a nadto powiększa te trudności — wynik naturalny położenia politycznego kraju, t. j. brak odpowiednich i odpowiednio licznych organizacyi naukowych, oraz niezbędnych po temu środków materyalnych.

śnie jednym z najpoważniejszych objawów tego ocknienia.

Po długim szeregu rocznikarzy, kronikarzy i panegirystów, którzy poprzedzili pierwszego historyka polskiego, zasługującego istotnie na to miano, — Adama Naruszewicza († 1796), — zjawił się najznakomitszy historyk polski XIX wieku, Joachim Lelewel († 1861) — rodzic historyografii narodowej.

Wyróżnia go nie naukowa metoda krytyczna, gdyż byłoby wtedy na nią za wcześnie; nie wartość trwała dzieł jego, gdyż przestarzały się one dość rychło, — i nie bezstronność jego poglądów, albowiem Lelewel był ideologiem demokratycznym... Wyróżnia go z szeregu innych dziejopisów jego erudycya niezmierzona i jego płodność fenomenalna, która otwarła w dziejopisarstwie polskiem, we wszystkich niemal kierunkach badania, widnokręgi, jakich przedtem nie przeczuwano.

Szkoła, którą Lelewel stworzył, była bardzo liczna, ale uczniowie jego, pozbawieni talentu mistrza, naśladowali go raczej w jego wadach, aniżeli w zasługach niepożytych.

Zapatrywano się na dzieje przeważnie z punktu widzenia stronnictw politycznych. Wrogowie starego porządku przypisywali upadek państwa szlachcie i duchowieństwu, podczas gdy zwolennicy teoretyczni minionego stanu rzeczy skłonni

byli do sądzenia z wielkiem pobłażaniem jego win najistotniejszych, jeśli ich całkiem nie przemilczali. Z obu stron zapatrywano się na sprawy *a priori*, nie badając ich istoty.

Zarzut takiej stronniczości anty-naukowej obciąża wszystkich — mniej więcej — pisarzów polskich, tworzących dzieła historyczne pomiędzy rokiem 1840 a 1870. Obciąża on zarówno obrońców szlachty (jak np. Wróblewski), jak jej wrogów (np. Hoffman); zarówno apologetów Kościoła (np. hr. Dzieduszycki), jak i jego przeciwników (np. Adryjan Krzyżanowski, Józef Łukaszewicz). Naukowa metoda krytyczna była niemal całkiem obcą ich badaniom.

Mimo to jednak i mimo to, że historycy epoki wspomnianej byli przeważnie samoukami, pozbawionymi ognisk intellektualnych, niezbędnych dla normalnego rozwoju nauki; mimo to, że byli oni pozbawieni wszelkiego poparcia ze strony rządów — praca ich, a niekiedy nawet samo ich poświęcanie się dla niej, złożyły się w znacznej mierze na powstanie naszego najnowszego dziejopisarstwa. W środowisku ich uczniów i następców powstał ruch naukowy, nikły może i skromny na razie, ale wręcz imponujący, bo nadzwyczajny wobec położenia, w jakim się uciśniony naród znajdował.

Od roku 1840 zaczęły się pojawiać poważne wydawnictwa źródeł historycznych, dzięki pracy

i poparciu mężów takich, jak: Działyński i Raczyński, Bartoszewicz, Bielowski, Daniłowicz, Hube, Helcel, Krupowicz, Muczkowski, Rzyszczewski i ks. Jan Tadeusz Lubomirski.

Już przed rokiem 1870, w czterdziestu, bez mała, tomach, wydanych w sposób mniej lub bardziej krytyczny, zawarto ilość olbrzymią materyałów dziejowych: kronik, pomników prawodawstwa, dokumentów politycznych itp.

Praca ta dokonała się przy poparciu, a poniekąd i pod wpływem historyków niemieckich, badających przeszłość ziem polskich, zajętych przez Prusy, t. j. — przez uczniów szkół historycznych zachodnich, jak: Bunge, Grünhagen, Hasselbach, Janssen, Kosegarten, Smidt, Stenzel, Strehlke, Toeppen, Voigt, Ryszard Roepell, autor bezstronny »Dziejów Polski«, osnutych na źródłach, znakomity jego kontynuator, Jakób Caro, i inni.

W chwili, kiedy ociężałe Towarzystwo Naukowe Krakowskie ustąpiło miejsca powstałej tam Akademii Umiejętności, założonej w roku 1873, młoda ta instytucya stanęła odrazu wobec zadań naukowych jaknajpoważniejszych.

Oparłszy się na najlepszych wzorach obcych, znalazła Akademia pracowników pierwszorzędnych w profesorach historyi i prawa, piastujących katedry na Uniwersytecie Krakowskim (od r. 1869) i Lwowskim (od r. 1882), a wy-

kształconych w szkołach zachodnich. Niebawem wzięły udział w tym ruchu: Warszawa i Poznań, stolice dwu pozostałych dzielnic Polski.

Oto właśnie — nasz ruch dziejopisarski najnowszy. Stosuje on w pracach swoich jaknajściślej zasady naukowej metody krytycznej, a — dzięki dobremu przykładowi, dawanemu od lat piętnastu przez »Kwartalnik Historyczny«, organ Towarzystwa Historycznego we Lwowie — metoda ta panuje podziśdzień w większości naszych prac dziejopisarskich.

Rzućmy, bodaj pobieżnie, okiem na te prace, w porządku chronologicznym ich tematów.

Okres dziejów pierwotnych Polski, zwanych historyą bajeczną, — okres pogański — (Polska przyjęła chrzest w r. 966) — stał się przedmiotem poważnych studyów naukowych dopiero w najnowszych monografiach: Tadeusza Woyciechowskiego, Aleksandra Brücknera, Karola Potkańskiego i Antoniego Małeckiego, którzy poraz pierwszy powołali w badaniach swych do głosu wyniki pomocniczych nauk historycznych, jak oto: lingwistyki porównawczej, etnologii, archeologii i folkloru.

Do tegoż samego rzędu prac należy część studyów Franciszka Piekosińskiego nad pochodzeniem szlachty polskiej. Jakkolwiek wnioski, przezeń wyprowadzone, a podane przez krytykę w wątpliwość, nie mogą uniknąć poważnych

zarzutów, to jednak misterne te studya, oparte na analizie heraldyki polskiej — heraldyki najoryginalniejszej na świecie — zachowują wartość swoją, przynajmniej w zakresie szczegółów.

Najdawniejszy okres, właściwie już historyczny (966—1139), badany był przez Henryka Zeissberga, Wojciecha Kętrzyńskiego, Stanisława Smolkę, Tadeusza Woyciechowskiego, Anatola Lewickiego, Michała Bobrzyńskiego, Antoniego Małeckiego, Maksymiliana Gumplowicza i Oswalda Balzera; ostatni jest autorem poważnego dzieła, poświęconego genealogii rodziny królewskiej Piastów.

Epoka, podczas której kraj nasz podzielony był na liczne księstwa, epoka dzielnicowa (1138—1295), była badana przez licznych uczonych, jak Stosław Łaguna, August Sokołowski, Bolesław Ulanowski, Franciszek Piekosiński, Stanisław Smolka i inni. Ostatni (Smolka) ogarnął w swej poważnej pracy, Mieszko Stary i jego wiek (wyd. 1881 r.) całą nieomal epokę wspomnianą.

Średniowieczna ta epoka posiada wiele analogii z epoką Merowingów na Zachodzie; między innymi uderza tu tenże sam brak i lakonizm źródeł historycznych.

Winniśmy także zaznaczyć tutaj pojawienie się poważnych studjów nad instytucyami wewnętrznemi naszego kraju, t. j. przedewszystkiem

dzieł: o prawie polskiem XIII wieku (Romualda Hubego), oraz o organizacyi pierwotnej Kościoła Polskiego (Władysława Abrahama).

Na okres następny (1295—1386), badany przez niektórych ze wspomnianych już wyżej uczonych, rzuciły wiele światła zbiory źródeł historycznych, dotyczące naogół najdawniejszych naszych dziejów, a mianowicie: *Monumenta Poloniae Historica*, których wydawnictwo rozpoczął August Bielowski; *Vetera monumenta Poloniae et Lithuaniae gentiumque finitimarum historiam illustrantia*, wydane przez Augustyna Theinera, oraz dyplomataryusze: Wielko- i Mało-polski, Śląski, Mazowiecki, Pruski i wiele innych.

Epoka Jagiellonów (1386—1572) winna być rozpatrywana pod względem studyów historycznych, jakie jej dotyczą, w dwóch okresach. Pierwszy (1386—1505), obejmujący schyłek naszych Wieków Średnich, był badany z większą dokładnością; drugi natomiast (1505—1572), otwierający okres, zwany nowożytnym, pozostał podziśdzień w cieniu.

Monografie Stanisława Smolki, Anatola Lewickiego, Antoniego Prochaski, Fryderyka Pappée'go i innych, wyjaśniły wiele kwestyj, dotyczących pierwszego okresu epoki pomienionej — odłamu, który nadto wzbogacony został przez takie wydawnictwa źródłowe, jak: *Codex epistolaris saeculi XV; Codex epistolaris Vitoldi, magni*

ducis Lithuaniae; Index actorum saeculi XV, oraz *Vetera monumenta juris Polonici.*

Okres drugi (1505—1572) zaznaczył się przez związek duchowy pomiędzy Polską a Włochami, przez związek, mający swój pierwotny punkt oparcia na dworze królowej Bony Sforzy, księżniczki medyolańskiej. Dwór jej stał się istotnie ogniskiem ruchu umysłowego, który dał początek t. zw. Wiekowi Złotemu w naszej literaturze.

Mimo to, okres ten nie doczekał się dotąd należytego uwzględnienia przez właściwe dziejopisarstwo nasze. Przyczyna tego zjawiska leży w tem (zapewne), że poważny zbiór źródeł do tych czasów: *Acta Tomiciana*, których wydawnictwo zapoczątkował niegdyś Tytus Działyński, a prowadzi obecnie Zygmunt Celichowski — dały nam w jedenastu [1]) wielkich tomach zaledwie część odnośnych materyałów.

Monografie Hirschberga, Lucasa i ks. J. T. Lubomirskiego, dotyczące tych właśnie czasów, utraciły już — mniej lub więcej — dawną wartość swoją.

Epokę królów elekcyjnych (1573—1795) podzielić trzeba pod względem studyów i wydawnictw źródłowych na trzy okresy.

---

[1]) Ostatnio ukazał się tom XII tego cennego wydawnictwa pod redakcyą Z. Celichowskiego.

Pierwszy (1572—1607), badany niegdyś przez Ciampi'ego, a później przez Wincentego Zakrzewskiego, Adolfa Pawińskiego, Józefa Szujskiego itd., wzbogacony został ponadto dzięki wydawnictwom źródeł, podjętym przez Pawińskiego, Aleksandra Jabłonowskiego, oraz Teodora Wierzbowskiego.

Dwa następne okresy tejże epoki (1607—1717; 1717—1795) — poza wydawnictwami źródeł, dokonanymi przez Kluczyckiego i Kazimierza Waliszewskiego — są mniej bogate w publikacye tego rodzaju. Badacze są tu jeszcze zmuszeni do korzystania z opracowań dawnych, a nadewszystko — z archiwów. Najwybitniejszymi historykami tych czasów (1607—1717) byli: Karol Szajnocha, Kazimierz Jarochowski i Ksawery Liske; są zaś nimi podziśdzień: Tadeusz Korzon, Ludwik Kubala [1]) i Wiktor Czermak.

Dzieje XVIII wieku badane były w pierwszej swej połowie przez autorów, wyżej już wspomnianych, oraz przez innych; studyom zaś nad drugą połową tegoż stulecia oddawali się: zasłużony ks. Waleryan Kalinka, Tadeusz Korzon, autor Dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta, Władysław Smoleński i Szymon Askenazy, którzy opierali się

[1]) Zmarł w roku ubiegłym.

na literaturze współczesnej (XVIII st.), oraz na własnych poszukiwaniach archiwalnych. Askenazy — między innymi — rozpoczął z uczniami swymi studya archiwalne nad dziejami Polski w pierwszej połowie XIX stulecia.

Krótkie podręczniki Historyi Polski — w całej jej rozciągłości — pisali ostatnimi czasy: Szujski, Bobrzyński, Lewicki, August Sokołowski, Smoleński i Feliks Koneczny. — W ostatnich również czasach poświęcali się studyom nad historyą prawa (polskiego, niemieckiego w Polsce, i kanonicznego): Hube, Z. A. Helcel, Łaguna, Piekosiński, Bobrzyński, Balzer, Bolesław Ulanowski, Fijałek, Winiarz, Pazdro i Kutrzeba. Dzieje parlamentaryzmu studyowali: Pawiński i Aleksander Rembowski; dzieje finansowości i stosunków ekonomicznych: Pawiński, Korzon, Włodzimierz Czerkawski i Adam Szelągowski; dzieje szkół i wychowania: Kazimierz Morawski, Józef Bieliński, Antoni Karbowiak itd.; dzieje sztuki: Maryan Sokołowski, Feliks Kopera, Bołoz-Antoniewicz i inni; dyplomatykę: Łaguna, Piekosiński, Ulanowski, W. Kętrzyński i Stanisław Krzyżanowski; heraldykę oraz genealogię: Piekosiński, Balzer, Józef Wolff, Adam Boniecki i inni; archeologię: Izydor Kopernicki, Gustaw Ossowski, Jan Sadowski, Józef Łepkowski i inni; numizmatykę i sfragistykę: Piekosiński, Kazimierz Stronczyński, Wiktor Wittyg i inni; sta-

rożytności krajowe: Zygmunt Gloger i Hieronim Łopaciński, a wreszcie folklor polski: Oskar Kolberg, Jan Karłowicz, Erazm Majewski, Gloger i wielu innych.

Socyologia i psychologia reprezentowane są w najnowszem dziejopisarstwie polskiem przez dwóch autorów: Kazimierza Gorzyckiego (Zarys społecznej Historyi Państwa Polskiego) i Wacława Sobieskiego (Nienawiść wyznaniowa tłumów za panowania Zygmunta III).

Nie mieliśmy bynajmniej zamiaru wyczerpania w tym pobieżnym rzucie oka na dziejopisarstwo nasze, bibliografii historycznej polskiej [1]). Kto zechce się o niej dokładnie poinfor-

---

[1]) Podając tutaj odczyt powyższy w wiernym przekładzie z tekstu francuskiego, przygotowanego w r. 1902 specyalnie na Kongres Rzymski, zaniechaliśmy — dla ścisłości — uzupełnienia go w tekscie nazwiskami uczonych, którzy się później dopiero pracami swemi odznaczyli. — Kiedy w r. 1905 komitet wydawniczy aktów Kongresu przystępował do druku właściwego (III) tomu, zwrócono się do mnie z życzeniem, abym pierwotny tekst odczytu, przygotowany przed trzema laty, odpowiednio, z zakresu ostatniego trzechlecia uzupełnił. Posłałem wtedy do Rzymu uzupełnienie następujące, które na końcu tekstu *(Atti* j. w. *vol.* III. str. 605), również w języku francuskim, wydrukowano:

»W krótkim przeglądzie najnowszego naszego ruchu dziejopisarskiego (1902—1905) wymienić należy kilku

mować, znajdzie ją niebawem w Bibliografii Historyi Polskiej Ludwika Finkla.

Aby dać pojęcie ogólne o jej bogactwie, wystarczy nam wspomnieć, że publikacye historyczne wynosiły w latach 1901 i 1902 około 10% wszystkich wogóle wydawnictw polskich.

Jedynym celem naszym był tu przegląd jak-

---

autorów prac poważnych, jak: Al. Brücknera, Kazimierza Wachowskiego i ks. Władysława Szcześniaka (IX, X w.); Tadeusza Wojciechowskiego, znakomitego autora arcydzieła medyewistyki polskiej, a nawet europejskiej, wydanego p. t. *Szkice historyczne jedynastego wieku*; Stanisława Kętrzyńskiego (XII st.), Fryderyka Pappée'go (XV st.), Ludwika Boratyńskiego (XVI st.), Bronisława Dembińskiego (XVIII st.) i Szymona Askenazego (XIX st.). W ostatnich również latach poświęcili się studyom: nad prawem polskiem Przemysław Dąbkowski; nad tymże prawem i nad dziejami handlu polskiego Stanisław Kutrzeba; nad dziejami osadnictwa Franciszek Bujak; nad historyą kultury Adam Chmiel i zasłużony Władysław Łoziński, autor studyów i malowniczych szkiców na temat bytu obyczajowego Polski w wieku XVII; a wreszcie — nad historyą wojskowości (XIX st.) Bronisław Gembarzewski i — żydów polskich, Mojżesz Schorr.

Nakoniec wymienić należy trzy najnowsze a wielkie publikacye nasze: *Atlas Historyczny (Ziem Ruskich) Rzpltej* (XVI—XVII st.), opracowany przez Aleksandra Jabłonowskiego; *Archiwum Jana Zamoyskiego* (XVI st.), wydane przez Wacława Sobieskiego i olbrzymi zbiór dokumentów (XIX st.), ogłoszony przez Aleksandra Kraushara, jako wielotomowa *(Historya) Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk w Warszawie*«.

najogólniejszy stanu obecnego dziejopisarstwa polskiego, oraz chęć wskazania w nim przewagi znamiennej (jeśli nie — wyłączności) wydawnictw źródeł, oraz opracowań monograficznych, nad dziełami o charakterze ogólnym.

Uderzające to zjawisko nie wypływa — jak sądzimy — z braku pracowników dość uzdolnionych; wypłynęło ono przedewszystkiem ze stylu i sposobu, w jaki uczeni polscy wielkie zadania dziejopisarstwa pojmują, a mianowicie — z obawy, jaką odczuwają wobec tych pokus, które mogłyby ich unieść na skrzydłach fantazyi tam, gdzie słabnie siła panowania ideału możliwie ścisłej i bezstronnej prawdy.

KMIECIE W POLSCE.

U ludów słowiańskich nazwa kmieć (łać. *cmetho)*, kmet, кметь i t. p. różnymi czasy, a przy drobnych różnicach brzmienia, posiadała znaczenie rozmaite. Wiadomo jednak, że mianem tym nazywano wyłącznie ludzi, trudniących się rolnictwem, bez względu — zwłaszcza w czasach zamierzchłych — na ich położenie majątkowe, a za niem — społeczne. Zdaje się też, że wywód językowy, wyprowadzający rodowód wyrazu kmet', kmieć i t. p. od greckich κώμη (wieś) i κωμήτης (mieszkaniec wioski), posiada za sobą wiele prawdopodobieństwa. Wzrasta ono, gdy zważymy, że cechą najistotniejszą każdego — w najróżniejszy sposób pojmowanego »kmiecia«, była uprawa roli, lub wogóle — posiadanie ziemi. — Wraz ze zmianą stanowiska, jakiej z biegiem dziejów bezpośrednie trudnienie się uprawą roli w hierarchii zajęć ludzkich ulegało, zmieniało się także w różnych krajach słowiańskich i znaczenie społeczne ludzi, zwanych kmieciami. — W prostych warunkach słowiańskiego prabytu — w dobie prymitywnego zdo-

bywania warunków życia, oznaczał prawdopodobnie кметь wybitniejszych i zamożniejszych posiadaczy osad gospodarskich — »magnatów« starosłowiańskiego społeczeństwa (= *magnas, procer)*. — U Słoweńców n. p., którzy przechowywali dłużej, niż inne zachodnie plemiona słowiańskie, tradycye swoich praojców, oznaczał kmeť w narzuconym im przez Niemców feudalizmie, — człowieka, posiadającego pełnię praw lennika *(Ganzlehner)*. W ustroju patryarchalnym serbskiej zadrugi oznacza kmieć naczelnika tej instytucyi, głowę rodziny, — to, co Niemcy nazywają *der Hausälteste*, a Rosyanie starszina, zarówno w ramach rodowej instytucyi miru (міръ), jak i w sztucznem odbiciu tej instytucyi, znanem pod nazwą »artieli«[1]. W Czechach średniowiecznych oznaczał kmieć: *a)* kmiecia w znaczeniu drobnego rolnika *(Bauer); b)* starca — początkowo, jako patryarchę rodu, a później jako człowieka starego i *c)* lennika, posiadającego wyższe prawo ziemskie, czyli należącego do klasy panów (páni). Wogóle zaś był kmieć w Czechach ówczesnych tem samem, czem w Rzymie *pater familias*, a na Morawach hospodař (pols. gospodarz), — bez względu

[1]) Georg Staehr: »Ursprung, Geschichte, Wesen und Bedeutung des russischen Artels«, *passim*. (Dorpat 1890—1891).

na stanowisko społeczne »familii«. Nadto, oznaczał tam kmieć *d)* głowę rodu pańskiego i członka najwyższej rady monarszej aż po rok 1487, kiedy i rycerstwo niższe powołanem do niej zostało [1]). Miał przeto kmieć czeski identyczne niemal, mianowicie w punkcie ostatnim, znaczenie z polskim komesem *(comes)* — towarzyszem monarszym, wielmożą, mającym tyle wspólnego z hrabią *(Graf)* — ile Niemcy z Polską.

Przechodząc do Polski, zauważyć trzeba, że dzieje znane kmiecia polskiego zaczynają się stosunkowo późno. Najdawniejsze zabytki prawne, z częściowym przynajmniej zachowaniem nomenklatury polskiej w zakresie omawianego przedmiotu, sięgają zaledwo schyłku Wieków Średnich, t. j. epoki, w której stanowisko zawodu czysto rolniczego, rozstrzygające o znaczeniu społecznem kmiecia w każdej dobie, należało już do najniższych. Dzieje kmieci zlewają się przeto u nas z dziejami ludności wieśniaczej. Istnieją jednak i w owych, rdzennie polskich dziejach kmiecia, wskazówki, że, podobnie jak w Czechach n. p., oznaczał on pierwiastkowo i u nas nietylko drobnego rolnika (= *Bauer)*, ale i posiadacza większych włości — bodaj nawet magnata. — Jakkolwiek bowiem

---

[1]) V. Brandl: »Glossarium...« w artykule *Kmet'*. (Brünn 1876).

niektórzy uczeni nasi (n. p. Piekosiński) wyrażają zdanie, że nazwa kmiecia pojawia się w Polsce dopiero współrzędnie z oddziaływaniem kolonizacyi niemieckiej, zdaje się być rzeczą niewątpliwą, że kmieć wszechsłowiański posiada w Polsce, podobnie jak w innych ziemiach pobratymczych, plemienną, a odległą przeszłość swoją. Fakt, że miano kmiecia zjawia się dopiero w źródłach polskich XIII wieku, t. j. w dobie początków kolonizacyi niemieckiej, nie może tu posiadać, jak zobaczymy, znaczenia donioślejszego. Po pierwsze bowiem, ogół źródeł naszych przeważnie w wieku XIII się poczyna, a powtóre — co najważniejsza — kmiecie tej epoki oznaczają u nas, podobnie jak i w innych ziemiach słowiańskich, nietylko ludność małorolną... W roku 1284 ks. Przemysław Wielkopolski w potwierdzeniu nadania Chełmna katedrze gnieźnieńskiej przez Komesa Bierwolda, łowczego kaliskiego i cześnika lądzkiego, nazywa go *honorabilis* kmetho *noster et miles strenuus* [1]), a podobneż miano »naszego kmiecia« otrzymuje w r. 1295 Komes Wawrzeniec w dyplomacie ks. mazowieckiego, Bolesława [2]) — Z tejże samej doby, z wieku XIII, pochodzą i najdawniejsze u nas wzmianki o kmieciach małorolnych, t. j.

[1]) Cod. dipl. Maj. Pol. I. Nr. 539.
[2]) Kod. dypl. Maz. Lubomirskiego, Nr. 41.

o kmieciach-włościanach. Najdawniejszą datę taką, rok 1241, wydobył Hube[1]) ze źródeł mazowieckich. Dla Małopolski i Wielkopolski będzie nią rok 1252[2]). — Gdybyśmy nawet zapomnieli na chwilę o przytoczonych wyżej kmieciach-komesach, Bierwoldzie i Wawrzeńcu, stojących (w zakresie dziejów kmieci) na straży związku rozwojowego Polski z resztą ziem słowiańskich, samo źródło daty Hubego, — Mazowsze, którego najdawniejszy znany dokument lokacyjny na prawie niemieckiem pochodzi z r. 1253[3]), stwierdza poniekąd słuszność naszego zarysu pierwotnych losów kmiecia polskiego. — O polskim kmieciu-magnacie nic już więcej powiedzieć nie możemy. Miano kmiecia zlewa się u nas w dobie średniowiecznej z pojęciem wolnego włościanina *(homo liber)* i towarzyszy mu stale przez cały ciąg tych dziejów. Dzieje kmiecia polskiego są przeto właściwie dziejami wolnej osobiście ludności wieśniaczej polskiej od czasów najdawniejszych aż do ujęcia tej klasy społecznej w karby pańszczyzny. Jakkolwiek bowiem kmieciami i kmiotkami nazywano dość powszechnie i chłopów późniejszych, będących zniwelowanym

---

[1]) »Prawo Polskie w wieku XIII« str. 52.

[2]) Kod. kat. krak. I, Nr. 34. Kod. dypl. W. Pols. I, Nr. 308.

[3]) Hube »Prawo Polskie« j. w. Nr. 24.

w okresie pańszczyzny wytworem społecznym wszystkich, zróżniczkowanych dawniej, kategoryj ludności wieśniaczej; jakkolwiek kmieciami nazywano niekiedy i w Wiekach Średnich ludność niewolną[1]) — to jednak naogół kmieć κάθ' ἐξοχήν oznaczał przedewszystkiem, a bodaj — w zasadzie, wolnego wieśniaka. Za interpretacyą taką przemawia większość źródeł, a nadewszystko krocie wzmianek, rozproszonych po księgach sądowych wszystkich ziem Polskich XIV i XV wieku. Jeżeli zaś zasadnicza ta interpretacya zbacza nieco od ścisłości zupełnej, pochodzi to z braku ścisłych granic grup i zjawisk społecznych wogóle, a średniowiecznych, bardzo zróżniczkowanych, w szczególności. — Dzieje wszystkich klas średniowiecznej ludności wieśniaczej i dzieje chłopów późniejszych (poddanych), którzy z ogółu klas tych powstali, należą do historyi włościan. Na tem miejscu zajmiemy się tylko dziejami kmieci we właściwem znaczeniu tego wyrazu, — jedną z najbogatszych, a i najpiękniejszych zarazem, kart historyi włościaństwa polskiego. — Zdaje się, że pierwotnie, jeszcze przed powstaniem zawiązków władzy centralnej, istniały w Polsce, przeważnie drobne: α) osady ludzi wolnych, biorące swe nazwy od

---

[1]) Por. Cod. dipl. Maj. Pol. Nr. 308 z r. 1252; *...duo kmetones proprii patris nostri, venatores castorum...*

imion założycieli. — Tworzenie się władzy państwowej, skupiającej tych rozproszonych mieszkańców, wywoływało powstawanie punktów oparcia owej władzy, czyli miejsc obronnych, t. j. grodów. — Na utrzymanie załogi grodów przeznaczano pewną ilość osad, zamieszkanych przez dawnych tubylców (α), pozbawionych wolności, a zwanych odtąd β) n a r o k o w e m i. Osady te, w części i znowa zakładane (jeńcy, niewolnicy), przybierały nazwę od rodzaju narzuconej im posługi (n. p. Szczytniki = ludzie, wyrabiający tarcze = szczyty; Grotniki = groty i t. p.). — W wieku XII mnożą się w Polsce większe posiadłości kościelne i szlacheckie kosztem dawnych osad wolnych (α), przechodzących na własność Kościoła i szlachty z woli panującego. Jest to chwila, w której na arenę dziejów wewnętrznych Polski wypływa typowa klasa wieśniacza naszych Wieków Średnich, t. j. kmiecie. — Pierwszą, zasadniczą kategoryę tej ludności, zwaną w źródłach *liberi*, stanowiła, jak się zdaje, część potomków dawnych tubylców (α), z którymi zlewają się i przybysze wolni — *hospites*. Cechą tej kategoryi było używanie wolności osobistej, a brak własności gruntowej, która na obszarze całego państwa należy już do panującego, lub do tych, których on ziemią obdarował. Potrzeba rąk roboczych i wolność osobista pierwszej kategoryi kmieci, krępująca panów, wytworzyły jednak

dość wcześnie drugą kategoryę ludności wieśniaczej (γ) klasę, przypisaną do gleby *(adscripticii)*, a posiadającą swój pierwowzór genetyczny w narocznikach (β). Dawna kategorya ludzi wolnych (α), zlewając się stopniowo — to z narocznikami (β), to z ludnością do gleby przypisaną (γ), obniżała poprzedni swój poziom społeczny, podnosząc jednocześnie poziom obu klas niższych (β i γ). Czynniki polityczne, ekonomiczne i agrarne stworzyły wreszcie ze wszystkich tych klas i ich poddziałów — typ kmiecia polskiego. — Kadry jego pomnożyła z czasem najniższa społecznie klasa ludności wiejskiej — niewolnicy *(servi, ancillae, familia)*, pochodzący z jeńców wojennych i z zakupieńców. — O dziejach kategoryi α i β nie da się nic bliższego powiedzieć. Najbogatszą stosunkowo w szczegóły jest historya ludności pół-wolnej (γ), mającej wywrzeć wpływ najpoważniejszy i urobić z czasem fizyognomię dziejową średniowiecznych kmieci polskich przed kolonizacyą niemiecką. Kategorya ta ludności wiejskiej (γ) była, jak się zdaje, najliczniejszą. Początkowo zamieszkuje ona posiadłości panującego, a z czasem, już w wieku XII, przechodzi dość licznie wraz z ziemią na Kościół i na szlachtę drogą darowizn książęcych. Wolność tych ludzi (γ) była do tyla ograniczona, że bez zezwolenia swych panów bezpośrednich nie mogli gruntu opuszczać, panowie zaś mieli prawo

przesiedlać ich wedle własnego uznania. Na tej to ludności ciążyły przedewszystkiem rozliczne ciężary publiczne, wynikłe z nakazu pańskiego w dobie, kiedy książę był ich panem bezpośrednim. Do typowych ciężarów takich należały: stróża, czyli pilnowanie osad własnych, i najbliższego grodu; ciężar ten bywał zamieniany na opłatę; poradlne, czyli danina z gruntu; stan (danina na stół, goszczącego w okolicy panującego); narzaz; (= na rzeź; danina mięsna na dwór monarszy) i obraz (obowiązek wymiany dawnej, a lepszej zazwyczaj monety, na nową, gorszą — wedle wartości nominalnej). Nadto, podlegała ta ludność posługom licznym, związanym z wyprawami wojennemi, z łowami księcia i t. p. Z chwilą przejścia gruntów w posiadanie prywatne, ludność ta ulegała także różnym daninom i opłatom na rzecz nowego pana bezpośredniego. — Juryzdykcya nad całą ludnością polską, a więc i wieśniaczą, należała w tej dobie do panującego, lub do jego urzędników *(castellani),* których okręgi były zapewne odbiciem prastarych urządzeń administracyjnych, polegających na prawno-publicznych wspólnotach wsi okolicznych, czyli na t. zw. organizacyi opolnej (opole) i żupnej (?). — Tak przedstawia się nagół pierwotny byt historyczny kmieci polskich, w dobie poprzedzającej kolonizacyę niemiecką. Kolonizacya ta, rozwinięta od połowy wieku

XIII, wprowadziła do Polski niemiecką organizacyę wiejską, mającą ku schyłkowi Wieków Średnich dokonać całkowitej prawie niwelacyi wśród naszej ludności wieśniaczej. Kmieć, bliżej historycznie znany, na tym dopiero tle i w tym okresie czasu (XIII—XV w.) wyraźniej w dziejach naszych się zaznacza, uchodząc z tego powodu niewłaściwie za kreacyę kolonizacyi niemieckiej. Wpływ jej wszelako, przekształcając do gruntu stosunki agrarne w Polsce, wytworzył z dawnych żywiołów wiejskich, oraz z ludności rolnej napływowej, nowy typ kmiecia, będący typem przejściowym pomiędzy kmieciem dawnym a późniejszym »chłopem«, który uważany być może z wielu względów za typ odrodzony dawnego kmiecia przedkolonizacyjnego. Aby charakter zasadniczy owego typu przejściowego pojąć należycie, dość jest rzucić okiem na fizyognomię kolonizacyi niemieckiej.

Wywołały ją dwa czynniki: ciężkie pogorszenie bytu, a stąd — prąd emigracyjny niemieckiej ludności rolnej; powtóre zaś — zapotrzebowanie takiejże ludności w Polsce przez właścicieli ziemi, dającej mały dochód z powodu braku uprawy. Wszczętemu stąd ruchowi immigracyjnemu towarzyszyły pod berłem Piastów okoliczności jaknajpomyślniejsze: łatwość zyskania gruntu pod uprawę na warunkach dla kolonistów dogodnych, nietylko pod względem ekonomicznym, ale i spo-

łecznym. Na takiem tle rozwija się u nas kolonizacya niemiecka nader pomyślnie w XIII, XIV, oraz w pierwszej połowie wieku XV. Wywarła ona wpływ stanowczy nietylko na dokonane z czasem ujednostajnienie typu kmiecia, ale i na powodujące tę metamorfozę zmiany radykalne w dawniejszym systemie naszego rolnictwa, wzorującym się odtąd na urządzeniach niemieckich. System ten polegał pierwej na tem, że wsie polskie miały pod względem rolniczym — wskutek obfitości ziemi, a braku rąk roboczych — przedewszystkiem charakter zbiorowo-jednodworczy. Jakkolwiek bowiem kmiecia łączyło z innymi towarzyszami, zamieszkałymi w tej samej wsi, blizkie sąsiedztwo, wspólna zawisłość od pana i solidarna odpowiedzialność za popełnione we wsi, lub w jej najbliższym okręgu (opole), a niewykryte przestępstwo, — wieś jednak nie stanowiła właściwie jednostki prawnej, ani jej grunta — jednostki gospodarczej, będąc, conajwyżej, zbiorowiskiem terytoryalnem jednostek podobnych. Co do związków krwi kmieci polskich — *cognationes*, to te rozpłynęły się tak wcześnie w *communitas* »niemieckiej«, że się nic bliższego o nich powiedzieć nie da. Każdy kmieć, byle czynsz wraz z daninami i prestacyami opłacił, gospodarował sobie i dla siebie, będąc, z wyjątkiem okoliczności pomienionych (pan, opole, sąsiedztwo), jednostką całkiem niezależną

w zakresie praw, przysługujących mu z urodzenia. — Inaczej miała się rzecz w importowanym do Polski wiejskim ustroju niemieckim, pochodzącym ze »złotych« jeszcze czasów zachodniego wieśniaka. — Zasada niezawisłości osobistej, człowieczej, rozwinięta jest w tym ustroju o wiele wyżej niż w polskim (mamy tu na myśli klasę najliczniejszą ludności wieśniaczej polskiej, wzmiankowaną wyżej pod γ). Wszelako miejsce ograniczeń innych zastępuje w nim, na rzecz produkcyi rolnej, zawodowa zawisłość gospodarcza w zakresie czasu, rodzaju uprawy i eksploatacyi ziemi, określonych ściśle przez płodozmian, wspólny dla gruntów danej wioski. Wypływająca właśnie z tego ustroju wspólność osadników rolnych, zamieszkałych w danej miejscowości, składa się — zarówno pod względem agrarnym jak i autonomii prawnej, na pojęcie i istotę wsi właściwej (niemieckiej *Dorf)*, a dalej wogóle — instytucyi wiejskiej wspólnoty *(Dorfgemeinde, communitas)*, czyli gromady.

Nie była jednak ta wspólność komunizmem. Każdy członek gromady posiadał bowiem wydzieloną sobie z gruntów wiejskich, a określoną ściśle, ilość roli, łąki, lasu, czyli — obok pastwiska wspólnego — osadę, rozproszoną niekiedy w swych częściach składowych na przestrzeni większej, w miarę rodzaju wiejskiego terenu i zastosowanego doń płodozmianu. W całości

nosiła ta osada nazwę włóki, czyli łanu *(Hufe, łać. mansus)*. — Powstałe wskutek podobnego urządzenia szachownice gruntów wieśniaczych, spotykamy i dziś jeszcze, zarówno na Zachodzie, jak i u nas, we wsiach, które posiadały w przeszłości prawo i urządzenia niemieckie. Wsie tedy w znaczeniu właściwem, bo — mające za podstawę zarówno większą ilość »gospodarek«, jak i ich łączność prawno-rolniczą, powstają u nas w zasadzie, a wbrew dawniejszym poglądom historycznym, dopiero pod wpływem kolonizacyi niemieckiej [1]). Łączy się z niemi ściśle nowy typ kmiecia, o jakim mowa.

Widząc strony dodatnie nowego wzoru, z którego zastosowania, w ślad za podniesieniem rolnictwa, większy też dochód (czynsz) z ziemi osiągnąć było można, poczynają rolni właściciele polscy, jak oto: panujący, Kościół i szlachta, nietylko przybywających z Zachodu kolonistów na gruntach swych osadzać, zaopatrując ich w przywileje na dalsze praktykowanie w całej pełni niemieckich obyczajów prawnych i rolniczych, ale — dawne nawet wioski »polskie«, przenoszą, czyli »lokują« na prawie i rolnych urządzeniach niemieckich. Przywilej odpowiedni otrzymywał do rąk, przed przystąpieniem do założenia lub do organizacyi wsi, przedsiębiorca tej

[1]) Ob. niżej ustęp o położeniu ekonomicznem kmieci

czynności, czyli »zasadźca« *(scultetus*, sołtys), stający się pośrednikiem pomiędzy gromadą *(communitas)* a panem. Stawał się on nadto wojennym tegoż towarzyszem i sędzią w pierwszej instancyi spraw danej wsi, sądzonych na podstawie prawa niemieckiego. Za trudy swoje otrzymywał część dochodów z sądownictwa i wolny od ciężarów kawał gruntu (sołectwo) dla siebie i swych potomków, którzy urząd jego dziedziczyli.

Możliwie dokładna synteza dziejów klasy włościańskiej, a stąd i kmieci właściwych w Polsce, należy jeszcze do przyszłości. Wielorakość partykularyzmów dzielnicowych i niemniejsza różnorodność warunków ekonomicznych, oraz sto sunków agrarnych w różnych ziemiach i epokach, nie pozwalają, z wielu względów, na sumaryczne traktowanie dziejów »włościaństwa« polskiego, ani nawet historyi kmieci *(kmethones*, rzadko *rustici)*, czyli typowej ludności wieśniaczej średniowiecznej, występującej w przybliżeniu w okresie lat 1250—1450, nim się na typ chłopa (poddanego, *rusticus*, rzadziej *kmetho)* zamieniła. — Odtworzenie tych dziejów na podstawie skąpych zabytków ustawodawczych (Statuty) byłoby z trzech powodów dalekie od prawdy. Po pierwsze z powodu lakonizmu rzeczonych zabytków — zwłaszcza w stosunku do ludności wiejskiej; powtóre — z powodu częstej, niemal zasadniczej, rozbieżności pomiędzy teoryą

(t. j. ustawodawstwem, a raczej jego usiłowaniami) a praktyką prawną w Wiekach Średnich i po trzecie — z powodu sprzeczności, jaka pomiędzy ideą ujednostajnienia prawa, piastowaną przez rząd, a istotnym, partykularnym stanem rzeczy, podtrzymywanym przez sądy i społeczeństwo, zachodziła. Klucze do poznania tej rzeczywistości szerokiej, a skomplikowanej, spoczywają podziśdzień jeszcze w surowym a olbrzymim materyale archiwalnym, dotyczącym bezpośrednio omawianej kwestyi. Są to — poza nielicznymi stosunkowo (znanymi) dokumentami lokacyjnymi — księgi sądowe. Poczynają się one dopiero na schyłku XIV wieku, a zawierają materyał kolosalny i nieoceniony. — Mówiąc o dziejach kmieci, należałoby właściwie mówić oddzielnie, a przynajmniej zaznaczać waryanty historyczne, zachodzące pomiędzy dziejami kmieci śląskich, wielkopolskich, małopolskich, kujawskich, mazowieckich i t. d. Jest to dzisiaj jeszcze, ściśle biorąc, nawet w przybliżeniu, niemożliwe. Jeżeli jednak, jako przykład najwybitniejszy, obierzemy sobie dzieje kmieci w najkulturalniejszej prowincyi średniowiecznej polskiej, t. j. w Małopolsce, to dzieje właściwe przedstawiają się (na podstawie źródłowej) jak następuje [1]): W końcu XIV

---

[1]) Cały wykład opieramy poniżej na dyplomataryuszach, na *Liber Beneficiorum* Długosza, oraz — przedewszystkiem — na rękopiśmiennych księgach ziemskich,

i w początkach XV wieku, a nawet w całej pierwszej jego połowie, spotykamy tam dwa typy kmieci: osadzonych na prawie niemieckiem i polskiem. Pierwsi podlegali w zasadzie sądownictwu autonomicznemu właściwego sądu sołtysiego, a w wyższej instancyi — sądowi prawa niemieckiego na zamku krakowskim, przyczem od r. 1423, w zakresie czterech artykułów grodzkich (podpalenie, rozbój, grabież, gwałt), ciążyło nad nimi i ogólne sądownictwo grodu *(jus castrense)*. Drudzy podlegali przedewszystkiem sądom grodzkim, których kadencye były nieprzerwane, oraz — w praktyce, i sądownictwu ziemskiemu. — Nadto, mówiąc językiem rzeczywistości, a nie teoryi, nadmienić trzeba, że niektóre wsie »niemieckie« podległe były sądownictwu pańskiemu *(jus dominiale)*; »polskie« zaś, pomimo że teoretycznie powinno było być wręcz naodwrót, należały w tej mierze do wyjątków. Anomalia ta powstawała w sposób następujący: Sądy dominialne utrzymywali na mocy specyalnych, rzadkich przywilejów, przedewszystkiem Kościół i magnaci, a sądy te sądziły w zasadzie swoich kmieci własnych; inni kmiecie polscy,

---

grodzkich etc. krakowskich z XIV—XV wieku. Przygotowując opracowanie bardziej szczegółowe niniejszego szkicu w książce osobnej, pomijamy tu wszelkie bliższe cytaty, zaczerpnięte z kilkudziesięciu tysięcy zapisek sądowych, oraz z wielu innych dokumentów.

pozbawieni sądownictwa dominialnego, korzystali z sądów państwowych. (Było to naturalne, gdy zważymy, że sądy średniowieczne uważać należy przedewszystkiem za instytucye, trudniące się pośrednictwem w zawieraniu kompromisów pomiędzy powaśnionemi stronami — zarówno w sprawach w pojęciu dzisiejszem »cywilnych«, jak i w »karnych«. Wyjątek stanowiły w tej mierze tylko 4 artykuły grodzkie). Tymczasem przeciętny szlachcic (dziedzic), przenosząc za zezwoleniem panującego wieś swoją »polską« na prawo niemieckie i zwalniając ją tem samem od juryzdykcyi sądów państwowych, t. j. polskich, a w pierwszym rzędzie od sądownictwa starościńskiego i kasztelańskiego, czyli — grodu, zostawał sam jej sołtysem, t. j. sędzią autonomicznym niemieckim, pomimo, że Statut Wiślicki proceder taki za niegodny szlachty uważał. — Że jednak taki pan-sołtys prawa niemieckiego nie znał, a dochody z nabytego przywileju sądownictwa chętnie pobierał, przeto zwykł był sądzić kmieci swoich wedle normy sądów dominialnych polskich. I powstała stąd dziwaczna instytucya »sołtysa polskiego«, która się z czasem zupełnie utarła, otwierając drogę późniejszej — z doby chłopskiej — przewadze prawnej pana nad kmieciami, zwłaszcza, gdy ją i stosunki ekonomiczno-agrarne na niekorzyść tych ostatnich wzmocniły. Jakkolwiek szlachta rzadko

jeszcze w sposób bezpośredni obowiązki sołtysie we wsiach swoich sprawowała, trzymając sobie do tego odpowiednich zastępców (sołtysów), to jednak tkwił w tem zawiązek późniejszej potęgi pana. — Reasumując ustęp powyższy, stwierdzić musimy, że dwie wspomniane kategorye kmieci rozpadały się właściwie u schyłku Wieków Średnich na cztery poddziały: *a)* kmieci niemieckich, *b)* kmieci polskich, *c)* kmieci legalnie pańskich (n. p. w dobrach kościelnych, posiadających sądy dominialne = patrymonialne) i *d)* kmieci pańskich nielegalnie (czyli — przeniesionych urzędownie z prawa polskiego na niemieckie, ale uważanych w praktyce przez szlachtę za (ludność γ) rodzaj »chłopów« późniejszych). — Epoka, o jakiej mowa — nawskróś grubo-materyalistyczna, — miała, obok ujemnych, tę dobrą dla kmieci stronę, że w praktyce stosunki społeczne polegały w niej nie tyle na ideowej, klasowej, ile jeszcze, a przedewszystkiem — na ekonomicznej podstawie. Ogólne zaś stosunki były tego rodzaju, że się szlachta osobiście mało naówczas rolnictwem trudniła, przenosząc ponad nie służbę rycerską. Zasadą wartości ziemi był dla niej przeważnie jeszcze czynsz, a marzeniem ekonomicznem — możliwe podniesienie jego skali. Stąd na wolność osobistą kmieci nie dybała wcale, a kmieć sprawny i pracowity, byleby obowiązkom umowy z panem czynił zadość, posiadał całą możność

zdobycia poważniejszych nawet zasobów materyalnych, które mu *per fas et nefas*, ale skutecznie, do najwyższych szczebli społecznych mogły utorować drogę. Drobna, a często żadna różnica kulturalna pomiędzy nim a szlachcicem, sprzyjała temu nie mało. Zjawisku owemu udzieli oświetlenia jaskrawego fakt, że uboższa, przeciętna szlachta średniowieczna oceniała przywileje stanu swojego przeważnie ze strony praktycznej: dumna była z tego, że członki jej i rany wyżej były w taksach Statutu szacowane, aniżeli kmiece, ale nie mogła przy sposobności oprzeć się pokusie, aby poczęstunku z rąk kmiecia nie przyjąć, aby z nim w karczmie nie świadczyć sobie kompanii, pożyczką lub darem jego pogardzić, a wreszcie (rzadko!) — gdy bogatszemu o to chodziło, — nie zaświadczyć pod przysięgą zupełnego z nim braterstwa po klejnocie i zawołaniu. Że przez małżeństwa i drogą fałszywego wywodu ze szlachectwa wsiąkło w materyalistycznej, krzywoprzysiężczej dobie średniowiecznej, nie mało kmieci bogatszych do szlachty, to rzecz niewątpliwa.

Idea wyższości urodzenia, stojąca w dobie późniejszej — nie bez wyjątków jednak — zjawiskom takim na drodze, tkwić mogła w stul. XIV i XV jedynie w głowach możnowładców, wobec których przed przywilejem Jedlnieńskim, przed Kazimierzem Jagiellończykiem i Aleksan-

drem, jeszcze się szlachcie o równości przysłowiowego zagrodowca z wojewodą ani śniło! Szlachta szara, uboga, stanowi w Wiekach Średnich żywioł, wobec wszystkich warstw społecznych — nie wyłączając kmieci — stanowczo pod względem ekonomicznym (wówczas *absolutnie* najdonioślejszym faktycznie) upośledzony. Na takiem tle zasadniczem rozpatrywać należy dzieje rzeczywiste kmieci ówczesnych. *W teoryi* byli bowiem kmiecie upośledzeni, zarówno pod względem społecznym, jak prawnym i ekonomicznym. Przezwiska: rybałt, łapka, cham i chłop, dotykały ze strony warstw wyższych ich godność osobistą. Statut ustanawiał cenę ich głowy na 10 grzywien, podczas, gdy szlachecka n. p. 60 była warta, a ziemia, którą uprawiali, nie była (prócz wyjątków) ich własnością, co zmuszało ich do opłacania się za prawo pracy i za zdobywanie sobie warunków bytu. *Teorya* ta odbiła się właśnie w Statutach, które — nietylko opłaty najniższe za śmierć (10 grz.), rany krwawe (2 grz.) i tłuczone (8 skojców), zadawane kmieciom, wyznaczały, ale — ze względu na straty, wyrządzane w krzywdach kmiecych panom, część poważną ($40^0/_0$—$50^0/_0$) tych opłat sądom, a względnie i właścicielom gruntu przyznawały. — *W praktyce* sądowej jednak, będącej odbiciem życia, nie teoryi, dola kmieca w korzystniejszem świetle się przedstawia. Wartość eko-

nomiczna pracownika na roli zagłusza tu często jego upośledzenie socyalne i prawne, doprowadzając niekiedy do zjawisk iście zdumiewających. Za zabójstwo szlachcica n. p. groziła każdemu, a więc i kmieciowi (zazwyczaj opłaty normowane były nie według klasy krzywdzicieli, lecz — pokrzywdzonych), wysoka opłata karna, wynosząca 60 grzywien. Rozmiary jej podnosiły nadto dwie kary sądowe »piętnadziesta« (po 3 grzywny), płacone sądowi i spadkobiercom zabitego. 66 grzywien była to suma dla kmiecia i wogóle dla człowieka niebogatego — rujnująca. Niemożność uiszczenia jej groziła śmiercią. W takich wypadkach zdarzało się, że sąd kmieciowi kary dodatkowe darowywał *(indulsio poene XV)*, a główszczyznę rozkładał (za zgodą powoda) na raty, i to w naturaliach, n. p. w wosku, po cenie możliwie wysokiej. Wypadku takiego w zastosowaniu do szlachcica nie znamy. Przeciwnie — szlachcic za ochromienie lub zranienie szlachcica płacił dwa razy tyle, co nie szlachcic, a więc i kmieć. Pochodziło to z usiłowania wpojenia w rycerstwo obyczajów bardziej kulturalnych, oraz poczucia wyższości własnej. — Cześć niewiasty kmiecej ceniona była na równi z inną — t. j. *oppressor... in gratia... ejus* — bez względu na klasę, do jakiej ów oppressor należał. — Jako człowiek wolny, mógł kmieć dochodzić na każdym — nie wyłączając

własnego pana — krzywdy swojej, a sądy publiczne (inne stanowią mniejszość) rządziły się w tej mierze bezstronnością najzupełniejszą. Nie wolno go było »ciążyć« *(impignorare)* za winy pana, a nawet, uwzględniając ewentualne ubóstwo kmiecia, nakazywał go Statut ciążyć w razie nieusprawiedliwionej nieobecności w sądzie *(contumacia)* tylko na jednym wole, podczas gdy szlachcicowi podwójny w takim wypadku sekwestr zagrażał. Wzbraniał wprawdzie Statut kmieciowi naganiać szlachectwo szlachcicowi *(vituperatio nobilitatis)* — chyba takiemu, któryby w mieście siedział i kupczył, albo, raz już przez równego sobie naganiony, z zarzutu się nie oczyścił *(expurgatio nobilitatis)*; ale sam fakt tego zakazu świadczy z jednej strony o usiłowaniu państwa, aby szlachtę podnieść społecznie, — z drugiej zaś — o wysokiem stosunkowo stanowisku kmiecia, które sztucznie, za pomocą nakazów z góry, obniżyć trzeba było w myśl feudalnej zasady średniowiecznej, że winny przez równego sobie sądzonym i ocenianym być powinien. — Idea ta była z dwóch względów do przeprowadzenia trudną. Raz — dla małej różnicy kulturalnej, jaka pomiędzy szlachtą i kmieciami zachodziła, a powtóre dlatego, że same nawet organa władzy — sądy i sędziowie, słabo sobie jeszcze z różnicy stanowej obu tych klas zdawali sprawę. Nie wiedzą tedy sądownicy

ówcześni dokładnie, w czem właściwie i jak na drodze praktyki prawnej, często prejudykatowej, a w dalszym ciągu — ustawodawczej, należy tkwiącą w abstrakcyi ówczesnej potrzebę wyodrębniania klas społecznych, uwydatniać. — Na tej *tabula rasa* przebijają tu i owdzie zawiązki urządzeń późniejszych, skrystalizowanych w dobie »chłopskiej«, w wieku XVI i XVII, — albo reminiscencye prastarych obyczajów prawnych danej ziemi, przestarzałych już w omawianej dobie. Naogół jednak epoka ta przedstawia nader mało prawnych ograniczeń kmieci poza temi, jakie co do opłat karnych ustalił Statut Wiślicki. Najważniejszem z tych ograniczeń dodatkowych w Małopolsce było zasądzanie od kmieci kary »piętnadziesta« na rzecz sądu i strony wygrywającej, o ile był nią szlachcic lub żyd, a — brak przysądzania jej kmieciom. Gdy kara taka należała się kmieciowi, pobierał ją pan jego. Piętnadziesta stawała się przeto w tym wypadku, jakby jednym z pierwszych symbolów pojęcia o zwierzchnictwie pańskiem *(dominium, jus dominii)*. Być może jednak, że była tylko relucyą za należne panu faktycznie, lub teoretycznie, prawo sądownictwa w danej sprawie. Świadczyłby o tem fakt, że »piętnadziestę«, należną woźnemu, sąd właściwy zabierał, a mieszczanom, stającym przed sądami polskimi (niewłaściwymi dla nich, bo należeli do niemie-

ckich) nie przyznawano jej wcale. Karę drobniejszą, VI *gryffen* (= 6 skojców) kmiecie pobierali.

Jeżeli dola prawna kmieci, legalnie lub nielegalnie »polskich«, do najgorszych nie należała, to lepszem jeszcze było położenie kmieci »niemieckich«, a nawet tych »polskich« (z dóbr duchownych), którzy faktycznie sądownictwu pańskiemu podlegali. — Kmiecie »niemieccy« sądzeni byli przez sołtysa wedle prawa niemieckiego w sądzie sołtysim, wiejskim, czyli ławniczym *(Judicium bannitum)*. Niekiedy nazywano go i gromadzkim, a sądził on w zasadzie wszelkie drobniejsze sprawy kmieci właściwych, których, jakby w poczuciu ich wyższości nad kmieciami »polskimi«, — »mieszkańcami« i «czynszownikami«, a wyjątkowo tylko kmieciami (jak należało), mianował. Sprawy ważniejsze tych kmieci, podobnie jak i mieszczan, rozstrzygał Sąd Wyższy prawa niemieckiego na zamku krakowskim. Ponieważ kmiecie i mieszczanie stanowili w zasadzie wyłączną klientelę sądownictwa niemieckiego, przeto byli przez nie traktowani naogół tak, jak szlachta przez państwowe sądownictwo polskie. W praktyce wystarczały kmieciom przeważnie same sądy sołtysie, podobnie jak mieszczanom — sądy wójtowskie. Na sto spraw, sądzonych w Wyższym Sądzie prawa niemieckiego wypada, n. p. w latach 1392—1416, za-

ledwie 4°/₀ spraw kmiecych i 6°/₀ mieszczańskich [1]). Olbrzymią większość, wynoszącą 90°/₀, stanowią tam sprawy sołtysów i wójtów, dla których sąd ów był instytucyą jedyną, poza sądem królewskim. — Kmieci, podlegających sądownictwu pańskiemu, t. j. (w zasadzie faktycznej) kmieci z dóbr duchownych, sądził sąd dominialny, inaczej patrymonialnym zwany, znajdujący się zazwyczaj w każdych obszerniejszych włościach duchownych. Sąd ten »wyręczał« samego pana, t. j. biskupa, opata i t. p., a składali go: sędzia pański, wójtem niewłaściwie zwany, oraz ławnicy. Jeżeli wszystkie inne sądy tej epoki starały się usilnie o zadowolenie swej klienteli, z której im dochód wszelaki płynął, to pierwszymi w tej mierze były sądy dominialne, najmniejszą klientelę posiadające [2]). Zdarzało się tedy, i to dość często, że strony, pomijając właściwe sądy swoje, szukały załatwienia spraw w — innych, przedstawiających lepsze widoki powodzenia. Oczywiście, było to możliwe tylko za zgodą obu stron poważnionych.

---

[1]) Acta Jud. Jur. Supr. Magdeb. in Castro Crac. (Archiwum Krajowe w Krakowie).

[2]) Przypominamy, że wszelakie sądy ówczesne — z wyjątkiem grodu w sprawach gardłowych *(quatuor articuli castrenses)* — były przedewszystkiem instytucyami, pośredniczącemi kompromisy pomiędzy stronami, na podstawie obyczajów prawnych.

Znamy jednak mnóstwo wypadków, w których zgoda taka następowała, a obwiniony, lub powód, *a jure suo recedendo*, wyrok niewłaściwego sądu przyjmował. Z jednej strony wytwarzało to gmatwaninę stosunków prawnych; z drugiej jednak ludzie, zwłaszcza ubożsi, wyzwalali się w ten sposób od ewentualnego upośledzenia, lub od wysokich kar sądowych (np. w państwowem sądownictwie polskiem), zyskując na kieszeni i honorze. — W tem położeniu rzeczy zarysował się na tle sądownictwa dominialnego, zmierzającego do powiększenia swej klienteli, ten objaw charakterystyczny, że kmiecie np., skoro tylko mogli, nigdzie indziej, jeno w sądach patrymonialnych sprawy swoje (zwłaszcza, gdy ich pozywano) załatwiać usiłowali. Gdy dodamy, że w sprawach z panem własnym stały dla kmiecia ówczesnego zawsze sądy publiczne otworem, a w sprawach z obcymi pan, *stans circa hominem suum*, starał się nietylko od krzywdy, ale i od cięższej przegranej kmiecia swojego ocalić — było naogół położenie prawne kmieci wszelkich kategoryi u schyłku Wieków Średnich z pewnością lepsze, aniżeli np. szlachty ubogiej.

Przechodząc do położenia ekonomicznego kmieci, nadmienić musimy, że podstawa ich bytu, rolnictwo, stało w Małopolsce w omawianej dobie dość wysoko. Jednopolówka należała już przeważnie do przeszłości, zastąpiona przez pło-

dozmian trzechpolowy; znaczna ochrona lasów wskazywała nadto na minioną już przeszłość gospodarstwa prymitywnego, opartego na nowinach upopielonych, a uprawa grochu, jęczmienia, kapusty, lnu, maku, owsa, prosa, pszenicy, tatarki, wyki i żyta, oraz ogrodowizn — marchwi, ogórków, pasternaku, pietruszki, rzepy, rzerzuchy i rzodkwi — na wyższy stopień kultury rolnej. O gospodarstwach rodzimie polskich, t. j. z przed wpływu urządzeń niemieckich, mamy tylko jaknajogólniejsze dane, stwierdzające fakt systemu jednodworczego, polegającego na zupełnej swobodzie gospodarczej każdego osadnika. Bez względu tedy na to — ile osad wieś »polska« liczyła, był to zawsze tylko zbiór osad jednodworczych, niezwiązanych z sobą pod względem rolniczym. Gromadność pracy na roli — system wielodworczy (»Mehrhofsystem« w przeciwstawieniu do dawnego polskiego »Einhofsystem«) wprowadzony został do nas dopiero pod wpływem kolonizacyi niemieckiej. Wątpliwości w tej mierze odeprze fakt, że system rolny niemiecki z epoki Karolingów, domu Saskiego i Staufów, znajduje w Polsce XIV i XV stulecia — w typie wsi »niemieckiej« — swoje identyczne odzwierciedlenie; natomiast typy topograficzne prastarych wsi polskich spotykamy w Niemczech tylko na gruncie słowiańskim, co świadczy o zewnętrznej odrębności przyrodzonej obu typów; ich zaś odmien-

ność wewnętrzną (jednodworczą i wielodworczą) charakteryzują dostatecznie badania Smolki[1]) i Małeckiego[2]) w sposób, niedopuszczający hypotezy, że i przed kolonizacyą niemiecką oba te typy — niemiecki i polski — były do siebie zbliżone. — Jakkolwiek wsi, nowo na prawie niemieckiem założonych, było stosunkowo niewiele (w dobie i miejscu, o jakich mowa — około 17%), to jednak znakomitą ilość wiosek z prawa polskiego na niemieckie przeniesiono, a w większości pozostałych zaprowadzono urządzenia niemieckie[3]) mniej lub bardziej wiernie skopiowane. Kmiecie stali się czynszownikami (dzierżawcami), na warunkach, rozmaicie tu i owdzie ustanawianych. W stosunku do pana — właściciela gruntu, na jakim siedzieli, obowiązywał ich tylko kontrakt z nim zawarty, a w ręce sołtysa, pośrednika pomiędzy dziedzicem i gromadą, złożony. Pan dyktował zwykle takiemu »zasadźcy« przed umową warunki swoje, dotyczące czynszu *(census, salarium)*, danin *(praestationes)* i robocizn *(labores)* na folwarku dworskim. Sołtys, trzymając się tych warunków, umowę z ochotnikami zawierał, poczem każdemu z nich

---

[1]) »Mieszko Stary«, str. 425—428.

[2]) »Z przeszłości dziejowej«, I, 191—243.

[3]) Wynika to z kontraktów, zawartych w *Liber Benef.* Długosza.

grunt (łan, *Hufe*, włóka, *mansus)* wydzielał. Takiż sam proceder towarzyszył przenoszeniu dawnej wsi »polskiej« na prawo niemieckie.

Jeżeli grunt był dziewiczy, nowi osadnicy otrzymywali — (wzamian za pracę dla przyszłości nad kulturą nowiny) — zwolnienie częściowe lub zupełne od wszelkich opłat i ciężarów na rzecz pana, co zwało się w o l n i z n ą[1]) lub w o l ą, przyczem wieś taka nowopowstająca nazwę Woli zazwyczaj otrzymywała. Z ilości (233) i położenia wiosek tego miana, podziśdzień istniejących, wynikałoby, że ruch osadniczy (na nowinach) rozwijał się różnymi czasy (przeważnie jednak na schyłku Wieków Średnich) w całej Polsce prawie jednakowo. »Wól« przypada na Małopolskę 34%; na Wielkopolskę 31% i 35% na Mazowsze. Lata wolnizny trwały od lat paru do — kilkunastu, kładąc podwalinę pod dobrobyt pracowitych a gospodarnych kmieci. — Możności zdobywania takiegoż dobrobytu nie byli pozbawieni i inni kmiecie omawianej doby, gdy zważymy, że panom, zmuszonym stosować się do warunków ogólnych, chodzić musiało o podtrzymanie siły płatniczej i roboczej kmieci, jako kontrahentów, na których wartość ziemi i dochód z niej opierały się przedewszystkiem. Na straży kontraktów stały ponadto omówione już

---

[1]) *Libertas*, wolycza, leczenstwo.

warunki prawne epoki. Gdyby zaś pan, mimo wszystko, kmieci swoich ciemiężył — wtedy, jeśli nie sąd polski, to niemiecki znalazłby był drogę (*ev.* skargę prywatną) do króla i jego egzekutywy. Co zaś do kmieci »polskich«, to — poza przyjętym i dla nich kontraktem, lub umową — Statut pozwalał dwu kmieciom co roku rolę swoją opuszczać (i poszukiwać innej). W razie zaś cięższych przewinień pana [1]) — wszyscy kmiecie mogli wieś opuścić. I dwaj jednak — nie potrzebujący usprawiedliwiać się przed nikim ze swoich pobudek emigracyjnych — stanowić mogli doniosły dla szlachcica ubytek, gdy zważymy, że wioska przeciętna nie więcej nad 10—12 łanów, czyli osad kmiecych, liczyła, a rzadko która wieś stanowiła w całości własność jednego pana. Szlachta posiadała przeważnie własności kollokacyjne — tu i owdzie po łanie, lub po parę łanów — a w tych warunkach strata jednego nawet kmiecia — klęską często być mogła, bo gospodarka dworska (folwark = *Vor-Werk)* [2]) zaledwie na potrzeby domowe starczyła. — Wrażenie ogólne, jakie się z baczniejszego przeglądu ksiąg sądowych od-

[1]) Gwałt na kmiotce, ciążenie kmieci za winy dziedzica, klątwa rzucona na pana.

[2]) Werk zwała się cała figura gruntów kmiecych danej wsi, poza którą *(vor)* leżała posiadłość pańska.

nosi — przeczy stanowczo istnieniu nadużyć pańskich względem kmieci w omawianej dobie. Należą one do wyjątków, rzadszych bodaj od odwrotnych nadużyć — kmiecych. — Kontrakty bywały bardzo rozmaite, dyktowane przez potrzeby, upodobania, lub zwyczaje lokalne; naogół jednak przedstawiają się one w postaci ekonomicznej ciężaru (ogólnego), spoczywającego na kmieciach, mniej więcej jednakowo. Jeżeli bowiem czynsz był większy, za to inne ciężary i daniny redukowano odpowiednio i — odwrotnie. Począwszy od kontraktów, brzmiących: »2 grzywny czynszu z łana, zresztą — nic«, a skończywszy na »żadnym czynszu, a wszelkich robotach na polach dworskich« — cała olbrzymia skala umów najoryginalniejszych, danin, przysług, opłat i robocizn, przewija się przed naszemi oczyma w obfitych źródłach epoki [1]).

Co do ciężarów publicznych, to na schyłku Wieków Średnich kmiecie polscy podlegali im (częściej relucyi pieniężnej) podobnie, jak w dobie przedkolonizacyjnej. Relucya pieniężna, a zwłaszcza poradlne, zgeneralizowane przez króla Ludwika — zmniejszyły jednak naogół dawną różnorodność tych prestacyi, wychodzących coraz bardziej z użycia. W dobrach królewskich

---

[1]) Porównaj przedewszystkiem *Liber Beneficiorum* Długosza.

i duchownych zachowały się one najdłużej, wykazując jeszcze w wieku XV około trzydziestu rodzajów prestacyi publicznych. — Kmiecie »niemieccy« (poza poradlnem, opłacanem najczęściej przez pana) uiszczali t. z. kollektę, czyli opłatę, w wypadkach dla panującego radosnych, lub groźnych (wesele, niewola, kontrybucya). Rodzajem ciężaru publicznego, spoczywającego na kmieciach, była dziesięcina kościelna, prawie wyłącznie w naturze uiszczana, a snopową, wytyczną, lub małdratową zwana. Polegała ona na tem, że w końcu żniw, nim zboże zwiezione było z pola, wzywali kmiecie oficyalistę właściwego kościoła, który, zjechawszy na miejsce, dziesięcinę — t. j. dziesiątą część plonu — »wytyczał« i albo sam ją zabierał, alboli też kmiecie odstawiali ją na miejsce wskazane. Odstawa ta bywała często powodem nieporozumień, a za niemi — wyroków sądownictwa duchownego *(jus spirituale)* na nieposłusznych. Ulegali im zarówno wszyscy kmiecie, choć wsi lokowanych na tem prawie było bardzo mało [1]). Zamiana dziesięciny snopowej na pieniężną należała do wyjątków, a spory o dziesięciny kościelne gnębiły nietylko kmieci, ale i szlachtę.

[1]) Prawu kościelnemu ulegali przedewszystkiem t. zw kmiecie-świątnicy, będący rodzajem pozostałości po dawnych (β) »narocznikach« kościelnych.

Zawierając kontrakt z panem, kmieć uiszczał opłatę pieniężną, zwaną g o ś c i n n e *(hospitale)* — czyli odwrotny rodzaj dzisiejszego zadatku. Jeżeli przybywał z własnym inwentarzem, szacunek pański dla nowego przybysza odbijał się w umowie, opiewającej o wyższym czynszu, a mniejszych robociznach. Kmiecie bogaci zyskiwali najłatwiejsze warunki dzierżawne; biedakom najcięższe groziły. Pierwsi bowiem dyktować mogli warunki swoje; drudzy mogli ich tylko słuchać. Pierwsi wybierali sobie zazwyczaj wsie »niemieckie«, a gdy do zatargu z panem przyszło, nie wahali się np. grozić mu, że go na »żebrę we własnych dobrach puszczą« — drudzy, gdy ich i w »polskich« nie chciano, zmuszeni byli nieraz, zamiast dzierżawy czynszowej — imać się prostej służby na folwarku i schodzić w poczet zwykłych parobków *(familiares)*. — O przywilejach prawnych, o obowiązkach i ich stopniu, stanowiły tedy wyłącznie czynniki ekonomiczne, boć »prawo« polskie czy »niemieckie«, nie do kmieci, lecz do ich gruntów, przywiązane było.

Po zawarciu umowy, kmieć na gruncie wskazanym osiadał. Mógł on ewentualnie otrzymać inwentarz i zagrodę, lub pole gołe bez inwentarza, które zabudowywał i inwentarzem własnym obsadzał. W pierwszym wypadku stawał się bardzo od pana zależnym, w drugim — pan

o jego względy się ubiegał. Obie te okoliczności zaznaczały się oczywiście w warunkach kontraktu, podobnie jak i stan, w jakim kmieć rolę otrzymywał. Zwykle zastawał ją już obsianą — ponieważ termin umów dzierżawnych zamykał się pomiędzy połową grudnia i stycznia. Jeśli była jałową, kontrakt brzmiał odpowiednio. Przy opuszczaniu gruntu kmieć winien był panu czynsz na św. Marcin z dołu zapłacić i rolę w stanie umówionym (zwykle — obsianą) zwrócić. Jeśli otrzymał był inwentarze żywe lub martwe, zwracał je także w stanie umówionym. Kmieć zamożniejszy, biorąc się do pracy, przyjmował zwykle parobków [1]) na utrzymanie, a niekiedy i za skromną pensyę, przyczem ich panem *(dominus)* zostawał. — W miarę gleby i nakładu pracy, dochód brutto z łanu wahał się w wieku XV w Małopolsce pomiędzy 10½ a 4 grzywnami rocznie; średnio 7 grzywien wynosił. Że zaś cena takiego łanu (wprawdzie bez inwentarzy) nie przewyższała 20 grzywien, dochód ten nie był wcale mały. Inwentarze żywe i martwe nie przenosiły wartości 20 grzywien na łanie. Olbrzymia ta suma wynika z ówczesnych nizkich cen ziemi, a stosunkowo wysokich — inwentarza żywego i martwego. Ścisłość zupełna nie

---

[1]) *Familiares, famuli, homines* wczanstnyczy = uczestnicy.

jest tu jednak ze względu na naturę źródeł możliwa. — Prócz dochodów z roli mógł niekiedy kmieć posiadać i inne, zwłaszcza w okolicy miast (warzywa, drób, masło, jaja, miód etc); są one jednak nieobliczalne. — Po potrąceniu wydatków obowiązujących (czynsze, daniny, dziesięciny) pozostawało mu przeciętnie 2—5 grzywien, t. j. około 57.60—144 franków rocznie na potrzeby własne. Tak się przedstawia ten dochód wedle dzisiejszej wartości metalu (srebra), zawartego w 2—5 grzywnach »groszy« z XV wieku. Wartość obiegowa tej sumy była jednak wtedy znacznie większa; wynosiła bowiem w stosunku do cen inwentarza (krowy, woły) około trzech razy tyle. Co do cen żyta i pszenicy, to ceny ówczesne miały się do dzisiejszych, jak 5:3. Ceny owsa były mniej więcej jednakie. Wartość wyrobów miejskich, niezbędnych dla kmieci, odpowiadała wedle powyższego rachunku (2—5×3) cenom dzisiejszym. Produkty kultury wyższej były nieprzystępne ani dla kmieci, ani dla przeciętnej szlachty ówczesnej. Z obliczeń szczegółowych wynika, że kmieć mógł się odżywiać intensywniej, aniżeli wieśniak dzisiejszy. Naogół był on w położeniu do niego zbliżonem, a choć stał kulturalnie (nadewszystko w zakresie materyalnym) nieco niżej, to przedział pomiędzy nim a szlachcicem był bez porównania mniejszy, aniżeli dzisiaj. — Najpomyślniej przed-

stawiały się warunki ekonomiczne kmieci w Królewszczyznach; jeżeli zaś porównamy w tej mierze kmieci z dóbr duchownych i szlacheckich, to wszystko przemawia za tem, że ci ostatni znajdowali się naogół w położeniu o wiele lepszem aniżeli pierwsi. — Kmiecie bogacze, utuczeni na sołectwie, handlu podmiejskim, na »wolniznie«, młynie, lub karczmie, należeli do wyjątków. Wyjątkami byli jednak i kmiecie biedacy, nieledwie niewolnicy, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności, nie sług *(familiares)*, lecz kmieci rolę przyjmowali na siebie. — Znamy kmieci, którzy nabywali dobra całe, mieli na nich prawo pańskiego zwierzchnictwa *(jus dominii)*, obejmowali należne sobie dziedzictwo wiosek przy pomocy samego króla, gdy tego zaszła potrzeba, a posiadali ruchomości pańskie i stroili się — bodaj, jak magnaci... Znamy jednak i takich, co, płacąc po 1½ grzywny czynszu z łanu, z pługiem lub wozem po cztery dni w tygodniu na gruncie pańskim przez rok cały wysługiwać się musieli, a nadto inne jeszcze pełnili posługi i po 4 kapłony, oraz po pół kopy jaj na św. Marcin do dworu znosili. — Rzecz oczywista, że w miarę zamożności otwierała się przed pierwszymi przyszłość bodaj pańska, szlachecka, lub mieszczańska (bardzo rzadko), gdy drudzy na dno społeczne się staczali, pociągając i innych za sobą. Biedacy ci byli — obok cze-

ladzi dworskiej — awangardą ekonomiczną późniejszych środków ustawodawczych, mających stan »kmiecy« na »chłopski« zamienić. — Złożyły się na to okoliczności skomplikowane. Miejsce pierwsze zajęła w ich rzędzie zmiana stopniowa, jaka się w ciągu XV wieku w zawodzie życiodajnym szlachty dokonywała. Dopóki szlachcic był wyłącznie lub przeważnie rycerzem, dopóki część poważną dochodów swoich z łupu wojennego i z łaski monarszej czerpał, póty własność ziemska stanowiła dlań miejsce pobytu w czasie pokoju i połowiczną podstawę istnienia. Kmieć był wtedy posiadaczem większości gruntów szlacheckich, a folwark pański stanowił w stosunku do całości ziemi oczynszowanej — rezydencyę raczej, niż gospodarstwo. To też, gdy żywotne niegdyś prawo bliższości rodowej szlachty *(jus propinquitatis)* rozluźniać się wraz z upadkiem instytucyi rodów poczęło, oczynszowane ziemie szlacheckie, łany i półłanki, wymykając się z rąk pierwotnych właścicieli, przechodziły na własność członków innych rodów, a przed r. 1496, także mieszczan, kmieci, a nawet i żydów, drogą kupna, spadku, ożenku, lub zastawu. — Doszło do tego, że pan danego folwarku, przebywający w nim stale i z niego się piszący, posiadał rzadko we wsi przyległej większą ilość łanów. Zamożniejsi posiadali wprawdzie i po kilkadziesiąt łanów uprawnych, ale

łany te na wielkiej przestrzeni, po różnych wsiach, powiatach, a nawet i ziemiach bywały rozproszone. Gdy więc, wetując straty, poniesione na zaniku służby rycerskiej, zapragnęła szlachta, zwłaszcza uboższa, jąć się gospodarstwa rolnego, zaszła potrzeba zwiększenia folwarków przez komassacyę gruntów kmiecych, do folwarków przylegających. Kmiecie mieli kontrakty, chroniące ich od takiego zamachu, a kontrakt znajdował się w ręku sołtysa. Aby trudność tę zwalczyć, pan kupował nieraz sołectwo, sam sołtysem własnym zostawał, kontrakt zatracał i dyktował kmieciom warunki niemożliwe, aby ich się pozbyć i grunt opanować. Na to potrzeba było jednak pieniędzy, co się rzadko szlachcie zdarzało. Częściej korzystano z przypadkowej zatraty kontraktu, z pożaru, lub z prywatnej »umowy« z sołtysem. Były to atoli wszystko wypadki, raczej wyjątkowe, aniżeli stanowiące tło sytuacyi. Częściej zdarzało się, że szlachta uboższa, a tej było coraz więcej, zastawiała łany swoje, oczynszowane, sposobem wyderkafu szlachcie bogatszej. Ta ostatnia dochodziła tą drogą do majątku, do komassacyi gruntów i t. d., bo o wykupnie zastawu mowy zazwyczaj nie było. — Kmieć miewał tedy po dwu panów, a jakkolwiek zastaw gruntu, na jakim siedział, odbywał się w ramach jego kontraktu z pierwszym panem, to jednak pan ten, oddając wie-

rzycielowi cały użytek (czynsz) z zastawu — zwykle prócz robocizn na folwarku *(labores curiae)* — usiłował przy okazyi zastawu, aby nie tracić zbyt wiele, dawne warunki kontraktu obostrzyć, czynsz podnieść, robocizny oraz daniny zwiększyć i t. d. Ponieważ — wobec wybitnego zubożenia szlachty około połowy XV wieku — zastawy powtarzały się coraz częściej i liczniej, a potrzeba utrzymania się z roli była dla szlachty coraz naglejszą, doszło do tego, że naogół warunki samego kontraktu zasadniczego pana z kmieciem, uległy bardzo poważnym zmianom na niekorzyść czynszownika. — Kmieć roli na warunkach dla siebie dogodnych dostać już nie mógł: musiał przystawać na cięższe, lub emigrować na wschód (Ruś, Wołyń, Podole), gdzie walka o byt znacznie jeszcze lżejszą była. — Emigracya pozbawiała szlachtę nietylko czynszowników. O tych już nie stała! Pozbawiała ją ona tych robocizn, jakie kmiecie (w myśl kontraktów) na gruntach folwarcznych wykonywali. Robocizna stała się teraz tak pożądaną, jak dawniej czynsz, a czeladź, żywiona we dworze, lub opłacana, kosztowała drogo i nieraz do zdobycia łatwą nie była. Należało kmiecia przytrzymać i do nowych warunków egzystencyi zmusić, zwłaszcza, że gospodarstwo folwarczne mogło się szlachcie lepiej opłacać, z chwilą ożywienia handlu zbożem na Baltyku, oraz od-

kąd na targach cerekwicko-chojnickich z Kazimierzem Jagiellończykiem, taż szlachta wywalczyła sobie Ustawy Nieszawskie (r. 1454) ku skromnemu na r a z i e ograniczeniu możnowładztwa i nieszlachty. — Coraz częściej spotykamy odtąd orzeczenia znamienne, że »Trzej kmiecie robią tak, jak czterej«, oraz miana: *homines, incolae,* zamiast dawnych *kmethones.* — Wspomnienia o dawnej ludności półwolnej zaczynają powoli odżywać, a ciężary, do gruntu niegdyś przywiązane (robocizny), na bary kmieci, j a k o k m i e c i spadać. — Działo się to na tle, zaznaczonem powyżej, zwolna i stopniowo, ale systematycznie. Stosunki kmiece w drugiej połowie XV wieku przedstawiają obraz ciekawy epoki przejściowej, w której, obok zjawisk z doby kmiecej, spotykamy coraz częściej zapowiedzi mniej lub bardziej jaskrawe późniejszych czasów »chłopskich«. To pewna, że konstytucye z lat (1496), 1520, 1532 i t. d., wieńczące w sposób ustawodawczy — za pomocą stopniowego przypisania do gleby i ograniczenia wolności osobistej — zamianę kmieci na chłopów, nie zawierały ziarna idei nowych, jakby się to z przeglądu *Voluminów Legum* zdawać mogło, lecz, sankcyonując rzeczy dokonane, pod nowe upośledzenia ludności wiejskiej kładły podstawę. Już też w dobie pierwszej z konstytucyi pomienionych, z r. 1496, trudno mówić o kmieciach właściwych. Doba ta —

schyłek XV stulecia — otwiera ostatnią kartę dziejów włościan w Polsce, na której próżnobyśmy dawnych kmieci szukali. Początki tej doby noszą oczywiście na sobie ślady poważne doby minionej; ślady te jednak mogą służyć raczej do zagajenia rzeczy nowej o »włościanach«, aniželi do kontynuacyi opisu, któryśmy tutaj o kmieciach podali.

Literatura, dotycząca dziejów włościan, a stąd i kmieci w Polsce, jest bardzo obszerna, ale i bardzo daleka od dostatecznego wyjaśnienia przedmiotu. Na wyczerpującą, a racyonalną syntezę dziejów włościaństwa polskiego przyjdzie chwila dopiero po odpowiedniem wyzyskaniu olbrzymich materyałów archiwalnych.

KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLĘCIEM...

Drogim Cieniom Babki mojej

Joanny z Sucheckich Koźmińskiej

która te strony sercem Polki ukochała.

Powiedział ktoś, że Łódź przypomina mu szalejące orgią życia przemysłowego miasta amerykańskie: że posiada ich ruch, ich fizyognomię kosmopolityczną, skąpaną w dymie kominów fabrycznych, a napiętnowaną skurczem nienasyconych pożądań *business'u*, zastępującego im duszę...

Stutysięczna, wielojęzyczna fala huczy tu w murach i na ulicach miasta, zamieniając bez wytchnienia, z myślą — jak gdyby w jednym, wyłącznym kierunku — boleśnie napiętą, trud swój i mozoł, krew swą i energię swoją na góry złota dla czarodziejów fortuny, a na czarny kęs chleba i... nadzieje złote dla siebie samej.

Amerykanizm pod polskiem niebem, na chudych, bezwodnych piaskach łęczyckich, którym Boruta, sprzykrzywszy sobie figle, »Piskorzom« płatane, kazał rodzić złoto!... Zupełnie, jak w bajce...

Jak w bajce, powstały na piaskach pałace z marmuru i ogrody zaczarowane, jak w bajce

wytrysły z pod ziemi zdroje i wodospady, jak w bajce zamienił się szeroki szmat ziemi polskiej, okalającej to dziwne miasto, na jedyną w swoim rodzaju oazę kosmopolityczno-łódzkiego nalotu w mowie i obyczaju.

Dążąc — latem zwłaszcza — od Koluszek w stronę Łodzi, nie koleją żelazną, lecz boczną drogą kołową, napotkać można dziwowiska mało komu znane: posterunki wakacyjne *yankes'ów* osobliwego autoramentu, wielkie wsie ludne, nie rozumiejące polskiej mowy, »przeżytki« osadników polskich, co ich »Miémce« i »Śwoby« zwartą otoczyli ławą — rysujące się jaskrawo w przeciwieństwach kształtu i barwy, typy licznych osad kolonistów niemieckich, a coraz rzadszych, lubo wytrwałych w swym słowiańskim nieładzie, chat swojskich...

O, wsi polska! Wsi wesoła!...

Ale cóż było przed bajką? Co było tam w czasach, gdy zalew niemczyzny najmniej właśnie tej tu ziemi groził, gdy za jasnowidzenie przyszłości Łodzi można było niechybnie żywcem dostać się do piekła, gdy sam Stary Boruta, stary pono już za Sasów, młodym jeszcze był pacholęciem, młodszym niż dzisiaj o lat pół tysiąca, a bodaj i więcej?...

* * *

Było to w czasach, których rzeczywistość sama za bajkę tu starczy...

Szczupłe granice ziemi łęczyckiej, co zawrzeć potem miały województwo tegoż miana [1]), obejmowały terytoryum wydłużone, rozszerzające się w kierunku północno-zachodnim, gdzie, w sąsiedz-

---

[1]) Granice te odpowiadały sobie ściśle, przynajmniej na północy i wschodzie. Potwierdza to nietylko norma przeciętna tworzenia się województw w granicach dawnych, a odpowiednich kompleksów etnograficznych, ale nadto i szczegół, że pierwotnie kasztelania Chropska — późniejszy klucz Pabianicki, przez który (wzdłuż Neru na północy aż do Rzgowa) przechodziła linia graniczna województw Łęczyckiego i Sieradzkiego (klucz ten leżał potem w obu województwach) — sięgała tylko granic łęczyckich i poza nie nie wykraczała. — (Por. Maksymilian Baruch: »Pabianice, Rzgów i wsie okoliczne«. Warszawa 1903, str. 19. — Por. nadto: granice województw: Łęczyckiego i Sieradzkiego, wedle »Mapy Rzeczypospolitej Polskiej» Jana Babireckiego, wyd. II, Kraków, Sp. Wyd. pols.). — Wywód powyższy potwierdza również rozejrzenie się w granicach średniowiecznych dóbr wolborskich (por. niżej przypisek), oraz fakt, że Ziemia Łęczycka — późniejsze województwo — nosiła, jak wiadomo, za Piastów, miano Księstwa *(Dux Lanciciae).* Co do granic pierwotnych Ziemi Łęczyckiej na północy, por. nadto Karola Potkańskiego: »Opactwo na Łęczyckim Grodzie« (Rozpr. Wydz. Hist.-fil. Akad. Um., t. 43, str. 86 i nast.); co do reszty, ob tamże str. 99, a co do granic rawskich tamże str. 100 i nast. — Przybliżony do powyższego opis tych granic, podaje już Baliński & Lipiński (»Starożytna Polska«, I, 256).

twie ziemi kaliskiej, Kujaw i Mazowsza, panował na nizinie, zroszonej wodami Warty, Neru i Bzury, w samym nieomal środku części północnej późniejszego województwa, gród starożytny [1]), odwieczna Łęczyca (Tum) [2]).

Nie sądzono pierwszym, przedhistorycznym władcom tego gniazda, ani późniejszym ich następcom, co bezpośrednio wyprzedzili tu Piastów, jako »historycznych autochtonów« grodu i ziemi, rozszerzyć daleko swego panowania na najżyźniejszą glebę okoliczną. Jakkolwiek bowiem błotnista nizina łęczycka, łącząca wązkim smugiem wzdłuż rzek pomienionych, a przez okolice Turka, Łęczycy i Soboty, niziny poznańskie z nadwiślańskiemi, ku Łowiczowi, Błoniu i Warszawie [3]), była niewątpliwie jądrem pierwotnego osadnictwa tej ziemi: kąskiem najpożądańszym dla przedhistorycznych twórców państwowości w tych stronach — twórcy ci opóźnili dziejową

---

[1]) Starożytnym — Lucic... vetus castellum — nazywa go już Gall na początku wieku XII-go. (Galli Anonymi Chronicon, Leopoli 1899, str. 72).

[2]) Por. Potkański, »Opactwo na Łęczyckim Grodzie«, str. 113. — Sama Łęczyca (miasto) to podgrodzie Tumu — z powodu bagien (dziś jeszcze jest to widoczne) — nieco bardziej niż inne podgrodzia od grodu oddalone. Część tego podgrodzia znajdowała się dawniej bliżej Tumu (tamże str. 117).

[3]) Por. mapę Stanisława Majerskiego p. t.: »Europa środkowo-wschodnia«, Lwów, nakł. Tow. Wyd., 1905.

pracę swoją i dali się ubiedz innym, szczęśliwszym sąsiadom. Granice ich zaborów dotarły na zachodzie, postępując wzdłuż pomienionej niziny nadrzecznej, zaledwie poza lewy brzeg Neru [1]), w okolice Dąbia, nie sięgając Warty; na wschodzie zaś, posuwając się z biegiem Bzury, stanęły już za Orłowem, w pobliżu Soboty [2]). Nizinę życiodajną, sześćdziesięciu kilometrów długości, posiedli wprawdzie władcy pierwotni łęczyckiego grodu i stała się ona niewątpliwie podstawą ich dalszych zabiegów [3]) »politycznych«,

---

[1]) W wieku XV sam Ner stanowił granicę ziem Sieradzkiej i Łęczyckiej (Długosz, Hist. Pol., I, 12). Zważywszy, że nad Nerem rozciągały się wielkie bagna, granica istotna musiała być znacznie szerszą od samej rzeki (Por. K. Potkański, j. w. str. 100).

[2]) Wywód, przeprowadzony na podstawie zasady, wyłuszczonej w przyp. 1, na str. 95. przy pomocy map Babireckiego i Majerskiego, wspomnianych wyżej.

[3]) Przemawia za tem fakt, że tutaj właśnie stanęła Łęczyca, że nizina, o jakiej mowa, posiadała najobfitsze w całej »Ziemi« (województwie) komunikacye wodne (i — nadwodne pobrzeża), że wreszcie — a dowód to już historyczny — na przestrzeni tej niziny znajdujemy dwanaście parafii starych (Gieczno, Góra, Grabowo *vel* Grabów, Leźnica, Łęczyca, Modlna, Parzęczew, Pieczew, Piątek, Siedlec, Solca i Strzegocin. Por. A. Pawińskiego »Wielkopolska« II [w »Źródłach Dziejowych«], oraz mapy Majerskiego [przyp. 3-ci na str. 96.], Nipanicza [Mappa Król. Pol. 1870] i Chrzanowskiego), podczas gdy całe województwo Łęczyckie liczyło ich wogóle siedemdziesiąt cztery.

ale zabór, prowadzony w kierunku pomienionym z widoczną energią [1]), spotkał się z jednej strony dość wcześnie z odporem Kaliszan [2]), broniących wybrzeża Warty, z drugiej zaś — Mazurów, posuwających się z okolic Łowicza w dół Bzury.

Trzeba było sięgnąć z konieczności po zdobycze inne, a te znalazły się jeszcze na północy

---

(A. Pawiński, j. w. I., 63). — Nizina pomieniona nie zajmowała więcej nad 600 kilom. kwadr. powierzchni (Majerski, j. w.), województwo zaś 4.378 kilom. kwadr. (A. Pawiński, j. w. I, 50). Ilustruje to najdosadniej stosunek zaludnienia owej niziny do zaludnienia reszty województwa (6:5) — jeszcze nawet na tle źródeł XVI wieku.

[1]) Por. znaczne wygięcie granicy województwa Łęczyckiego w tym właśnie kierunku wgłąb ziem kaliskich. (por. mapy, przytoczone wyżej na str. 95, 96).

[2]) Może mianujących się, czy zwanych, i tutaj Sieradzanami. — »Nestor« (Mon. Pol. Hist. I.) Kaliszan nie zna, podobnie, jak i Sieradzan. Mówiąc o jednych i drugich, mamy tu jedynie na myśli pierwotnych, bezpośrednio przed Piastami, mieszkańców tych okolic (Kalisz, Sieradz). Jeżeli zaś chodzi o zasadę, czy, i w jakim stopniu operować można w nauce utartemi nazwami i pojęciami t. zw. »plemion« polańskich (np. Łęczanie-Łęczycanie, Wiślanie, Sieradzanie, Mazury i t. p.), jako grupami ściśle pod względem terytoryalnym, etnograficznym i politycznym określonemi, to jesteśmy zdania, że zasady takiej, zwłaszcza gdy o grupy drobniejsze chodzi, wogóle być nie może. Podzielamy też najzupełniej przekonywujący w tej mierze wywód Karola Potkańskiego (»Kraków przed Piastami«. Rozpr. Wydz. Hist.-Fil. Akad. Um. t. 35, str. 102 i następne).

i na południo-wschodzie. W pierwszym z tych kierunków posunęli się władcy Łęczycy aż po okolice rzeki Kłodawicy (os. Kłodawa) i jeziora Lubień [1]), zatrzymani w pochodzie dalszym przez Kujawian [2]) »leśnych«: w drugim — napierani silnie przez Sieradzan [3]), wbili się jednak szczęśliwie, czy utrzymali, klinem pomiędzy ich ziemią, a mazowiecko-rawską [4]), aż po Pilicę, na przestrzeni od późniejszego Tomasza Rawskiego do Łęgonic. Dalej — poza tę wice-królowę rzek naszych — nie puścili ich Sandomierzanie, za-

---

[1]) Por. Maksymilian Borucki: »Ziemia Kujawska«. (Włocławek 1882, str. 328). K. Potkański (»Opactwo na Łęczyckim grodzie«, str. 90) widzi tę granicę nieopodal, w jeziorach: Chotelskiem i Długiem (Bezdziedze). Jezioro Lubień było atoli w tych stronach wybitniejsze. Ścisłość zupełna jest tu niemożliwa do osiągnięcia; mapy (por. wyżej str. 95, 96, 97) odtwarzają ją w przybliżeniu nieźle. Nie chodzi nam też tutaj (na północy) o ścisłość bezwzględną.

[2]) Por. u Babireckiego (mapa cytowana) wgiętą w głąb województwa Brzeskiego granicę łęczycką. — Byli to Kujawianie, zwani i później jeszcze »Leśnymi« (K. Potkański, »Opactwo« j. w. str. 87).

[3]) Por. u Babireckiego (j. w.) linię charakterystyczną granicy sieradzko-łęczyckiej.

[4]) Granica od strony Ziemi Rawskiej nie była tu wyraźna w Wiekach Srednich. K. Potkański (»Opactwo« j. w. 100, 101) przypuszcza nawet, że Ziemia ta należała ongi do Łęczycan, a Mazowsze sięgało wtedy tylko do Wisły.

zdrośni o granicę naturalną wielkiego terytoryum, jakie już posiąść zdołali.

Nie są nam znane dzieje pierwotne władców łęczyckich; nie wiemy nawet kiedy toczyli wszystkie te boje[1]): wiadomo tylko, że owoc ich pracy spaść miał, nim jeszcze pierwszy Piast historyczny zasłynąć zdołał na zachodzie w walce z margrafami Cesarstwa, na łono jego rodu. I spadł tak na to łono, jak spadły owoce zamierzchłych czynów politycznych wielu innych pra-bohaterów plemiennych Polski, których pokonali Piastowie, aby na gruzach ich dynastyj, z materyału przez nich przygotowanego, rozpocząć i stworzyć budowę wielkiego państwa.

Piastów wywiodła z mroku przeddziejowego na arenę czynów europejskich pobudka zewnętrzna: napór niemiecki. Mieszko I w roku »historycznych narodzin Polski«, 963-im[2]), stawił mu czoło w okolicy Kistrzynia i Frankfurtu nad Odrą[3]), którą już władał, będąc właściwie

---

[1]) Działo się to prawdopodobnie jeszcze w VIII w. po Chr. (Por. niżej w tekście ustęp o pierwszych Piastach).

[2]) Mon. Pol. Hist. I, 140, Widukindi Res gestae saxonicae.

[3]) Tak wyjaśniają odpowiednie ustępy przekazów Widukinda i Thietmara między innymi: Antoni Małecki (»Z Przeszłości Dziejowej pomniejsze pisma«, I, 9), oraz Stosław Łaguna (notatka rękopiśmienna, zamieszczona

z pochodzenia tylko plemiennym władcą gnieźnieńskim [1]). Władza jego rozpościerała się już jednak w końcu X wieku znacznie dalej, bo nietylko na północną część Śląska, ale na całe Kujawy, na ziemię czerską aż po Wisłę, oraz na ziemie łęczycką i sieradzką [2]), pod koniec zaś panowania, lecz tylko chwilowo, jakoby i na część Wiślan [3]), a nawet — Chorwatów (Chrobatów) Czerwonych, czyli na Przemyśl i t. zw. Grody Czerwieńskie [2]). Ostatnich tych zdobyczy Mieszkowych, sięgających rzekomo od Krakowa [4]) i Wiślicy aż po okolice Lwowa [2]), nie należy jednak brać całkiem na seryo. Polegały one, być może, na jakiemś powodzeniu efemerycznem, które w rzeczywistość realną zamienili dopiero późniejsi Piastowie. Natomiast, zdaje się nie ulegać wątpliwości pierwsza część tych nabytków, do których należała już i Łęczyca.

Gdybyśmy wedle tego tempa, w jakiem, w za-

---

w pozostałym po Łagunie, a znajdującym się w mojem posiadaniu, egzemplarzu »Regestów« Grünhagena).

[1]) Por. Galli Anonymi Chronicon, Leopoli 1899, pag. 6, 7, 8.

[2]) Por. A. Małecki j. w. (przyp. 3, str. 100), oraz Wojciecha Kętrzyńskiego: »Granice Polski za Mieszka I«.

[3]) Por. K. Potkańskiego »Kraków przed Piastami«. (Rozpr. Wydz. Hist.-Fil. Akad. Um. t. 35, str. 170–175).

[4]) Por. t. zw. Zapis Gniezna na rzecz Stolicy Apostolskiej (M. P. H. I. 148—149).

raniu doby historycznej, wchodziły w skład przyszłego państwa obszary Małopolski (Chrobacyi) i Mazowsza po obu stronach Wisły, odtworzyć sobie chcieli — bodaj w przybliżeniu — ów okres czasu, który poświęcić musieli przodkowie Mieszka, władcy gnieźnieńscy, by mu do jego posiadłości od Odry aż po Wisłę i od Kujaw aż po Pilicę [1]) utorować drogę, to zaiste wypadłoby nam uchylić czoła przed prawdą chronologiczną legendy dziejowej o tak zwanym »Piaście« i o jego potomkach »bajecznych«: Ziemowicie, Leszku i Ziemomyśle [2]). Małopolska (Chrobacya) wraz z Krakowem przyłączona została trwale do państwa Piastów dopiero po śmierci czeskiego władcy tej ziemi, Bolesława Pobożnego († 999), przypuszczalnie w roku jego zgonu [3]); co zaś do Mazowsza zawiślańskiego, to trudno mówić o trwałej jego zdobyczy przed rokiem 1047 [4]). A przecież oba te terytorya, ra-

---

[1]) Por. wyżej w tekście punkty następujące: a) Frankfurt nad Odrą; b) Ziemia Czerska po Wisłę; c) Pilica, jako granica południowa Ziemi Łęczyckiej. Por. nadto niżej przyp. 1. na str. 104.

[2]) Gall j. w. pag. 6—10. — Ostatniego z tych książąt, Ziemomysła, uznał już za osobistość historyczną Oswald Balzer, wprowadzając go do swej »Genealogii Piastów« (Tab. I).

[3]) Por. A. Małecki j. w.

[4]) Data pokonania Masława przez Kazimierza Odnowiciela. (Por. Tadeusza Woyciechowskiego: »O Kazimie-

zem wzięte, wynosiły niewiele więcej nad to, co w porównaniu z najszerzej nawet pojętą, pier-

---

rzu Mnichu«. Pamiętnik Akad. Um. V. 18). Wywód wyczerpujący byłby tu może — jako zbyt obszerny — nie na miejscu. Wspomnimy tylko, że dopiero za Kazimierza Odnowiciela powstała dyecezya płocka (Abraham: Organizacya Kościoła Polskiego do połowy XII wieku, Lwów, 1893, str. 93); że żadna miejscowość zawiślańska nie da się przed tą datą (1047 r.) w posiadaniu Piastów wykazać, podczas gdy n. p. Czersk (prawy brzeg Wisły) należał, jak wiadomo, do Archidyecezyi Gnieźnieńskiej, a przeto i do państwa Chrobrego; że wreszcie — Władysław Herman, a nawet i Krzywousty jeszcze, z wyjątkową pieczołowitością o panowanie w Płocku dbali, przenosząc tam nawet — co się w Wiekach Średnich zazwyczaj na terytoryach świeżo podbitych zdarzało — stolicę swoją (por. przyp. 2, str. 106). Tak późną datę trwałego przyłączenia Mazowsza Zawiślańskiego do Polski, może nam wytłómaczyć samo dążenie zaborcze pierwszych Piastów w kierunku ziem innych, bardziej żyznych, a przeto i ludnych, oraz — wbrew teoryom Ratzel'a (z którymi godzić się można tylko *sub specie aeternitatis)* — samo istnienie zapory naturalnej, t. j. koryta Wisły i moczarów nad nią, oddzielających niewątpliwie w ówczesnych okolicznościach pierwotnych, przez znaczną część roku, ziemię zawiślańską od jądra państwowego Piastów. — Naogół, mamy wrażenie, że przyłączenie trwałe Mazowsza Zawiślańskiego do Korony było jednym z ogniw polityki prusko-pomorskiej pierwszych Piastów, a o polityce tej, jako o dążeniu konsekwentnem i wytrwałem, trudno mówić — jak chcą niektórzy — za czasów Mieszka I, czy nawet Chrobrego! Odnowiciel, Herman i Krzywousty — to właśnie najdawniejsza doba klasyczna owych dążeń i zapasów.

wotną okolicą Gniezna, gniazda Piastów, stanowiło ich zdobycz przedhistoryczną, zawartą w granicach Polski Mieszkowej! [1]).

Od urodzenia Mieszka I (około 922 r.) [2]) aż do tej chwili (1047) upłynęło przeto lat — około stu trzydziestu, t. j. okres normalny czterech pokoleń [3]). Nie bez słuszności przypuścić trzeba, że takiż okres — jeśli nie dłuższy, bo obejmujący pierwiastkową pracę polityczną Piastów — upłynąć musiał aż do chwili narodzin Mieszka I, władcy znacznych już terytoryów, od doby rozpoczęcia tej pracy na nieco szerszą skalę. Jakoż potwierdza słuszność tego przypuszczenia tradycya przed-dziejowa o czterech »bajecznych« pokoleniach Piastów, jakie upłynąć miały od doby gnieźnieńskiego protoplasty

---

[1]) Okolica Gniezna (kompleks opól najbliższych) nie wykraczała zapewne pierwotnie poza swoje granice naturalne, t. j. Wartę, Noteć (ongi — może nawet Wełnę) i jeziora Kujawskie (Gopło itd.). Terytoryum Kruświckie (nadgoplańskie) aż po Wisłę (Kujawy) zlało się z Gnieznem prawdopodobnie za pierwszych Piastów (»bajecznych«); był to, jak się zdaje, ich nabytek najdawniejszy, z którego nawet (z Kruświcy) tradycya późniejsza — wbrew Gallowi — ród Piastów wywodzi (Por. M. P. H. II, 477; III, 291, 435 itd.).

[2]) Oswald Balzer: »Genealogia Piastów«. Tab. I.

[3]) Istotnie: Mieszka I, Bolesława Chrobrego, Mieszka II i Kazimierza Odnowiciela, który w r. 1047 był już ojcem pięciorga drobnych dzieci (O. Balzer j. w. Tab. II).

dynastyi, do czasów Mieszka I. Datę przybliżoną tej doby wskazać łatwo: wypadnie ona na sam koniec wieku VIII-go, a wniosek stąd, że ćwierć tysiąca lat (VIII do poł. XI w.) zużyć musieli Piastowie »legendowi« i »historyczni« na skupienie Polski etnograficznej w jednę całość polityczną. Świadczy to najdosadniej o niedocenianych przez dziejopisarstwo trudach dzieła i o różnicach, tkwiących z prawieku we wspólnej, polskiej duszy plemiennej!

Z tradycyi, spisanej przez Galla około roku 1112[1]), a najdawniejszej, jaką o przodkach Mieszka I posiadamy, nie zdaje się wynikać, aby syn »Piasta«, zwany Ziemowitem, władać miał jakiemś terytoryum o wiele rozleglejszem od gnieźnieńskiego[2]). Ustalić granic tego terytoryum oczywiście niepodobna; można jednak przypuścić na dość poważnej podstawie, że tendencya jego wzrostu, załatwiwszy się z Kujawami (Gopło, Kruświca)[3]), ciążyła przedewszystkiem w stronę

---

[1]) Por. Galli Anonymi Chronicon, Leopoli 1899, pag. XI, oraz przekonywujące wywody Stanisława Kętrzyńskiego w pracy p. t. »Gall-Anonim i jego kronika«.

[2]) Por. Galli... Chronicon j. w. pag. 6—8: »Erat... *in civitate Gneznensi*... dux (Popiel)... et in suburb(io)... (Caput II)... hospitii Pazt... (Caput III) Semovith, fili(um) Pazt... (Deus)... ducem ordinavit«.

[3]) Okolica Gniezna (kompleks opól najbliższych) nie wykraczała zapewne pierwotnie poza swoje granice na-

Kalisza[1]) i Poznania[2]), wyniesionego na stanowisko stolicy »Polski« pierwotnej u samego przełomu dziejów »bajecznych« z historycznemi,

---

turalne, t. j. Wartę, Noteć (ongi — może nawet Wełnę) i jeziora Kujawskie (Gopło itd.). Terytoryum Kruświckie (nadgoplańskie) aż po Wisłę (Kujawy) zlało się z Gnieznem prawdopodobnie za pierwszych Piastów (»bajecznych«); był to, jak się zdaje, ich nabytek najdawniejszy, z którego nawet (z Kruświcy) tradycya późniejsza — wbrew Gallowi — ród Piastów wywodzi. (Por. M. P. H. II, 477; III, 291, 435 itd.).

[1]) Gniezno należało — jak wiadomo — do roku 1768 do Województwa Kaliskiego.

[2]) Fakt późnego stosunkowo przeniesienia »stolicy« z Gniezna do Poznania świadczy sam przez się o późnem (stosunkowo) zdobyciu tego punktu przez Piastów. Późniejszą a wierną ilustracyą podobnego stanu rzeczy są dzieje pierwiastkowe »stołecznego« Krakowa (Por. K. Potkańskiego: »Kraków przed Piastami«) i »stołecznego« Płocka (por. przyp. 4., str. 102). — Jordan, pierwszy biskup poznański, a zarazem »polski«, otrzymał konsekracyę w r. 968 (Dr. Wł. Abraham: Org. Kość. Pols. j. w. str. 30 i nast.). Chrzest Mieszka miał miejsce w r. 966 (O. Balzer, Gen. Piastów j. w. tab. I.). Obie te daty splatają się niemal w jednę, a założenie dyecezyi na całą Polskę w Poznaniu, było — na tle ówczesnem — równorzędne z uznaniem tego punktu, jako »stolicy«. Być może przeto, że Poznań zdobył sam Mieszko I w latach »przedhistorycznych« swych rządów, lub jeden z najbliższych jego przodków. Tradycya przypisuje tę zdobycz »dziadkowi« jego, Ziemowitowi (Baliński i Lipiński, Star. Polska I. 57). Opowiadaniom o wyborze stolic »z pośród miejscowości środkowych w państwie«,

a więc i zdobytego zapewne nie o wiele wcześniej. W tym to kierunku, i dalej na zachód, dążyć musiały przedewszystkiem *militiae probitatis fama* i *audaciae gesta*[1]) przodków Mieszka I, skoro on sam posunął się aż do Odry[2]), a terytorya średniego i dolnego biegu Warty stały się w dalszej pracy dziejowej rdzenną ostoją dla dla niego i jego następców.

Kiedyby do kresów południowo wschodnich tej ostoi przyłączono ziemię łęczycką — orzec tego ściśle niepodobna: stało się to prawdopodobnie nietylko po zdobyciu Kujaw, ale i po posunięciu się Piastów w głąb ziem: Poznańskiej, Kaliskiej i Sieradzkiej[3]). To bowiem pewna, że krańcem posiadłości — już nie Mieszka I, ale syna jego, świeżego zdobywcy olbrzymich terytoryów, niemal naokół Gniezna, (Bolesława Chrobrego) — była w tych właśnie stronach... ziemia czerska[4]), zaledwie o 25 kilometrów na południu, a o 50 klm. na północy od wschodnich granic łęczyckich oddalona! Jest

niema co wierzyć: przeczą im w samej Polsce dzieje Krakowa i Płocka.

[1]) Galli... Chronicon j. w. Cap. III, pag. 8.

[2]) Por. wyżej przyp. 3. na str. 100.

[3]) Wobec stwierdzonej tendencyi zaborów piastowskich w stronę Poznania (por. wyżej przyp. 3., str. 105 i przyp. 1, str. 106), wystarcza w tej mierze rzut oka na mapę.

[4]) Por. wyżej przyp. 4., str. 102.

to fakt aż nazbyt znamienny i nieświadczący bynajmniej ani o zapędzie pierwszych Piastów w te tu strony, ani o »prawdzie uznanej odwieczności« ich panowania nad tymi, których t. zw. »Nestor« Łuticzami [1]), a inni Łęczanami lub Łęczycanami mianują i którzy się jeszcze na schyłku wieków średnich odrębnością nie mniej znaczną, jak same Mazury, od reszty plemion »wielkopolskich» wyróżniali [2]).

Bądź co bądź jednak, należeli już Łęczycanie do państwa Piastów u progu historycznej doby: zaliczono ich nawet, ze względu na położenie geograficzne, do Wielkopolski, piastowskiej ostoi [3]). Czy jednak była to ostoja, równa Gnieznu i Poznaniowi, przyszłość dopiero wykazać to miała.

* * *

---

[1]) M. P. H. I. 553. — Czy *Licicaviki* Widukinda (M. P. H. I. 140), będący pod władzą Mieszka I, oznaczają istotnie Łęczycan, jak chcą niektórzy, rzecz to tutaj obojętna. Co do nazwy »Łęczanie«, por. K. Potkańskiego »Opactwo« j. w.

[2]) Por. Constitutiones terrae Lanciciensis generales de anno 1418 et 1419 (J. W. Bandtkie, Jus Polonicum, Warszawa 1831, str. 194 i nast.). Konstytucyom tym poświęcamy niżej w tekscie obszerniejszy ustęp.

[3]) Wielkopolski — w rozumowaniu szerszem. W węższem rozumiano przez nią tylko województwa: Kaliskie i Poznańskie. (Por. A. Pawiński »Źródła Dziejowe«, »Wielkopolska« I. 53).

W szczupłych granicach gnieźnieńskich, z piastowskiej zarodzi przyszłego państwa, wylągł się Orzeł białopióry, co sięgnąć miał niebawem, jak pisklę tytana, przestrzeni niezmierzonych: Karpat i Baltyku, ziem czeskich i »Złotej Bramy« Kijowa... Pieśń młodzieńczej jego epopei płynęła hymnem potężnym po świecie, rwała zapory i waliła wrogów pokotem, to znowu cichła pod brzemieniem trudu, co pierś olbrzyma przytłaczał i — po wzlotach na szczyty niebosiężne — zdawała się szeptać słowami lęku i trwogi, że lot był zbyt bujny, że przechodził siły... Rwała się wtedy pieśń bohaterska, a Orzeł padał omdlały... Jakiekolwiek jednak zataczał kręgi: czy wzbijał się w niebiosa, czy ochrony szukał na ziemi, towarzyszyły mu stale — na razie idealne raczej, niż rzeczywiste, później potężniejące z każdą dobą dziejów — dwie wrogie mu istoty, coraz bardziej ku sobie ciążące, które sam do życia powołał niebacznie: prawda, że z wyroków losów. Im niżej spadał Orzeł, tem skwapliwiej ssały one jego siły, tem natrętniej dzieliły między siebie zdobycz jego bujną — niepomne na przyszłość: częściej nieoględne, niż przewidujące. Istoty te — to możnowładztwo duchowe i świeckie. Wydobywa się ono na arenę dziejów u schyłku wieku XI, rozwija się w XII, a potężnieje w XIII i następnych. Nie dowód to jednak, by go już dawniej, bodaj w zarodku,

nie było. Przeciwnie, wszystko zdaje się wskazywać na to niezbicie, że możnowładztwo, a raczej jego zawiązek i podłoże, przekazała już doba przedhistoryczna przyszłemu państwu Piastów. Mówiąc o dobie przedhistorycznej, nie możemy oczywiście mieć tu na myśli możnowładztwa duchownego. Pierwszym niewątpliwie pionierem tej kategoryi był dopiero biskup krakowski Stanisław († 1079), który z tego właśnie powodu — przyczem inne maleją i nikną — paść musiał z ręki Korony. Przedtem, w dobie zupełnej przewagi tronu, a nawet i później jeszcze, po nieudanej na razie próbie św. Stanisława z królem Bolesławem, duchowieństwo polskie — misyjne raczej, niż osiadłe — cudzoziemskie, niż narodowe[1]), i — dorabiające się wpływów, niż panujące[2]), zdawało się być dalekiem od tej roli możnowładczej, jaką posiąść miało w bliskiej już przyszłości.

Zwycięstwo jego stało się niemal decydującem na przełomie XII stulecia z XIII, a zawdzięczał je Kościół temu związkowi, jakim

[1]) Pomijamy tu oczywiście zupełnie kwestyę istnienia w Małopolsce domniemanego duchowieństwa i obrządku słowiańskiego przed łacińskim, gdyż w danej charakterystyce obchodzi nas wyłącznie to ostatnie, t. j. rzymsko-katolickie, jako ściśle historyczne, a niebawem — panujące.

[2]) Por. Dr. Wł. Abraham, j. w. Org. Kość. Pol. *passim*.

dość wcześnie dla siebie, a zbyt — niestety — wcześnie dla Korony, z możnowładztwem świeckiem się zbratał.

Trudno oznaczyć datę ścisłą tego faktu: Stanisław biskup i Sieciech palatyn (schyłek XI w.) — to dwie osoby i dwa panowania różne, ale jeden tylko słup symboliczny ślubów, jakie w Polsce pod koniec wieku XI na zgubę Orła zawarto. Nie zabiły go one wprawdzie, ale pogrążyły w dłuższej niemocy, nieomieszkawszy ze słabości wroga-żywiciela skorzystać. Potomkowie pradynastów plemiennych, dziejowi mściciele tych, co ujść zdołali z życiem i z częścią mienia krwawym szponom Orła, gdy ów garnął ich ziemie, ludy i dobytek pod olbrzymiejące skrzydła swoje: ojczyce tych, co zdołali zręcznym ustępstwem, przysługą, czy zdradą, wywieść go w pole, a siebie ocalić [1]), czerpać zaczęli odtąd oręż przeciw jedynowładcom z arsenału »królewskich« tradycyj własnych, popartych fortuną.

Na razie niezależnie od nich, lecz w tęż samą stronę, godził i Kościół. Arsenałem moralnym był mu własny jego charakter, uznany już na szerokim świecie — fortuną to uposażenie, jakiem go jedynowładca-»kolator« szczodrze darzył. Kości były rzucone: cel wspólny złączył

---

[1]) Por. Stanisława Smolki: »Szkice Historyczne« serya II. »Gniazdo Tęczyńskich«.

tych, co doń zmierzali. Możnowładcy świeccy jęli wstępować w służbę Kościoła — ów zaś, jego dostojnicy i przedstawicie, stali się nawzajem trwałą ich ostoją. I skrzepła z dwóch — jakby jedna siła, co w początkach nieśmiele, a potem ręką coraz potężniejszą, godziła w Orła. Ogrom jego zdobyczy sprawiał bowiem, że walka, o jakiej mowa, nie zwaśniła nigdy przyjaciół na dobre. Było się czem dzielić — nie zbrakło nikomu. Tam, gdzie ciągnęły się olbrzymie obszary rodowe, puścizna po dawnych dynastach plemiennych, a fortuna dziedziczna przyszłych »królewiąt«, Kościół nie potrzebował gwałtem wchodzić im w drogę. Gdy zbrakło przyległych, wolnych ziem monarszych, lub darów częstych a szczodrych ze strony samych magnatów, znajdowały się inne, jakby zapasowe, co niby czekały na to, by je monarcha komu ofiarował... Ongi, dawno już temu, dynastowie oporni padli tam — wszyscy bodaj — z ręki Piastów, którym ich ziemie przypadły w udziale. A komuż, jeśli nie Kościołowi, przekazywać ją należało? »Panom« biskupom i opatom, co, krom zbawienia duszy dla ofiarodawcy, zapewniali mu nadto jakitaki z ziem tych pożytek [1]), a ludności —

---

[1]) Por. Stanisław Zakrzewski: »Ze studyów nad bullą z r. 1136«, Rozprawy Wydziału Histor.-Fil. Akad. Um. t. 43. str. 43.

pewien dobrobyt, dzięki sposobom »uczonym«, jakie ze świata do Polski ściągali[1]).

Los ziem takich, którym Kościół możnowładców zastąpił, podzielić miała — jedna z pierwszych — ziemia łęczycka, bezpańska, niemal kresowa dzierżawa Piastów, przed pokonaniem »dzikiego« Mazowsza[2]).

Dziką bo była niewątpliwie i ona sama — bardziej dziką, niż inne ziemie polskie, skoro płomienni apostołowie, poszukujący śmierci męczeńskiej — św. Wojciech[3]) i Bruno z Querfurtu: jeden, czy drugi, a może i obaj, rozbili w niej w ciągu lat kilkunastu swoje namioty[4]). Było to w samem zaraniu polskich dziejów »historycznych«. Pierwszy zginął bowiem w roku

---

1) Znana rola w Wiekach Średnich Cystersów i Benedyktynów na Zachodzie i w Polsce.

2) Mamy tu na myśli wybitną »młodszość cywilizacyjną« Mazowsza w stosunku do reszty ziem polskich. Jeśli chodzi o cytatę, por. choćby »Szkice Mazowieckie« Władysława Smoleńskiego, zamieszczone w tomie I, II i III *Przeglądu Historycznego*. — Co do kwestyi pierwotnego połączenia Mazowsza z Koroną, por. wyżej str. 102, przyp. 4.

3) Ob. K. Potkańskiego »Opactwo« j. w. Por. nadto co do charakterystyki św. Wojciecha, Stanisława Zakrzewskiego: Opactwo Benedyktyńskie św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie w latach 977—1085 (Rozpr. Wydz. Hist.-fil. Akad. Um. t. 45.).

4) K. Potkański j. w. Por. Abraham j. w. str. 174. Zgadzają się z ich przypuszczeniami i noty St. Łaguny.

997-ym, drugi w dwanaście lat później (1009). Jeżeli żaden z nich nie postradał w łęczyckiem żywota, to tkwił w tem niechybnie czar pancerza ich mocodawcy, Chrobrego, jaki im towarzyszył w te strony. Pancerzem być musiała niedawna jeszcze tradycya tej bezwzględności i okrucieństwa, z jakiem Piastowie gnieźnieńscy ugruntowali nad łęczyckiem swoją przewagę: z jakiem wytępili tych wszystkich, coby im kiedykolwiek mogli stawić tam czoło w obronie ojcowizny czy obyczaju. Ponieważ jednak ludności w walce zamierzchłej nie wytępiono, ponieważ osadników, stanowiących o wartości ziemi, pozostało tam nie mniej, niż w wielu innych okolicach kraju[1]), przeto nie pogardzili krainą »Piskorzy« późniejsi, mniej już uduchowieni, przybysze kościelni.

Być może, że z rąk jednego z pomienionych apostołów, bo, jak się zdaje, w czasach Chrobrego (992—1025), pozyskała ziemia łęczycka pierwszą placówkę duchowną. Było nią pono opactwo Benedyktynów pod wezwaniem N. M. P. na łęczyckim grodzie. Byt tej fundacyi sędziwej, jako instytucyi pierwotnej a samodzielnej, zawrzeć się miał w okresie stuletnim od schyłku X, czy początku XI wieku — po koniec tego stu-

---

[1]) K. Potkański: »Opactwo« j. w. rozdz. III; por. nadto A. Pawińskiego »Wielkopolska« (»Źródła Dziejowe«) I. 65.

lecia[1]). Wątpić nie można, że jej działalność, jakkolwiek pod względem przestrzeni — tu i owdzie nogą mnicha-misyonarza dotkniętej — mogła być dość rozległą[2]), nie sięgała przecież w głąb ziemi łęczyckiej poza północno-zachodnie okolice Łodzi[3]). Jeśli zaś wogóle sięgnęła w te strony, to ani intensywniej, ani na stałe. Trzeba bowiem zważyć, że cały Kościół ówczesny posiadał jeszcze w Polsce charakter misyjny, brak mu było wszelkiej tradycyi i powagi nadprzyrodzonej, a wreszcie — dostatecznej opieki ze strony władzy, tam nawet, gdzie wszystko korzyć się przed nią zdawało[4]). A cóż dopiero w ziemi oddalonej, gdzie zamierzchające wspomnienia lęku i trwogi, bardziej może niż siła władzy, rozproszonej za łupem po świecie, gwarantować musiały bezpieczeństwo mnichom —

---

[1]) K. Potkański j. w. str. 121—167.

[2]) Swiadczyłoby o tem późniejsze (z r. 1097) uposażenie opactwa, które zajęło prawdopodobnie i przedewszystkiem okolice, znane już Benedyktynom z poprzedniej ich działalności misyjnej, jaką przez wiek cały — z przerwami — prowadzili w tych stronach. (Por. K. Potkański j. w.).

[3]) Do Zdziechowa i Mirosławic. (Por. K. Potkański »Opactwo« j. w. str. 92).

[4]) Np. fakt śmierci męczeńskiej Pięciu Eremitów. (Por. Tadeusz Woyciechowski: »Szkice Histor. z XI wieku« str. 9; por. nadto Wł. Abraham Org. Kość. 172, przyp. 3.).

dziwnym wysłańcom krwawego pana [1]), otoczonego hen! gdzieś! daleko! zgrają wojowników [2]), co nie zawsze skutecznie wspierać mogli załogi grodów, rozsianych po kraju, a fundowanych nie nazbyt obficie i w łęczyckiej ziemi [3]). A dziwni zaprawdę bywali pierwsi słudzy Kościoła w Polsce, wysłańcy tego, co sam na barach bałwochwalcy płaszcz chrześcijański nosił. Z Włoch, gdzie tyle razy duch ludzki, jak Feniks, powstawał z popiołów, z pod błękitnego nieba Italii, szli oni w świat mroźny i daleki, w świat bestyj, puchu białego i wód, co się taflami szkła pokrywały w zimie [4]) — by głosić słowo zbawienia, by zwalczać krzyżem twory szatana, a sobie palmy męczeńskie wywalczać: klucz, co wrota raju otwierał [5]). Pierwsi Piastowie panujący nic z tymi ludźmi nie mieli wspólnego po duchu; przeciwnie — byli żywą ich antytezą. Mimo to sprzęgła ich z nimi polityka trzeźwości — ta

---

[1]) Przekaz Thietmara o Bolesławie Chrobrym.

[2]) Przekazy Ibrahima i Albekriego o Mieszku I, oraz Thietmara o Bolesławie.

[3]) Por. niżej w tekscie odpowiednie ustępy.

[4]) Styl średniowiecznych podróżników arabskich, piszących o ziemiach Północy.

[5]) Por. Charakterystykę św. Wojciecha i jego towarzyszów u St. Zakrzewskiego (»Opactwo Benedyktyńskie św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie w latach 977—1085«. Rozpr. Wydz. Hist.-fil. Akad. Um. t. 45).

sama, która Mieszkowi I kazała trybut płacić Cesarstwu z nad Odry, a synowi jego — późniejszemu protektorowi świata, wysługiwać się imperatorom w pierwszych latach rządów.

Kościół był już na Zachodzie instytucyą *sine qua non:* stać się nią musiał przeto i w Polsce, która z Zachodem ślub geograficzny, a potem — w akcie chrztu Mieszkowego (966 r.) i historyczny zawarła. Mimo to, władca chciał być przecież władcą i od Kościoła, podobnie zresztą, jak sami imperatorowie przedgregoryańscy, zupełnej uległości wymagał. Uległości i posłuszeństwa, choć istotny pożytek państwowy, z misyj kościelnych płynący, nie mógł mu być obcym.

Oto — doba działalności domniemanej Benedyktynów łęczyckich w zarysie ogólnym; szczegółów brak oczywiście zupełny. Można je sobie chyba odtworzyć na tle wieku i kraju, na tle barbarzyństwa, borów odwiecznych i świętych gajów [1]), jako pierwsze zawiązki pracy apostolskiej wśród dzikich — podobne do tych, które za naszych jeszcze czasów Kościół na gruntach całkiem egzotycznych tworzył i tworzy.

Nie były to nawet zawiązki dość trwałe, skoro kataklizm z lat 1034—1040, kiedy to *byst' miatież welik w zemli liadstie* (lęchickiej), a *woz-*

---

[1]) Por. w cytowanej wyżej książce M. Barucha: »Pabianice, Rzgów i wsie okoliczne« — pierwsze rozdziały.

stawsze liudie izbisza episkopy i popy i bojary swoja [1]) i kiedy nic, na razie przynajmniej, z pracy Piastów nie pozostało [2]) — pozwolił przetrwać bezpiecznie ziemi łęczyckiej w przywróconym na nowo stanie pogańskim aż do czasów Bolesława Śmiałego (1058—1079) [3]), a może i dłużej.

Wobec nikłych śladów przeszłości »chrześcijańskiej«, a świeżego zwycięstwa reakcyi, doba, w której król Szczodry wznawiał tam fundacyę swego Chrobrego pradziada, może być uważana za początek twórczej pracy dziejowej Kościoła nad Nerem i Bzurą. Właściwie należałoby nawet posunąć jej datę na sam koniec XI st., kiedy z okazyi konsekracyi Katedry Gnieźnieńskiej, która nominalnie od wieku już blisko przewodziła w państwie, Władysław Herman nadał w r. 1097 arcybiskupom tamtejszym dawne opactwo łęczyckie [4]). Fundacya ta, na uprzednich, benedyktyńskich obszarach oparta, czyli też — bodaj w części — na nadaniach nowych, sięgała północnych jezior łęczyckich na granicy Kujaw: Przedcza, Brdowa, Chotla i Długiego [5])

---

[1]) »Nestor« w M. P. H. I. 697—698. Podobnie piszą: Kosmas i Gall.

[2]) Por. Wł. Abraham j. w. str. 89—91.

[3]) Por. K. Potkański, »Opactwo« j. w. str. 125.

[4]) Tamże str. 128—130.

[5]) Tamże str. 82.

liczyła pięćdziesiąt osad [1]) w głębi borów [2]) i licznych na te czasy — bo setkę poddanych [3]), nadto zaś uprawiaczy winnic mszalnych, oraz placówki niewolnych piekarzy, koniuchów, szewców i kucharzy [4]).

Tak zaczęły się rządy Kościoła — pierwszego faktycznego w dobie historycznej pana i władcy połaci północnej tej ziemi. A było to właśnie u progu obojga narodzin polskiego możnowładztwa — ery, która wśród warunków już nam znanych, dalsze losy stron łęczyckich rozstrzygnęła z góry.

Dwie nowe fale osadniczej organizacyi kościelnej: chropska i wolborska runęły niebawem w te strony. Pierwsza, płynąc z sieradzkiego, stanęła na razie nad Nerem u łęczyckich granic; druga z południa, również z ziemi sieradzkiej rodem, wcięła się klinem wąskim ku północy, sięgając dóbr stołowych arcybiskupich — spuścizny po opactwie N. M. P.

Oto, jednocześnie z fundacyą gnieźnieńską (1097), kiedy wśród ciężkich walk wewnętrznych, gromów ze strony Czech i Pomorza, Władysław Herman uczuł się zniewolonym do kapitulacyi względem partyi synów, możnych i Ko-

---

[1]) Tamże str. 112.

[2]) Por. M. Baruch j. w.

[3]) K. Potkański j. w. str. 89.

[4]) Tamże str. 84.

ścioła, powstała organizacya kapituły krakowskiej [1]), przyczem dokonano jej uposażenia. Materyał był jakby pod ręką. Kiedy bowiem kilkanaście lat przedtem, około roku 1080, wnet po upadku króla Bolesława, ważyły się losy Hermanowego tronu, następca Śmiałego uczynił zręczny krok polityczny, zawierając małżeństwo z księżniczką czeską, Judytą, córką potężnego rywala Polski, Wratysława II [2]). Była to dla takiego Piasta, jak Herman, wielka wygrana. Nic też dziwnego, że księżniczka stała się w nowej ojczyźnie swojej istotną »królową« [3]), a książę-małżonek skłonnym był do czynienia jej wszelakich ustępstw i honorów... Temu to przypisać należy chropską »oprawę« księżny z ręki Władysława [4]), oraz fakt, że ostatnią jej wolę, ku pożytkowi potężniejącego Kościoła powziętą, uszanowano. Umierając bowiem w r. 1086 [5]), przeka-

---

[1]) Por. Wł. Abraham j. w. str. 146—150, oraz K. Potkański »Opactwo« j. w. str. 134.

[2]) Por. O. Balzer »Genealogia Piastów« Tab. III.

[3]) Mon. Pol. Hist. II. 940.

[4]) Inaczej niepodobna sobie wytłómaczyć późniejszego testamentu Judyty (M. P. H. II. 940). — Analogią tej »oprawy« jest mało co późniejszy »posag« jej wnuczki i imienniczki, Judyty, córki Bolesława Krzywoustego, obdarzonej kasztelanją Spiską (M. P. H. II. 508).

[5]) O. Balzer j. w. — Na datę K. Potkańskiego (»Opactwo« str. 134) — rok 1092, zgodzić się niepodobna. Por. oba przytoczone wywody.

zała Judyta oprawę swoją duchowieństwu »czeskiego« do niedawna Krakowa — katedrze tamtejszej [1]). A dar to był nie bylejaki: obejmował około pięciu mil kwadratowych ziemi sieradzkiej [2]) na pograniczu łęczyckiem [3]), z ludnością i z daninami w zbożu, miodzie, skórkach wiewiórczych i kunich [4]), a nadto z pełną — jak zobaczymy — możnością zagospodarowania się i w łęczyckiem. Ner pograniczny nie stał się bowiem nieprzebytą dla panów duchowną zaporą. »Chropy« [5]), sięgające pierwotnie Neru w okolicach Rzgowa [6]), zamienić się miały w okresie XI—XV st. [7]) na olbrzymie, dziesięciomilowe [8]) dobra pabianickie kapituły krakowskiej, które

---

[1]) Kraków, zdobyty na Czechach w r. 999, stał się stolicą biskupią polską w roku 1000. (Por. Wł. Abraham j. w. str. 43; 55—56). — Daty ścisłej objęcia zapisu przez obdarowanych ustalić tutaj niepodobna; waha się ona pomiędzy r. 1086 a 1097. (Por. O. Balzer j. w. oraz M. P. H. II. 940 i K. Potkański j. w. str. 135, przyp. 1).

[2]) Por. M. Baruch j. w. str. 20 i 25—26.

[3]) Tamże str. 19 i 363—364.

[4]) Długosz, Hist. Pol. I. 392.

[5]) Chrapy, chropy — miejscowości niskie wśród lasu, z gruntem sapowatym, krzewami małymi zarosłe, przez większą część roku wodą zalane, przez które tylko ...z krzaku na krzak przeskakując, przejść można. (W. Kozłowski »Słownik Leśny«, cyt. u M. Barucha j. w. str. 20).

[6]) M. Baruch j. w. str. 19; 363—364.

[7]) Tamże str. 22—36.

[8]) Tamże str. 25.

od pierwotnych swych granic zachodnich, od rzeki Grabi, Ldzania, Dobronia i Żytowic w sieradzkiem, wzrosły na wschodzie po rzeczkę Miazgę[1]), Dalków, Kurowice i Kraszew w łęczyckiem, a z kresów południowych — Orszka i Dłutowa, pociągnęły hen! na północ aż po Karolew podłódzki!

Dwie fale kościelne: gnieźnieńska i krakowska, bijące taranem swego osadnictwa w głąb odwiecznych borów łęczyckich, nie wyczerpały atoli przeznaczeń tej ziemi.

Za czasów Krzywoustego, około roku 1125[2]), w dobie gorliwej pracy misyjnej Ottona z Bamberga na Pomorzu, powstała na Kujawach, dla wyzyskania plonów politycznych Bolesława, a — religijnych św. męża, odnowiona z gruzów Kruświckich, stolica biskupia z siedzibą we Włocławku. Zaraz też, lub prawie jednocześnie, bo niewątpliwie przed rokiem 1148[3]), weszli biskupi włocławscy w posiadanie kasztelanii wolborskiej[4]) — starego W o j b o r a w sieradzkiem.

---

[1]) Dopływ Kurówki, dopływu Pilicy. — U M. Barucha (j. w.) rzeczka ta zowie się »Miązgą«; w ustach ludu okolicznego spotykaliśmy się jedynie z mianem: »Miazga«.

[2]) Wł. Abraham j. w. str. 99.

[3]) Por. Mon. Pol. Hist. II. 13, oraz Cod. dipl. Pol. Rzyszczewskiego i Muczkowskiego II. Nr. 1.

[4]) Cod. dipl. Pol. Rzyszcz. i Muczk. j. w. — Por. nadto A. Małecki »Z przeszłości dziejowej« II., 108.

Niepodobna przypuścić, aby kasztelania ta, nim się jądrem przyszłego kompleksu dóbr biskupich stała, mogła wykraczać po za granice naturalne tych opól [1]), jakie się na nią pierwotnie składać musiały, t. j. poza granicę łęczycką na północy, a Pilicę na wschodzie. Kresy jej południowe graniczyły z grodztwem rozpierskiem [2]) — zachodnie zaś, najpewniej z »Chropami« [3]), na linii Dalkowa [4]), Żuromina, Bądzynia, Dłutowa i Orszka [5]).

A jednak okręg *(districtus)* wolborski dóbr biskupów kujawskich, nie obejmujący pierwotnie — ba! jeszcze nawet w połowie XIII wieku — a n i j e d n e j wsi w łęczyckiem [6]), sięgnąć miał

---

[1]) Bolesław Ulanowski: »Dokumenty Kujawskie i Mazowieckie, przeważnie z XIII wieku«, Kraków 1887, str. [188], Nr. 14: »Anno gracie MCCLV *vicinia* de Wolborz et alia de Rosprza... isti fluvii sic dividunt et terminant«...

[2]) Tamże. — *Rospra... Voibor...* występują jednocześnie w bulli z 1136 roku. (Cod. dipl. Maj. Pol. I. Nr. 7), j a k o g r o d z t w a s t a r e. Granice ich są znane (por. B. Ulanowski j. w.

[3]) Pomiędzy Wolborzem a Tuszynem nie znajdujemy w tych stronach żadnego — bodaj domniemanego — grodu piastowskiego.

[4]) Punkt to pograniczny, należący zdawiendawna do kasztelanii wolborskiej. (Por. B. Ulanowski j. w. pag. [187] Nr. 13).

[5]) Por. M. Baruch j. w. str. 19; 363—364.

[6]) Por. B. Ulanowski j. w. str. [187] Nr. 13.

wkrótce potem: wcześniej niż krakowskie »Chropy«, a niewątpliwie dalej niż one, choć mniej systematycznie, w głąb tej ziemi. Już na schyłku XIII stulecia, zarzucając arkany swoje naokół — w kaliskie i rawskie, w łęczyckiem trafił aż pod Głowno[1]) i nie utracił w przyszłości zdobytych tam raz terytoryów[2]).

W tej to epoce posiąść musieli biskupi kujawscy, obok Niesułkowa pomiędzy Łagiewnikami i Głownem[3]), obok Witowa i Oszkowic pod Piątkiem[4]), obok Łaznowa, Godaszewic, Chorzęcina i kilku innych miejscowości w łęczyckiem[5]), także i wieś Łodzię, która znalazła się niewątpliwie w ich posiadaniu pomiędzy rokiem 1250 a 1332[6]). Wieś ta leżała w onej dobie na

[1]) Por. Rzyszcz. i Muczk. j. w. Nr. 484. — Dobra Niesułkow, położone pomiędzy Łodzią, Brzezinami i Głownem, należały pono od r. 1267 (M. Borucki: »Ziemia Kujawska« str. 96) — do biskupów kujawskich. W r. 1281 są oni niewątpliwie już w ich posiadaniu, prawując się zwycięsko o granicę leśną z Kołacinkiem (B. Ulanowski j. w. str. [217] Nr. 43).

[2]) Por u Rzyszcz. i Muczk. j. w. akt z r. 1427 (Nr. 378).

[3]) Por. wyżej dwa ostatnie przypiski.

[4]) B. Ulanowski j. w. str. [192] Nr. 18. Por. nadto: Oszkowice i Witów w »Tabelli miast, wsi, osad Król. Pols.«. Warszawa 1827.

[5]) Rzyszcz. i Muczk. j. w. Nr. 484.

[6]) W r. 1250 Łódź nie należała jeszcze do biskupów kujawskich (Por. B. Ulanowski j. w. str. [187] Nr. 13),

samym rozstaju trzech fal kolonizacyjnych Kościoła, bijących w łęczyckie. Pierwsza z nich, gnieźnieńska, od północy sięgała w te strony [1]); druga — krakowska (»Chropy«) dążyła z południowego zachodu aż po późniejszy Karolew podłódzki [2]); trzecia wreszcie — włocławska (dobra wolborskie), mknąc w susach od południa, samą »Łódź« zalała.

I nietylko na rozstaju prądów osadniczych Kościoła umieściły średniowieczną Łodzię losy dziejowe. Postawiły ją one nadto na straży kresów północnych tego klina, którym Łęczycanie, dążąc ku Pilicy, wbili się ongi pomiędzy Sieradzan a »Mazurów« rawskich. Klin ten, wypełniający część południowo-wschodnią późniejszego województwa, obejmował 1300 kilometrów kwadra-

---

którzy w r. 1332 są już w jej posiadaniu (Rzyszcz. i Muczkowski j. w. Nr. 484). Stosław Łaguna (notaty rękopiśmienne do Cod. dipl. Pol. Rzyszczewskiego) przypuszcza, że data ostatniego tego dokumentu musiała być nieco późniejsza. Nie potwierdziły tej hipotezy nasze dociekania; zauważymy też, że jeżeli data pomieniona była istotnie późniejszą — jak chce Łaguna — to nie o wiele, gdyż już około r. 1357 zmarł był wystawca omawianego aktu, Władysław ks. łęczycko-dobrzyński (Por. niżej przyp. 139).

[1]) Por. wyżej odpowiednie ustępy tekstu i przypiski, oraz K. Potkański: »Opactwo« j. w. str. 92.

[2]) M. Baruch j. w. (Por. mapę dóbr chropskich, zamieszczoną tam na końcu książki).

towych powierzchni[1]), przy najmniejszem zaludnieniu nietylko w łęczyckiem, ale w całej niemal Wielkopolsce[2]) i nosił w czasach późniejszych miano »powiatu« *(districtus)* brzezińskiego, graniczącego od północy na linii Retkini pod Konstantynowem, Łodzi, Strykowa i Gozdowa, z »powiatem« łęczyckim, a Gozdowa i Waliszewa, z »powiatem« orłowskim[3]).

Trzy te »powiaty« — to całość ziemi łęczyckiej, a powiat brzeziński, to niewątpliwie dawna kasztelania tegoż miana[4]) i dawniejszy jeszcze, zamierzchły związek opól okolicznych, na którym kniaziowie łęczyccy oparli ongi władzę swą w tych stronach.

Nie był to zapewne nabytek zbyt ciężki, ni krwawy, choć granica północna powiatu, dążąca linią krzywą przez okolice wspomniane[5]), a zgięta silnie pomiędzy Radogoszczem i Łodzią, zdaje się wskazywać na to, że stary gród zgierski[6]), placówka południowa pierwotnych władców łę-

---

[1]) A. Pawiński, »Wielkopolska« I. 49, 50.

[2]) Tamże str. 65.

[3]) Pierwotną granicę północną »powiatu« *(districtus)* brzezińskiego, odtworzyliśmy tu na podstawie »Wielkopolski« (»Źród. Dziej.«) A. Pawińskiego (t. II. str. 88—98; 98—111).

[4]) Por. Stanisław Kutrzeba: »Skład Sejmu polskiego« (*Przegląd Historyczny* II. 76).

[5]) Gozdowa, Strykowa i Łagiewnik.

[6]) Por. K. Potkański: »Opactwo« j. w. str. 175.

czyckich, musiał się tu niegdyś z pewnemi trudnościami porać.

I nic dziwnego. Jakkolwiek bowiem odwieczna puszcza leśna pokrywała okolicę Brzezin[1]) — nazwanych tak, bodaj dla wyjątkowej obfitości brzóz (brzezin) w tych stronach — to jednak nie była to puszcza całkiem głucha, nawet w czasach prastarych, które sto spełna osad ludzkich, wśród lasów i borów, potomności przekazać tam zdołały [2]).

Z terytoryum, o którem mowa, zasiadali później w senacie polskim dwaj tylko kasztelanowie (mniejsi): brzeziński i inowłodzki [3]). Byli to jedyni — poza wojewodą i kasztelanem łęczyckim — senatorowie z tych stron zaściankowych. Kasztelan brzeziński reprezentował na szarym końcu ław senatorskich dostojność zamierzchłą prastarego grodztwa, którego okolica

---

[1]) Por. pierwsze rozdziały książki M. Barucha (j. w.), tradycye Będonia, opisane niżej w tekscie, oraz — wyjątkowo małe zaludnienie tej okolicy. U Pawińskiego jeszcze, t. j. na tle źródeł z końca XVI wieku (»Wielkopolska« w »Źródłach Dziejowych«, I. 75) wypada w »powiecie« Brzezińskim tylko 50 włók ziemi uprawnej (kmiecej) na jednę milę kwadr., gdy w dwóch pozostałych »powiatach« województwa łęczyckiego: łęczyckim i orłowskim ilość ta wynosi już 65 i 77 włók.

[2]) Wskazuje na to obliczenie starych nomenklatur miejscowości tej okolicy, dokonane na podstawie »Wielkopolski« A. Pawińskiego (II, 88—98).

[3]) St. Kutrzeba j. w. (Por. wyżej str. 126, przyp. 4).

dała początek nazwie i rozmiarom »powiatu«; inowłodzki zaś, wyposażony w miejsce jeszcze pośledniejsze, zasiadał na niem, jako przeżytek tych prób niefortunnych, które niegdyś — może przed Piastami — usiłowały zapewnić panom Inowłodza, a raczej jakiejś zanikłej tam miejscowości »s t a r o włodzkiej«, panowanie nad częścią południową ziemi łęczyckiej. Zdaje się, że panowanie to nie wykroczyło nigdy poza najbliższą okolicę grodu: wieś Małomierz i sąsiadujące z nią przyległości [1]). Podboje Brzezin sparaliżowały niechybnie rozwój dalszy tej placówki odwiecznej, która spełniła jednak zadanie swoje, jako strażnica pograniczna ziemi łęczyckiej od strony Pilicy i Sandomierzan — zarzecznych sąsiadów.

Zresztą, na terytoryum późniejszego powiatu brzezińskiego, szukalibyśmy daremnie śladu innych, poważniejszych punktów obronnych. Od strony Sieradzan broniło tu dostępu jedno chyba tylko Grodzisko pod Rzgowem; pozatem, jak się zdaje, poprzestawano na zwykłych przesiekach pogranicznych *(vyasd)*, których ślad zachował się w nazwie Ujazda, położonego między Rokicinami a Tomaszowem.

Granica sieradzko-łęczycka była w tych stronach zarazem i granicą »powiatu«, który na południowym wschodzie ogarnął całość ziemi łę-

---

[1]) A. Pawiński j. w. II. 117, Innovlodz.

czyckiej [1]) i sięgnął po Pilicę, przyczem terytoryum inowłodzkie stało się w wiekach średnich jego częścią składową [2]). Jeżeli jednak granicę północną, zachodnią i południową obszaru brzezińskiego odtworzyć sobie możemy dość ściśle, to gorzej przedstawia się granica wschodnia, od strony ziemi rawskiej [3]), jakkolwiek sama stolica »powiatu« — stare Brzeziny, tuż prawie nad granicą łęczycko-rawską, bo o dwie mile od niej położone były. Zdaje się, że rzeczkę Przysowę, stanowiącą w przybliżeniu tę właśnie granicę [4]), uważać można w zasadzie za kres »powiatu« brzezińskiego w owej okolicy. Kres nie był atoli dość wyraźnym — tak dalece, że nawet Brzeziny uchodziły niekiedy, i to w kancelaryi królewskiej, za część składową województwa rawskiego, a więc — Mazowsza! [5]) Był to oczywiście błąd, ale błąd znamienny, płynący z przyczyn, których rozstrząsanie zbyt dalekoby nas zaprowadzić mogło. Dość będzie stwierdzić, że właśnie »powiat« brzeziński — klin południowo-

---

[1]) »Powiat« ten nie istnieje jeszcze w źródłach A. Pawińskiego (j. w.), t. j. w drugiej połowie XVI wieku; powstał dopiero później. Por. Baliński i Lipiński: »Starożytna Polska« I, 256–257.

[2]) Por. A. Pawiński j. w. II. str. 88; 88—98.

[3]) Tamże.

[4]) Por. K. Potkański: »Opactwo« j. w. str. 101.

[5]) W wieku XVII. (Por. Baliński i Lipiński j. w. I. 267).

wschodni ziemi łęczyckiej, co ziemię rawską od Sieradzan dzielił, co pomnożył posiadłości łęczyckie o 1300 kilom. kwadr. powierzchni i obdarzył je czteromilowym brzegiem Pilicy od Tomaszowa do Łęgonic, składał się naogół z terytoryum, najmniej pożądanego w prawieku, kiedy ziemi bylejakiej było i być mogło poddostatkiem dla wszystkich. Licha gleba — w łęczyckiem najgorsza — sprzęgała się tu z okolicznością, że »powiat« brzeziński obejmował owo właśnie płaskowzgórze, 200—300 metrów ponad poziom morza wzniesione, które stanowiło cypel północny wyniosłości podkarpackich, rozlanych tuż na zachód od Pabianic, na wschód od Brzezin i na północ od Zgierza, w płaszczyznę (100—200 metrów) sieradzką, rawską i łęczycką, która dalej nieco, poza Ozorkowem, przechodziła już w urodzajną nizinę Warty, Neru i Bzury [1]). Płaskowzgórze brzezińskie, ożywiane z wiosną potokami wartkich strumieni, nie posiadało nigdy — poza Pilicą na południowym wschodzie, i poza środkowem porzeczem Neru na zachodzie północnym, a więc — poza dobrodziejstwami natury, z których »obcy«: »Sandomierzanie« i Sieradzanie przedewszystkiem korzystać mogli — żadnych zgoła poważniejszych arteryj wodnych, sprzyjających osadnictwu pierwotnemu.

---

[1]) Por. cyt. wyżej mapę Majerskiego.

Okoliczności te: brak rzek spławnych, ubóstwo gleby i uderzająca podziśdzień hypertrofia natury w wydajności drzew leśnych, a zwłaszcza brzozy, spowodowały z jednej strony szczupłość osadnictwa w tej okolicy, z drugiej zaś tłómaczą oną możność dziejową, której Łęczycanie, w pochodzie ku Pilicy, »klin« swój — skarb przez sąsiadów mało pożądany — do zawdzięczenia mieli...

Nie posiadał on nawet granic naturalnych, z wyjątkiem dolnej cząstki Dobrzynki i średniego biegu Neru w węgle północno-zachodnim, od strony Sieradzan, a Pilicy od »Sandomierzan«. Granice sieradzka i sandomierska nie ulegają zresztą wątpliwości, podobnież jak i odrębność etnograficzna trzech »plemion«: Sieradzan, Łęczycan i Chrobatów [1]). Inaczej zgoła miały się rzeczy ze wschodnim sąsiadem ziemi łęczyckiej — z »Mazowszem« rawskiem, nie oddzielonem od niej żadną zaporą. Wzgląd ten, jak również chwiejność granic łęczycko-rawskich w toku dziejów, zdają się przemawiać za hipotezą jedności etnograficznej obu »plemion«, z których słabsze, Łęczycanie, utracić mieli w prawieku »rawskie« obszary swoje na rzecz Mazurów, którzy ich z nad Wisły wyparli aż po Przysowę [2]).

---

[1]) Por. K. Potkański j. w. str. 101.

[2]) Tamże. — Nadto, zauważyć tu musimy, że przynależność licznych miejscowości mazowiecko-rawskich do

Nie sięgając w czasy tak zamierzchłe, stwierdźmy, że istotnie granica wschodnia ziemi łęczyckiej, a więc i brzezińskiego »powiatu«, zdawała się niknąć w praktyce i łączyć raczej, niż rozdzielać jego mieszkańców z sąsiadami o miedzę — z obywatelami »młodszego cywilizacyjnie« Mazowsza. Młodszego — niewątpliwie — od reszty ziem polskich, a w szczególności od Wielkopolski, do której ziemię łęczycką zaliczono niebacznie... Jeżeli zaś cała ta ziemia zdawała się być za pierwszych Piastów kopciuszkiem Korony; jeżeli ujemne wpływy mazowieckie opanowywały ją na całem pograniczu wschodniem, to najsilniej działały one niechybnie w brzezińskiem, którego mieszkańcy, oddaleni od metropolii — Łęczycy, odcięci granicą plemienną od Sieradzan, a korytem Pilicy od południowych sąsiadów, pozostawieni byli w głuszy leśnej, jakby samym sobie i — »Mazurom«.

średniowiecznego archidyakonatu łęczyckiego, z którego dopiero w wieku XVI wyłonił się odrębny archidyakonat łowicki (J. Łaski *Liber Beneficiorum* II. 161. Gniezno 1881) zdaje się świadczyć o zamierzchłej wspólności plemiennej Łęczyckiego i Rawskiego. W wieku XVI granicę obu pomienionych archidyakonatów, łęczyckiego i łowickiego (powstałych — jak nadmieniliśmy — z dawnego archidyakonatu łęczyckiego) stanowiła rzeczka Mroga. (Por. mapę, załączoną do wydania *Liber Benefic.* Łaskiego j. w.). Tkwi w tem ślad znamienny odwiecznego braku ścisłej granicy łęczycko-rawskiej.

Kto wie zresztą, które to wpływy były lepsze: łęczycko-brzezińskie, czy »mazowiecko«-rawskie?... Nie darmo pieśń ludowa opiewała jeszcze w wieku XVI, ku trwodze słuchaczów, czyny zbójnicze dzikich Pomrożan [1]), zamieszkałych jakoby w rawskiem, choć rzeczka Mroga [2]), dopływ Bzury pod Sobotą, brała, jak wiadomo, początek tuż pod Koluszkami [3]), z głębi borów, i dążyła na północ przez najbliższe, »łęczyckie« okolice Brzezin: Rogów, Kołacinek, Dmosin i Głowno... Ale nie uprzedzajmy wypadków!

* * *

Pod względem kościelnym należała w wiekach średnich ziemia łęczycka do powstałej w roku 1000 archidyecezyi gnieźnieńskiej, a mianowicie do jej archidyakonatu łęczyckiego, który dopiero w wieku XVI na dwa nowe archidyakonaty: łęczycki i łowicki podzielono [4]). Owa przynależność kościelna, polegająca na duchowej obedyencyi parafii i wiernych względem arcypasterza i jego zastępcy, archidyakona, rezydującego od okresu 1161—1200 przy Kole-

[1]) Święcicki: »Opis Mazowsza«.

[2]) Por. wyżej przyp. 2, str. 131.

[3]) Mapy Chrzanowskiego i Nipanicza.

[4]) Jana Łaskiego: »*Liber Beneficiorum* Archidyecezyi Gnieźnieńskiej«, Gniezno 1881, II. 161—162.

giacie łęczyckiej [1]), nie dotyczyła w zasadzie — mimo przywilejów Gniezna, oraz dziesięcin, składanych przez ludność jego kapłańskim przedstawicielom — rozwoju znanych nam już prądów osadnictwa kościelnego w łęczyckiem. Osadnictwo to — ruch agrarno-ekonomiczny, a pośrednio i kulturalny zarazem — nie uszczuplało na rzecz dyecezyi krakowskiej, czy kujawskiej, zwierzchnictwa kościelnego archidyecezyi, ani odwrotnie: nie narzucało go »Chropom« ni »Wojborowi« w gospodarczej sferze świeckiej. Przeciwnie, biskupi trzymali się naogół krzepko i łącznie ze sobą; tam zaś, gdzie szło o ich stosunek do ludności i władzy, łączność zamieniała się w opokę nieprzyzwyciężoną. Opoka nie odrazu jednak z granitu się składała. Tworzył ją początkowo materyał o wiele słabszy — w dobie, kiedy Kościół polski pierwsze kroki swoje na arenie dziejowej stawiał. Było tak poniekąd jeszcze w epoce, która przyszłe losy ziemi łęczyckiej rozstrzygnęła — na schyłku wieku XI, a nawet i później, kiedy po darowiznach na rzecz Gniezna i Krakowa: po dobrach benedyktyńskich i po »Chropach«, przyszła w pierwszej połowie XII stulecia kolej na »Wojbor«, ofiarowany biskupom kujawskim. Wiemy, że następstwa tych darowizn odbiły się w całej pełni

---

[1]) Por. K. Potkański: »Opactwo« j. w. str. 102, 109.

na łęczyckiem dopiero w okresie pomiędzy połową XIII i XV wieku, t. j. kiedy Kościół podstawę swoją w państwie i społeczeństwie należycie już ugruntował. Że owa robota gospodarcza Kościoła w łęczyckiem dokonała się tak późno, a nadewszystko, że się tak późno w zakresie niebywałym dokonać mogła, są to względy dość ciekawe i ważne, by je tu poruszyć.

Owóż — przed tym okresem — miał u nas Kościół zgoła inne, niż gospodarcze cele na oku: musiał przedewszystkiem porać się z władzą książęcą o prawne stanowisko swoje w państwie. Dopiero, gdy tę walkę zakończył zwycięsko, mógł jąć się poważniej ekonomicznych zabiegów. Możność ta — dziwnym zrządzeniem losu — zbiegła się z początkami ruchu kolonizacyjnego w kraju całym, ruchu, który jego dzieje wewnętrzne właśnie w okresie wspomnianym wypełnił. Tłómaczy nam to, aż nazbyt dokładnie, rzecz na pozór dziwną, że Kościół pracę gospodarczą w łęczyckiem rozpoczął tak późno.

Ciekawy jest natomiast wzgląd drugi, że się owa praca, wszczęta tak późno, zwłaszcza przez »Wolborz« i »Chropy«, wykonać dała nietylko istotnie, ale nadto na tak olbrzymią skalę, jakiej gdzieindziej warunki osadnictwa: możni, szlachta i ich gospodarstwa folwarczne, nie mogły już były dopuścić... To też zjawisko to byłoby wręcz

niepojęte, gdyby nie fakt prosty, wyjaśniający zagadkę rzekomą: Oto, terenem owych późnych powodzeń Kościoła stał się zaściankowy powiat brzeziński, obszar, którego przynależność do państwa i Kościoła, jeśli o kulturę chodzi, uważać można naogół — śmiemy to twierdzić bez wahania — za formalną raczej, niż rzeczywistą, bodaj do progów Jagiellońskiej doby.

Jakież to bowiem nauki i dzieje przeszedł ów obszar za Piastowskich czasów?

Materyałów posiadamy, niestety, zbyt mało, by módz odpowiedzieć na to pytanie w oderwaniu od dziejów ziemi łęczyckiej, jako całości. Stawiając atoli z konieczności kwestyę w sposób taki, musimy zastrzedz się z góry, że ogólne dzieje łęczyckie dotyczą z natury rzeczy przedewszystkiem jądra tej dzielnicy, t. j. w znaczeniu możliwie najszerszem, łęczyckiego »powiatu«. Powiat orłowski, a zwłaszcza brzeziński, o dwadzieścia kilka kilometrów w najbliższym punkcie swoim (okolica Gozdowa), a o dziewięćdziesiąt z górą w najdalszym (Pilica), i to w linii powietrznej, od Łęczycy oddalony, nie mógł posiadać nigdy, zwłaszcza, gdy grunt kamienisty, piaski, puszczę leśną i potoki wiosenne tych stron uwzględnimy, łączności należytej z daleką metropolią swoją. Jakoż nie posiadał jej naprawdę jeszcze i w wieku XIX, kiedy to z brzezińskiego szosą, »jak za morze«, do Łęczycy

w sprawach urzędowych jeździć musiano[1]). A cóż dopiero mówić o Piastowskich czasach, gdy prawiek w głuszy brzezińskiej dawnym jeszcze rządził się majestatem zbója, natury i zwierza...

»Łęczyca«, t. j. ziemia łęczycka, jak opiewają dzieje, dostała się, jeszcze za życia Władysława Hermana († 1102 r.), w r. 1097, synowi jego, Zbigniewowi, w udziale i przetrwała pod »berłem« tego księcia, a — mówiąc ściślej — pod obuchem zbójeckich walk bratobójczych, toczonych pomiędzy nim, a Krzywoustym, do r. 1107[2]).

Rzeź ta, przeniesiona później za Wisłę, ucichła na dobre dopiero po oślepieniu i śmierci Zbigniewa (1111—1113 r.)[3]), co jednak nie wpłynęło bynajmniej na przyśpieszenie początków rzeczywistej pracy kulturalnej w łęczyckiem. Wojenne rządy Krzywoustego, oraz pierwszych, dzielnicowych jego następców w tych stronach, zajętych walką z braćmi i zabiegami o władzę, nie były pono dla Łęczycy bardziej od dawnych panowań szczęśliwe. Dopiero słynny zjazd łęczycki z roku 1180, na którym Kościół pierwsze

---

[1]) Tradycye będońskie z przed lat sześćdziesięciu. (Opowiad. Karola Koźmińskiego, oraz starego, w mem dzieciństwie, gajowego, Błażeja).

[2]) Por. Max Gumplowicz: *Zur Geschichte Polens im Mittelalter*. Innsbruck 1897.

[3]) Tamże. — Wynika to również ze szczegółowej rewizyi źródeł do dziejów ówczesnych.

zwycięstwa swoje nad Piastami obwieścił uroczyście i wobec państwa sobie zawarował, może być uważany nietylko za początek właściwej, choć nie istotnej jeszcze, doby historycznej tej ziemi, ale i za *omen* znamienny dalszych jej losów.

Prognostyk nie był może nawet całkiem przypadkowy. Odległość znaczna od Prusów, a zwłaszcza od Pomorzan, Czechów i Rusi, nadto zaś spuścizna po-benedyktyńska i oparte na niej uposażenie arcybiskupów gnieźnieńskich w »powiecie« łęczyckim, sprawiały, że sam gród nad Bzurą stał się już w wieku XII rodzajem ostoi dla pożądających ciszy i bezpieczeństwa, przedstawicieli dynastyi i Kościoła.

W Łęczycy trzymał w roku 1107 Bolesław Krzywousty Marcina arcybiskupa, jako zakładnika w wojnie ze Zbigniewem [1]), w Łęczycy osiadła wdowa po Krzywoustym († 1138), hrabianka Bergu, Salomea [2]), w Łęczycy wreszcie odbył się za Kazimierza Sprawiedliwego słynny akt wspomniany, a w sto lat później, w r. 1285, synod prowincyonalny Jakóba Świnki, upamiętniony postanowieniem konserwacyi i popierania języka polskiego w działalności kościelnej.

Wcielone do Wielkopolski, przechodziło z kolei

---

[1]) Tamże.

[2]) Por. Stanisława Smolki: »Mieszko Stary i jego wiek«. Warszawa 1881.

łęczyckie w dobie dzielnicowej do rąk (Mieszka Starego, Kazimierza Sprawiedliwego) Konrada Mazowieckiego i jego zstępnych: obu Kazimierzów Kujawsko-łęczyckich, Leszka Czarnego, Władysława Łokietka i Ziemowita, a wreszcie Władysława, księcia dobrzyńsko-łęczyckiego, po którego śmierci król Kazimierz Wielki dzielnicę tę, dopiero około roku 1357, ostatecznie połączył z Koroną [1]).

Śledzenie szczegółowe dziejów politycznych ziemi łęczyckiej nie jest tu naszem zadaniem. Pragniemy jedynie zwrócić uwagę na tło historyczno-kulturalne tego zakątka, wchodzącego i później i inaczej, niż się sądzić zwykło, na tory dziejowej cywilizacyi Polski. Poprzestaniemy też na stwierdzeniu faktu, że zarówno za pierwszych Piastów, jak i w czasach dzielnicowych, przedstawiających się smutnie naogół w całej Wielkopolsce, władza państwowa, ani wpływy kulturalne możnych, nie odegrały w łęczyckiem tej roli, jaka im w innych okolicach

---

[1]) Por. O. Balzer: »Genealogia Piastów« str. 362. Książę Władysław Dobrzyńsko-łęczycki zmarł jakoby (wedle Balzera j. w.) około roku 1352. Datę tę posuwa atoli Stosław Łaguna (notaty rękopiśmienne do dzieła Balzera) na czas około roku 1357, w którym, jak słusznie to podnosi, poraz pierwszy dopiero występuje w dziejach królewski starosta łęczycki, Dziwisz. (Por. wyżej przyp. 6, str. 124).

kraju przypadła w udziale. Przyszłość niedaleka miała to w całej pełni wykazać.

Co do wpływów możnych, to »królewiąt«, jak wiadomo, nie było tam wcale; co zaś do władzy książęcej, to i ją także, acz tylko poniekąd, wyprzedziło w łęczyckiem wyjątkowe stanowisko Kościoła. Prawda, że za pierwszych Piastów przeddzielnicowych — jeśli o istotę rzeczy, nie zaś o stronę formalną chodzi — niepodobna traktować tam poważniej obu zjawisk wspomnianych: władzy monarszej czy kościelnych wpływów, albowiem pod względem kultury zakątek łęczycki tkwił wtedy jeszcze w atmosferze bytu przeddziejowego — w majestacie leśnym prawieku. Gdy atoli w połowie XII wieku nastała w Polsce doba dzielnicowa, niedoceniana naogół co do związanej z nią rozlewności książęcych wpływów cywilizacyjnych, okazać się miało niebawem, że podstawa materyalna, jaką Kościół zdołał był przedtem posiąść w łęczyckiem i u jego progów, stanowiła siłę o wiele większą, niż ta, jaką rozporządzać mogli dzielnicowi książęta łęczyccy.

Potężni arcybiskupi gnieźnieńscy, władający duszami wiernych całej tej ziemi, oraz dobrami w stołecznym »powiecie«, biskupi krakowscy, jako panowie »Chropów« i kujawscy — panowie »Wojbora« — była to zaiste potęga, wobec

której niknęli całkiem skarlali potomkowie Piasta, »panujący nad okolicą«.

Wprawdzie, panem z imienia książę być nie przestawał, wprawdzie »pełnia« praw jego monarszych — *jus ducale*, świecące tu i owdzie strzępami z poza przywilejów [1]), stanowiło dość jeszcze podniety i »siły moralnej«, by się o swe prawa upominać, ale prawa te, tam zwłaszcza, gdzie Kościół, jako magnat ziemski występował, a książę nie księciem był, lecz książątkiem, schodziły zazwyczaj na nice. Dzieje »Chropów«, odebranych kapitule krakowskiej w XII stuleciu przez Piastów, a zwróconych jej przez Kazimierza Sprawiedliwego z dodatkiem pokory książęcej [2]), spory i układy Kazimierza I, księcia kujawsko-łęczyckiego († 1267) z biskupem włocławskim Wolimirem o dobra kościelne kujawskie [3]), stanowią tu, by przykładów nie mnożyć, ilustracyę wystarczającą. Zresztą, już pod koniec XII wieku, za przykładem arcybiskupa Jakóba ze Żnina, poczęła się w dobrach kościelnych wielkopolskich gospodarka, ulepszona nie-

---

[1]) W wyjątkowych tylko wypadkach całość tego prawa *(jus ducale)* przechodziło — w zakresie dóbr, nadanych przez księcia, — na rzecz Kościoła.

[2]) Por. M. Baruch j. w. str. 27–29.

[3]) Cod. dipl. Pol. Rzyszcz. i Muczk. Nra 90, 444, 445, 446, 449, 452—455.

bawem o tyle[1]), że książęta ubożsi, którzy łowami na grubszego zwierza: zaspakajaniem żyłki myśliwskiej, wetować sobie musieli nieraz brak realniejszych korzyści »panowania«, nie mogli przeoczyć już tych beneficyów ekonomicznych, jakie na nich samych z łaski Kościoła-gospodarza pośrednio spływały[2]).

Jakkolwiek w Polsce całej urastał Kościół w bogactwo, potęgę i znaczenie »państwa w państwie«, to jednak ziemia łęczycka stanowiła i pod tym względem istne *curiosum*. Najdawniejszy obraz statystyczny tej ziemi, pochodzący z XVI stulecia, wykazuje tam ni mniej, ni więcej, jeno 22°/₀ ogółu gruntów uprawnych, nie mówiąc o lasach i nieużytkach, w ręku Kościoła. Ogrom tej odsetki, spuścizny średniowiecza, wystąpi atoli w całej okazałości, gdy ją zestawimy ze współczesną normą przeciętną innych województw wielkopolskich (10°/₀), a nadewszystko województw sąsiednich: kaliskiego (6°/₀) i poznańskiego (6°/₀), oraz z obszarem królewszczyzn w łęczyckiem (9°/₀)[3]).

---

[1]) Por. St. Zakrzewskiego: »Ze studyów nad bullą z r. 1136« (Rozpr. Wydz. Hist.-fil. Akad. Um. t. 43, str. 43).

[2]) Opłaty (kary) sądowe; przyjmowanie księcia z jego dworem przez ludność okolicy, w której książę bawił; wreszcie rozmaite daniny i opłaty, których wysokość i suma zawisła była oczywiście od stopnia zaludnienia i zagospodarowania danej miejscowości.

[3]) A. Pawiński »Wielkopolska« j. w. I. 133, 135.

Znając okoliczności odwieczne, które zjawisko to wywołały, dziwić mu się niepodobna — jemu, ani logicznym jego następstwom.

Ziemia łęczycka stała się tłem dziejowem, na którem dwa przeciwne sobie krańce duszy wieków średnich: pierwotność barbarzyńcy i świętość ascety ścierały się z sobą bardziej bezpośrednio, niż gdziekolwiekbądź indziej. Brakło im tu owej przegrody normalnej, jaką stanowiły w innych, wyżej rozwiniętych okolicach kraju, zwykłe retorty cywilizacyi, ogniska żywotne rozwoju kulturalnego: dwory książąt, magnatów i możnych świeckich. Anormalność takiego stanu rzeczy miała się odbić nietylko w obyczaju i zaściankowości, ale także i w ich wyrazie publicznym: w słynnym separatyzmie szlachty łęczyckiej za Jagiellonów [1]).

W zespole tym, brzezińskie uznać należy za najbardziej klasyczny przeżytek prawieku, za okaz wybrany majestatycznej jego pierwotności, spowity w zasłonę zelotyzmu religijnego i dziecięcej czci dla Kościoła.

Był on tam wszystkiem o czem dusza człowiecza zamarzyć mogła: bogactwem i władzą, dobrem doczesnem i wiekuistem, panem nad pany, dobrodziejem i sędzią, nagrodą i karą.

---

[1]) Por. Konstytucye łęczyckie z r. 1418—1419. (Por. wyżej przyp. 2, str. 108).

Życie... biegło mimo to swojem korytem, stawał się rozwój państw i narodów, jaśniały po świecie nowe ogniska kultury, rok mijał za rokiem, lata za latami — tam wszystko po dawemu trwało: Kościół pogłębiał wiarę obywatela, gospodarzył, modlił się i bił we dzwony, ów zaś — *cokoli bywało, żył jako drzewiej, gaił na chyżę, łaźbił szmery, dzierżał mrzeżę, w łomcy łowce dzielił; jegdy zasie pożeżcą, albo z chlebojedźce i uczęstniki swymi bieżał kędykole, chąśbą ni łupem nie gardził...* [1]).

*
* *

Daremnie szukalibyśmy śladu szczegółów dziejowych o Łodzi i o najbliższych jej okolicach na tle wczesnej epoki piastowskiej. Manchester polski był embryonem dzisiejszej wielkości swojej nietylko za Piastów, ale i później

---

[1]) Ustęp ten, częściowo w gwarze łęczyckiej z czasów Jagiełły spisany, znaczy: ów zaś, cokolwiek bywało, żył jak dawniej, drzewo na chatę gromadził, podbierał pszczoły, sieć (w ręku) trzymał, w lesie zdobycz (myśliwską z towarzyszami) dzielił; gdy zaś, jako podpalacz, albo z czeladzią i z towarzyszami swymi kędykolwiek przechodził, kradzieżą ani łupem nie gardził. Por. zbiór wyrazów odpowiednich w »Księgach sądowych łęczyckich« (Teki A. Pawińskiego V, cz. III, str. CXXIX i nast.); wyrazy: *chlebojedźce i uczęstniki* zaczerpnięte z Kujaw średniowiecznych.

jeszcze przez długie wieki. Spowity w niezwykłe warunki historyczne, które w sposób skomplikowany, ale nad wyraz logicznie, rozwojem jego pokierować miały, nie marzył on do ostatnich niemal czasów o tej przyszłości, jaka go czekała...

Za Piastów wszystko składało się na to, by rozwój ten opóźnić i dalszym wiekom przekazać *quasi in ovo*. Długoletnie ścieranie się władzy książęcej z kościelną o panowanie nad terytoryum łęczyckiem, a mówiąc ściślej — nad »wolborszczyzną«, usadowioną i w brzezińskiem, zakończyło się zwycięstwem biskupów kujawskich dopiero za ostatniego Piasta dzielnicowego, który tym zakątkiem władał.

Drobne i mało znane książątko, Władysław dobrzyńsko-łęczycki, syn Ziemowita, a prawnuk mimowolnego dobroczyńcy Krzyżaków, Konrada [1]) uległ w walce dziejowej z biskupem kujawskim, Maciejem z Golańczewa herbu Topór... [2]) W słowach, pełnych pokory, spisanych w Łęczycy przez notaryusza swego, Jana, proboszcza z Kłodawy, wyrzekł się on skwapliwie dnia 6 września 1332 roku [3]) — jak opiewa data — wszelkich praw panującego do wiosek, przez

---

[1]) O. Balzer »Genealogia Piastów«.

[2]) Por. M Borucki: »Ziemia kujawska« j. w. str. 285. — Biskup Maciej zmarł w 1368 r. (tamże).

[3]) Por. wyżej przyp. 6 str. 124.

biskupa pod jego berłem posiadanych, a między innemi do — Łodzi [1]).

Czemże to jednak owa »Łodzia« *(Lodza)* była tymi czasy? Była wioską, gorszą może, niż inne okoliczne i — bodaj — od nich młodszą — wioską, która u pogranicza dwu kasztelanii starodawnych: brzezińskiej i zgierskiej [2]), na gruncie piaszczystym stanęła [3]). Nie będziemy pono da-

[1]) Cod. dipl. Pol. Rzyszcz. i Muczk. Nr. 484. (Por. wyżej przyp. 6 str. 124).

[2]) Że Zgierz był istotnie grodem (kasztelanią), por. K. Potkański: »Opactwo« j. w. str. 175. (Por. nadto niżej przyp. 3).

[3]) Owo położenie i grunt mizerny — zbyt szumnie, w geografii raczej, niż w rzeczywistości — rzeczkami Jesienią i Łódką zroszony (J. Łaskiego: *Liber Benef.* II. 381), to klucz jedyny do tych tajemnic, które pierwociny Łodzi w zasłonę nieprzeniknioną niemal przed okiem jej dziejopisów spowiły! Zwróciliśmy już wyżej (w tekście) uwagę na to, że losy usadowiły przyszły Manchester polski w Wiekach Średnich na rozstaju podwójnym: granic polityczno-administracyjnych (Zgierz-Brzeziny) i prądów osadnictwa kościelnego (Gniezno, Chropy, Wolborz). Jest to wzgląd, zasługujący na baczną uwagę, wzgląd, który się niewątpliwie (około połowy XV wieku) do wyniesienia Łodzi na poziom »miasteczka« przyczynił i który pośrednio rzucić może nieco światła na ciemną zagadkę, domagającą się tu rozwiązania. Granica »powiatów« *(districtus)* łęczyckiego i brzezińskiego, zgięta była — jak nam wiadomo (por. wyżej przyp. 5, 6, str. 126) — w sposób uderzający pomiędzy Radogoszczem i Łodzią. Łódź i Radogoszcz, to miejscowości o parę kilometrów zale-

lecy od prawdy, przypuszczając, że cały ów

---

dwie od siebie oddalone. Radogoszcz, nomenklatura prastara, stanowił ostatni na południu etap kasztelanii zgierskiej; Łódź — najdalej na północ w tym punkcie wysuniętą — słabą placówkę kasztelanii brzezińskiej, w którą zgierska wbiła się tu klinem pod samo niemal miasto późniejsze, jakby gardząc jego terenem. — Że nazwa »Łódź« (Lodza) nie oznaczała nigdy wprost łodzi, łódki, pomimo takiej nazwy (»Łódka«) strugi miejscowej, wątpić niepodobna. Mniejsza już o to, że łódka *(linter)* zwała się w Wiekach Srednich — a zapewne i dawniej — popularnie *koryto* i *żłób* (Z. A. Helcel: Star. Pr. Pols. Pom. II. Nr. 4459); wszystko wskazuje na to, że nazwa osady i »miasteczka« pochodzi od herbu Łodzia, godła rodu, który na początku wieku XIV (Fr. Piekosiński: »Heraldyka Polska Wieków Srednich« str. 305) wydał Mikołaja, wojewodę kaliskiego (z r. 1305), ojca komesa Wojciecha z Kroży (z r. 1315, tamże str. 99), oraz wielu innych dostojników i możnych kalisko-poznańskich (tamże str. 99—100). — Łodzię swoją (herb) wyobrazili oni jako łódź dopiero pod koniec XIV wieku (tamże str. 99, fig. 142); dawniej (w r. 1315) widnieje w tym herbie — bez klejnotu — na tarczy tylko hełm rycerski (tamże fig. 141). — Ten to ród niewątpliwie założył wszystkie Łodzie polskie, t. j. Łódź poznańską pod Stęszewem (Por. indeks Kod. Wielkopolskiego, t. IV) i w powiecie krobskim (Plater, Spis miejscowości str. 232, 340), oraz naszą Łodzię, która później herb swych założycieli przybrała (Por. artykuły nasze »W sprawie herbu miasta Łodzi«, [*Tygodnik Illustrowany* z 1903 r. Nr. 16] i »Herb Łodzi« [*Kuryer Warszawski* z 1903 r. Nr. 90]. — Osadnictwo szlacheckie w Brzezińskiem (pod Łodzią) zdaje się być zjawiskiem dość późnem, bo zawdzięczamy je już rodom

10*

proces, w ciągu którego poważniejsza osada

---

rozmaitym: Nałęczom, Jastrzębcom itd. Pomimo konserwatyzmu, trwającego w łęczyckiem znacznie dłużej, niż w innych okolicach Wielkopolski, brak tam kompleksów dóbr rodowych, a wraz z tem poczucia »bliższości rodowej *(jus propinquitatis)* przy alienacyach ziemi (Por. Constitutiones terrae Lanc. art. 42) — co razem stanowi dowód, że osadnictwo szlacheckie było tam — w brzezińskim zakątku podłódzkim — zjawiskiem importowanem i przeto względnie późnem. — I jeszcze jedno: do parafii Łódź (bardzo małej, najmniejszej w okolicy) należą na początku wieku XVI, a zapewne już i w XV (za czasów Długosza, do istniejącej już wówczas *parochia ecclesiae de Lyodza* [Johannis Dlugossi: *Liber Beneficiorum* I. 285; wyd. krakowskie 1862 r.], należało napewno Rokicie; współcześnie — dnia 16 kwietnia 1464 r. — była już Łódź i miasteczkiem — *oppidum* [Mon. Medii aevi XIII, Nr. 1194, 1195]): Bałuty, Doły, Lipinki, Widzew, Rokicie, Stara Łodzia i Rogi (J. Łaskiego *Liber Beneficiorum* II. 381—382). Radogoszcz należał do niej wprawdzie za Łaskiego (XVI st.), ale dawniej — w ślad za przynależnością »polityczną« (por. wyżej tekst, związany z przypiskami 5 i 6 str. 126) — wchodził w skład parafii Zgierskiej (J. Łaski j. w. II. 382). Jeśli tedy — i słusznie — wyłączymy Radogoszcz ze składu późno-średniowiecznej parafii Łódzkiej, to parafia ta okaże się uderzająco małą, bo składającą się właściwie tylko z dzisiejszych przedmieść wielkołódzkich! Nadto, granice tej parafii, jakby sztucznej, bo późnej, której było najwidoczniej i ciasno i niewygodnie w pozycyi nienaturalnej, przypartej przez granice starych parafii w Mileszkach, Zgierzu i Skoszewach — zmieniały się ciągle. Np. na końcu wieku XVI, w r. 1576 (A. Pawińskiego »Wielkopolska« II. 63) traci

ludzka tam powstała, miano swe od godła Ło-

---

ona Bałuty (późniejsze swe przedmieście!) i utraca ponownie Radogoszcz na rzecz Zgierza, zyskując natomiast Retkinię (Mierzączkę i jakąś Hutę) — wszystkie w kierunku południowo-zachodnim od Łodzi (por. A. Pawiński j. w.) — należące pierwej (jeszcze w r. 1398., por. M. Baruch j. w. str. 278) do parafii w Pabianicach (por. J. Łaski j. w. I. 380, 381). Późniejsze przynależności parafii Łódzkiej: Poręby, Augustów, Bruss, Żabieniec i Bałutka (Łaski j. w. II. 381) są to wszystko osady nowożytne (por. A. Pawiński j. w.). — Z wywodu, jaki przytoczyliśmy wyżej, zdaje się wynikać ponad wszelką wątpliwość, że parafia Łódzka, to instytucya późna, może z XV wieku pochodząca. Zdaje się to potwierdzać samo zestawienie obszarów pierwotnych parafii Zgierskiej i Mileszkowskiej, ujmujących Łódź w kleszcze, niemal ściśle. Łódź nie była parafią, bodaj wtedy jeszcze, kiedy prawo niemieckie, w r. 1387, otrzymywała (por. u B. Ulanowskiego j. w. Nr. 90). Była ona wtedy — jak wszystko przemawia za tem — głuchym zakątkiem na Brzezińskim kresie, w którym, najpewniej w epoce XIV wieku Łodzic jakiś sadybę założył, a sadyba ta, dzięki położeniu swemu, wśród znanych nam okoliczności dziejowych, stała się wioską zwykłą, najpierw na prawie polskiem (była nią w r. 1332; por. wyżej przyp. 6 str. 124), a później na niemieckiem lokowaną (1387 r. B. Ulanowski j. w. Nr. 90), siedzibą parafii (XV st. obacz wyżej) i miasteczkiem (przed 1464 r., ob. wyżej) w krótkim okresie czasu — mało pewno przekraczającym granice jednego stulecia — nim się wreszcie po czterech wiekach (XIX st.) nie przedzierzgnęła w »stolicę«. Nakoniec, nadmienić tu musimy, że wioszczyzna — *villicula Vydzewnycza* — (Por. B. Ulanowski j. w.) późniejszy Wi-

dziców wielkopolskich wzięła [1]), zamieniła się na wieś ludną, na razie »polską« [2]), a potem »niemiecką« [3]), na »stolicę« parafii, a wreszcie na »miasteczko« — zawarł się w okresie między połową XIII i XV stulecia [4]). Okres ten, dziejowo tak późny, był, jak wiadomo, okresem najbujniejszego rozwoju osadnictwa kościelnego w łęczyckiem. Wszystko przemawia za tem, że jemu to zawdzięcza Łódź późniejsza skromne początki swoje. Jeżeli jednak, wśród znanych nam komplikacyi historycznych i osadniczych, prądy agrarno-ekonomiczne Kościoła zrosiły piaszczysty grunt łódzki w sposób bardziej życiodajny, niż Łódka z Jesienią, to zgoła inaczej dziać się miało w środowisku wiejskiem »miasteczka« — w najbliższej jego okolicy. Rola Kościoła, oparta tam jedynie na religijnych wpływach, przeciwstawiała zbyt mało, zaiste, kulturalnych zasobów swoich przyrodzonej, oraz dziejowej pierwotności natury i człowieka.

---

dzew (dziś przedmieście), tuż pod Łodzią położony, był bodaj jej macierzą, jako pierwotnej osady (łódzkiej). Nazwa to starsza, topograficzna, bo od rzeczki miejscowej, a raczej od strumyka, pochodząca. — (Por. niżej przyp. 2, str. 180).

[1]) Por. wyżej przyp. 3 str. 146.

[2]) Cod. dipl. Pol. Rzyszcz. i Muczk. Nr. 484. Por. nadto wyżej przyp. 3 str. 146.

[3]) B. Ulanowski j. w. Nr. 90. Por. nadto wyżej przypisek 3 str. 146.

[4]) Por. przyp. 3 str. 146.

»Łódź« parta z jednej strony forsownie przez okoliczności i fundowane na nich względy ekonomiczne opiekunów swoich, ku wyżynom materyalnego rozwoju, znajdowała się z drugiej strony pod wpływem nieustannym, a bardzo bliskim swego otoczenia. Zespół bezpośredni dwu przeciwieństw, z których każde zosobna posiadać mogło i posiadało właściwości dodatnie i ujemne, złe i dobre, piękne i ohydne, stworzył to, co stworzyć musiał — barbarzyństwo, jakich mało. Nie zadziwi nas też zapewne obraz moralny Łodzi: późny, ale najdawniejszy, jaki posiadamy, skreślony w roku 1633 w księgach kościelnych łowickich przez księdza-wizytatora:... »Dobroczyńca kościoła (łódzkiego) — pisze on — przez złodzieja w nocy nikczemnie zamordowany został. W miasteczku sześciu mieszczan nie spowiadało się, a niejaki Jakób Rogowski (szlachcic z przyległych Rogów) od lat wielu... Są tam ludzie skandaliczni — wszyscy upijają się, a stąd liczne między nimi swary. Napomniałem seryo burmistrza i mieszczan, aby tego więcej nie czynili« [1])...

---

[1]) Dłużniewski Wiktor: »Paweł Łodzia Kubowicz i Scholastyk i Szewc. Dwie gawędy«. Warszawa 1857, str. 5. — Na nieznaną tę broszurkę ulotną, z której, wobec ubóstwa źródeł do dziejów Łodzi, zdobyliśmy dla tej pracy parę szczegółów ciekawych, zwrócił naszą uwagę Prof. Wła-

Obraz ten śmiało cofnąć można o dwa wieki z górą — w dobę Jagiełły, która właściwy próg historyczny dla Łodzi i jej okolicy stanowi.

A ciekawa była to okolica za protoplasty dynastyi Jagiellonów — ciekawsza bodaj od samego »miasteczka«, które wypiastowały dla niej zasługą własną dziwne losy dziejowe...

Szlachta różnego rodu i fortuny, kmiecie, co z roli, lasu, pasiek i wód rzecznych czerpali dobro dla panów i siebie — świat cały, mieniący się krasą natury dziewiczej i poezyą szczupłego jej zaludnienia, siedział tam jeszcze w głębi odwiecznych borów, niespłoszony, swojski i stary, jak ongi za »najlepszych czasów«!

Kultura możnego Kościoła płynęła wprawdzie zwolna od Łęczycy, sunęła szlakiem tyjących wciąż »Chropów«, wdzierała się od Wolborza w głąb gąszczów leśnych, ale wszystkie jej zamachy parował długo niezamącony od wieków spokój w cichym, podłódzkim zakątku brzezińskim...

Przyjrzyjmy mu się bliżej.

Od północy, tuż za Łodzią, przesłoniły go od Zgierza i zaborczych jego popędów grodowych, lasy odwieczne Łagiewnik i Radogoszcza — dwóch osad prastarych, z których pierwsza —

---

dysław Smoleński, któremu za tę przysługę naukową składamy tu podziękowanie.

przemysłowa — łagwiami z drzewa potrzebom panów zgierskich służyła[1]), a druga nie mniejszym szumiała borem.

Puszcza podłódzka!

Użyliśmy tu umyślnie tego określenia, bo choć wiele okolic kraju zdawało się w owych czasach na podobne miano zasługiwać, to jednak »puszczy podłódzkiej« należy się ono z pewnem wyróżnieniem. Nie wolno bowiem zapominać, że w puszczy tej, w lasach będońskich, na samym schyłku XVIII, jeśli już nie w XIX wieku, zabito ostatniego pono w Królestwie niedźwiedzia[2])! Pamięć tego nieboszczyka, groźnego trapiciela pszczół leśnych, miodu i pasieczników, zasługuje conajmniej na to, by puszczę podłódzką uczcić czołobitnem: *à tout seigneur!*...

Na kogóż to jednak, na jakich ludzi bezpośrednio chwała spłynąć powinna za to, że zakątek swój w stanie tak pierwotnym utrzymać potrafili aż do schyłku istnienia Rzeczypospolitej?

W brzezińskim zaścianku podłódzkim długo szumieć musiała puszcza dzika, niemal bezludna, jakkolwiek ślady osadnictwa pierwotnego, a może

---

[1]) Por. Zygmunt Gloger »Encyklopedya staropolska« — *Łagwie*.

[2]) Opowiadanie naocznego świadka tego zdarzenia, starego gajowego z Będonia, Teodora Sawickiego, przechowane w tradycyi miejscowej (Por. niżej tekst).

tylko człowieka-łowcy, lub wędrownego kupca, sięgają tam, w niektórych zwłaszcza miejscowościach, bardzo odległej starożytności [1]), Doba historyczna atoli, którą tu poruszamy, rzuca światło skąpe wprawdzie na przeszłość tej ziemi, ale stwierdzające bądźcobądź jej dziewiczość, nader długotrwałą. Nomenklatur odwiecznych brak tam niemal zupełny, uderzający zwłaszcza, gdy go się z obfitością śladów osadnictwa pierwotnego w zgierskiem, t. j. z północną okolicą Łodzi zestawi. Zaściankowość podłódzkiego zakątka »powiatu« brzezińskiego występuje w całej okazałości na tle próby takiej, uchylającej bardziej,

---

[1]) W Będoniu pod Łodzią znaleziono w r. 1883 monetę starogrecką w pokładzie gliny, trzy łokcie pod ziemią, a w r. 1898 zmarły przedwcześnie miłośnik starożytności, Stefan Poraj Suchecki (Por. »Wędrowiec« z roku 1905, Nr. 13, oraz »Książka« z r. 1905, Nr. 4) wykopał tam kilkanaście okrzesków paleolitycznych (krzemiennych) i szczątki urn. Wszystkie te znaleziska, będące obecnie w mojem posiadaniu, spoczywały w pasie nadbrzeżnym rzeczki miejscowej, Miazgi, nieopodal lasku, zwanego Jazy (jazy, obstacula). — W okolicach Będonia, pod wsią Wiączyniem, przechował się pono zabytek, jakoby z czasów miejscowego opola pochodzący (?): Kamień z wykutą na nim nogą w strzemieniu (M. Baruch j. w. str. 14). Nie sięgając okolic dalszych, urny znaleziono także i w Chocianowicach nad Nerem (Baruch j. w. str. 18), nieopodal Retkini i Karolewa podłódzkiego. Naogół są tam jednak owe ślady doby przedhistorycznej nader nieliczne i skąpe.

niż inne, rąbka prawdy dziejowej, spowitej w tajemnicę wieków. Na sto kilometrów kwadratowych głuszy leśnej przypadało tam bowiem w zaraniu dziejów, nie więcej nad dwie — trzy i to skąpe[1]) osady ludzkie[2]), gdy natomiast w zgierskiem ślady osadnictwa pierwotnego przedstawiają się w ilości conajmniej podwójnej[3]). Nadto, stosunek ten wzrósłby znacznie, bo o 20—25% na korzyść okolicy zgierskiej, gdybyśmy z rzędu wspomnianych, »odwiecznych« osad brzezińskich, usunęli nomenklatury leśne, niezwykle tam liczne, a słabo za starożytnością noszących je osad przemawiające[4]).

Organizacyą starodawną, która puszczę pod-

---

[1]) Por. u Łaskiego *(Liber Benef.)* szczupłą ilość łanów kmiecych w parafii Mileszki.

[2]) Twierdzimy tak na podstawie następującej: Przestrzeń, zawarta w wielokącie pomiędzy osadami: Konstantynów, Łódź, wieś Moskwa, Mroga, Rogów, Koluszki, Kurowice, Rzgów, Pabianice, wynosi łącznie około 750 kilometrów kwadr.; na tej zaś przestrzeni niepodobna odszukać więcej nad 17—18 nomenklatur starodawnych, jak: Mroga, Zawady, Rąbień, Wabice, Widzew, Chojny, Stoki, Lipin, Rogów, Mileszki, Leszczyny, Koluszki, Gałków, Chrusty, Brzeziny, Małczew, Kurowice i Będoń.

[3]) Por. próbę, jak powyższa, na mapie Chrzanowskiego z terytoryum Zgierskiem.

[4]) Zpośród wymienionych wyżej (w przyp. 2) miejscowości, do tej kategoryi zaliczamy: Rąbień (?), Wabice (?), Lipin, Leszczyny, Chrusty, Brzeziny, Chojny i Krasny Modrzew (= dziś Kraszew; por. M. Baruch j. w. 265).

łódzką ujęła w karby ściślejsze, niż kasztelania brzezińska, a trwałe, była parafia w Mileszkach.

Tradycya przenosi jej początki w wiek XI, kładąc je nawet wyraźnie pod dniem 14 grudnia 1048 roku! Opiera się to oczywiście na całkiem fałszywych danych [1]), jakkolwiek fundacya

---

[1]) W lecie 1888 roku przeglądałem szczegółowo archiwum parafialne w Mileszkach. Najdawniejszym dokumentem oryginalnym, jaki tam znalazłem, był akt pergaminowy Kardynała Fryderyka Jagiellończyka i współczesnych mu ośmiu biskupów polskich, wystawiony na prośbę proboszcza z Mileszek, ks. Macieja, w Krakowie dnia 20 września 1501 roku, a nadający parafii Mileszki pewne odpusty w celu zwiększenia tamże napływu wiernych i pomnożenia dochodów kościoła miejscowego, domagającego się wówczas naprawy. Dyplomat ten »uchodził« na miejscu za akt erekcyi kościoła i parafii! Pomieniony przywilej Fryderyka Jagiellończyka chybił widocznie celu, skoro, jako drugi z kolei akt, przechował się w Mileszkach oryginał, również pergaminowy, ciekawą polichromią zdobny, a zawierający uroczyste ponowienie podobnych odpustów, w celu pomnożenia dochodów kościoła, potrzebującego odnowy, o co — jak widać — ks. Maciej energicznie na wszystkie strony zabiegał. Drugi ów akt wystawiony został w Rzymie, dnia 14 grudnia 1518 roku, przez Kongregacyę kardynałów, z Rafaelem, biskupem Ostyjskim, na czele. Dyplomat ten dość wcześnie — jak widać — uległ zniszczeniu i data jego: *Anno a Nativitate Domini Millesimo quingentesimo decimo octavo,* przedstawiać się musiała już w wieku XVII w obecnej (z 1888 r.) postaci uszczerbionej *(Millesimo quin*......... (d z i u r a) ....*mo octavo),* skoro notatka

parafii w Mileszkach należy istotnie do najdawniejszych w tych stronach. Z okalających ją dziś parafii, jedna tylko — brzezińska, założona na początku XII wieku[1]), może z nią pod względem starożytności rywalizować[2]). Na po-

---

czyjaś — najpewniej proboszcza miejscowego, spisana, jak świadczy charakter pisma, w owem (XVII) stuleciu na odwrotnej stronie pergaminu — stwierdziła w niej datę roku 1048! a w ślad za tem — przy pomocy Kroniki Blondina — w wyrazach: *Pontificatus sanctissimi in Christo Patris et domini nostri Leonis* — papieża Leona IX Dachsburga (1048-1054), zamiast Leona X Medyceusza (1513–1522)! Konkluzya tegoż »badacza« brzmiała: ...*Est sub titulo S. Dorotheae Ecclesia supradicta Milescensis Anno 1048 die 14 mensis Decembris*... (dzień i miesiąc wzięte istotnie z daty prawdziwej 1518 roku) *(fundata)*. Na takiej to podstawie ignorancyi bezbrzeżnej — (że nie fałszerstwa, dowód w tem, iż z daty pierwotnej: quingentesimo, pozostało quin..., które w żaden sposób z *quadragesimo* się nie godzi!) — ugruntowała się tradycya fundacyi parafii Mileszki w wieku XI; tradycya, która przeszła już gdzieś, jak widać, do literatury, bo ją i »Słownik Geograficzny« (»Mileszki«) uwzględnił.

[1]) J. Łaski j. w. II. 398, przyp. wydawcy, ks. Korytkowskiego.

[2]) Parafie, okalające dziś parafię Mileszki, to: Łódź, Brzeziny, Kurowice, Rzgów i Konstantynów podłódzki. — Parafia Łódzka powstała — jak zaznaczyliśmy wyżej (przyp. 3, str. 146) — prawdopodobnie w wieku XV, podobnie, jak i Rzgowska (Łaski j. w. II. 383 przyp.); parafie zaś w Kurowicach i w Konstantynowie, dopiero w XVII i XIX wieku (M. Baruch j. w. str. 267).

czątku wieku XVI graniczyła parafia w Mileszkach z parafiami w Skoszewach, w Brzezinach, Czarnocinie, Rzgowie, Kazimierzu i Łodzi [1]); pierwotnie zaś, w wiekach średnich, obejmowała niewątpliwie całe terytoryum, zawarte w granicach parafii: Skoszewy [2]), Brzeziny [3]), Czarnocin [4]), Kazimierz [5]) i Zgierz [6]), a przeto panowała także i nad Łodzią [7]), dzieląc się tu może na razie władzą swoją ze Zgierzem, gdy po powstaniu łódzkiej osady pogranicznej, dzielić się czem było [8]).

---

1) Por. u Łaskiego w *Liber. Benef.* j. w. II. mapę, ułożoną przez wydawcę, ks. Korytkowskiego.

2) Założona w okresie XIII—XIV stulecia. Por. *Liber. Benef.* Łaskiego II. 397, przyp. wydawcy.

3) Założona w XII stuleciu (tamże II. 398).

4) Założona w XIV wieku (tamże II. 228, przyp. wydawcy).

5) Założona w okresie XIII—XIV stulecia (tamże II. 378, przyp. wydawcy).

6) Założona w okresie XII—XIII wieku (tamże II. 385, przyp. wydawcy).

7) Wobec późnego powstania parafii Łódzkiej (por. wyżej przyp. 3, str. 146) zdaje się świadczyć o tem panowaniu fakt należenia do parafii w Mileszkach wsi Stoki (por. Łaskiego *Liber. Benef.* II. 383), graniczącej dziś bezpośrednio z miastem Łodzią.

8) Około r. 1576 Bałuty, dzisiejsze przedmieście Łodzi, należące na początku XVI wieku do parafii Łódzkiej (Łaski j. w. II. 381—382), przechodzą w skład parafii Zgierskiej (A. Pawiński: »Wielkopolska« j. w. II. 63).

Parafia Mileszki obejmowała tedy pierwotnie przestrzeń znaczną, wynoszącą około 125 kilometrów kwadratowych [1]), a powstała nie wcześniej chyba wśród puszczy, niż sąsiednie parafie średniowieczne, t. j. zapewne w wieku XIII, kiedy ruch osadniczy raźniej przedzierać się zaczął w głąb okolicy. W wieku XIV posiadały Mileszki już niewątpliwie kościół parafialny [2]), fundowany dla kilku wiosek, leżących w pobliżu. Wiączyń, Bedoń, Wiskitno, Stoki i Chojny — oto całość pierwotnego podłoża tej parafii starej [3]), ogarniającej dziś, na terytoryum znacznie zmniejszonem, kilkadziesiąt osad. Dwie, nieistniejące już »Wole« — Mieczykowa i Stokowska (dziś Budy Stokowskie) — może rówieśnice Łodzi — powstały później, jak świadczą ich nazwy [4]), by owczarnię Mileszek pomnożyć... Z pięciu pomienionych wiosek Wiączyń (dawniej Vya-

---

Możnaby to uważać za zupełną wskazówkę pierwotnej przynależności Bałut do Zgierza, gdyby nie wątpliwa w danym wypadku ścisłość źródła (Księgi Poborowe Wojewódzkie) w sprawach kościelnych.

[1]) Obliczenie, dokonane na podstawie map Chrzanowskiego i Nipanicza.

[2]) Łaski j. w. II. 382—383, przyp. wydawcy.

[3]) Ob. tamże str. 383.

[4]) Wola = *wolycza* = *wolnizna* = *libertas*, czyli wieś nowozałożona, a zwolniona na pewien okres czasu od prestacyi i opłat ludności kmiecej na rzecz pana.

czencz = Wincenty)[1]), to nazwa już chrześcijańska, Chojny — nazwa leśna, Stoki — topograficzna: niekoniecznie prastare, jako osady. Pozostają dwie wsie tylko: Bedoń i Wiskitno, w których podobnież, jak w Mileszkach[2]), widzieć można przedewszystkiem praojczyców tego osadnictwa, które się niegdyś w głąb dziewiczej puszczy podłódzkiej przedarło. Wiskitno — nazwa dziś niezrozumiała. Inaczej z Bedoniem, właściwie — Będoniem (tak jeszcze u ludu), a nawet Bądoniem[3]), którego nazwa pierwotna tak się dziś (Bedoń) w »dobrym tonie« spaczyła.

Jak Biedroń, Cichoń, Strzygoń, Luboń i t. p., to odmiany Biodra, Cichego, Strzygi i Luby, tak samo był niegdyś i Bądoń nazwą, lub mianem synowskiem człowieka, co imię Bąd nosił... Używane było to imię w zdrobnieniu, jako Bądko, jeszcze na schyłku XIV wieku w Wielkopolsce[4]),

---

[1]) Teki A. Pawińskiego (»Księgi Sądowe Łęczyckie«) tom V (Indeks). Wydawnictwo to przytaczać będziemy w dalszym ciągu p. t. »Teki«.

[2]) Imię średniowieczne polskie Milej, Milec (? czytane Milek *vel* Milech) występuje w »Osadnictwie Małopolskiem« Fr. Bujaka (str. 62 [239]). Zdrobnienie tego imienia brzmiałoby Mileszko, a stąd *patronim.* Mileszkowic, Mileszkowice, z nich zaś Mileszki, podobnie jak z Koluszkowic (Teki j. w. V. Indeks) powstały Koluszki. (Por. przyp. 2, str. 185).

[3]) Teki j. w. V. Bǫdon, Bandon.

[4]) J. von Lekszycki: »Die ältesten grosspolnischen

a przechowało się podziśdzień w licznych nomenklaturach wiejskich, jak: Bątków i Bątkowo, Będków, Będzelin, Będziechów, Będziaki, Będzin i t. p. W Wielkopolsce osad »Bądowych« było najwięcej, bo $^{2}/_{3}$ tych, jakie do dziś dnia, lub do niedawna, na przestrzeni Królestwa istniały [1]). Ponieważ jednak rodziny, które z osad tych wyszły, należały do różnych rodów i herbów, nie możemy przeto doszukiwać się wspólnego ich protoplasty w jakimś bajecznym Bądzie wielkopolskim. Wystarczy stwierdzenie faktu, że, jak niejaki Bralin, osadnik, stał się niegdyś [2]), w roku 1136, cząstką uposażenia opactwa na łęczyckim grodzie, tak też i Bądoń w czasie, zapewne do tej epoki zbliżonym [3]), usłał sobie gniazdo w puszczy »podłódzkiej«, a raczej naonczas — brzezińskiej. Nie będziemy pewno da-

---

Grodbücher«, Poznań 1887, tom I, str. 54, nota 420, *Bandko*, czyli Bądko.

[1]) Por. Tabella miast, wsi i osad, Warszawa 1827, a nadto Bandzieszyn u Bartosza Paprockiego (»Herby«, wyd. 1858 r., str. 142).

[2]) Cod. dipl. Maj. Pol. Nr. 7. Por. nadto K. Potkańskiego »Opactwo« j. w. str. 82—83.

[3]) Przemawia za tem fakt, że imię Bąd wcześnie znika z użycia (por. wyżej przyp. 4, str. 160), że nazwa wsi podobnie ukształtowana (Bralin, Bądoń) należy do bardzo starych; że wreszcie wieś ta (Będoń) należała przez długie wieki do Nałęczów, ojczyców wielkopolskich.

lecy od prawdy, przypuszczając, że późniejsi, średniowieczni jeszcze i nowożytni właściciele tego gniazda, panowie Bądońscy *vel* Będońscy, mieli nietylko nazwisko, ale i krew swoją staremu Będoniowi do zawdzięczenia. A byli to mężowie nielada rodu i godła, Nałęcze wielkopolscy [1]), którzy wśród »braci« i »stryjców« herbowych liczyli nietylko poczet znakomity biskupów, wojewodów i kasztelanów [2]), ale nadto — kwiat zbójeckiego rycerstwa tej ziemi, który, pospołu z Zarembami, uwiecznił się ponuro w krwawej tragedyi rogozieńskiej króla Przemysława... Czyliby panowie Będońscy, siedząc w puszczy leśnej, zachowywali ściślej odwieczne

---

[1]) Żaden herbarz, ani żadne inne źródło nie potrafiło odpowiedzieć nam na pytanie, jakiego herbu, a więc i jakiego rodu byli panowie Będońscy. W badaniach niniejszych była to dla nas okoliczność bardzo nieprzyjazna. Z kłopotu wybawiła nas dopiero uprzejma uczynność znanego badacza, p. Wiktora Wittyga, który na pytanie nasze, azali nie posiada w cennych swych zbiorach odpowiednich danych, doniósł nam dnia 8 lutego 1906 r., co następuje: »Jestem w posiadaniu autografu Pawła Bendońskiego *vel* Będońskiego, muzyka Króla Jego Miłości, który w r. 1594 kwituje Skarb z odbioru kwartalnej pensyi. Przy pokwitowaniu wycisnął swą herbową pieczęć, h. Nałęcz«. Za cenną tę wskazówkę wyrażamy na tem miejscu p. Wittygowi szczere podziękowanie.

[2]) Por. Bartosz Paprocki: »Herby« (wyd. z r. 1858) str. 208—212.

swoje związki rodowe z Wielkopolską rdzenną, milczą o tem wszelkie kroniki i źródła... Wszak maluczkimi nie zajmowały się one nigdy, a panom Będońskim poskąpiły całkiem szczęścia losy dziejowe. Nie zesłały żadnych zgoła laurów na ich uznojone czoła, przeznaczając wszystkie fiolety i karmazyny wybrańcom rodu z nad Warty i Wełny. Bo i pocóż było ruszać w ziemię tak ustronną, w puszczę leśną, zabitą zwałem drzew od świata, skoro ród cały gdzieindziej siedział od prawieku, dorabiał się dostojeństw, dostatków i chwały? Po co?... dziś dociec tego niepodobna. Nie zdawali sobie z tego niechybnie już sprawy bodaj i jagiellońscy panowie z Będonia, bo od Bąda, czy jego syna-pustelnika, założycieli odludnej siedziby w łęczyckiem, dzieliły ich nie lata, lecz wieki.

Osadnictwo »chropskie« dotrzeć miało dopiero w roku 1419 do bliższych okolic Będonia[1]), a »zagroziło« jemu samemu w XVI stuleciu[2]). Zagroziło — lecz bezskutecznie. Knieja będońska pozostała »knieją« niemal do połowy ubiegłego wieku. Podczas procesu z rządem około 1850 roku o granice leśne od Gałkowa, rzeczoznawcy

[1]) Objęło ono wtedy wieś Wiskitno, por. M. Baruch j. w. str. 286.

[2]) Zagarnęło wtedy Giemzów i Kraszew. Por. M. Baruch j. w. str. 286.

szukać musieli tych granic na przestrzeni 80 kilometrów kwadratowych między Kurowicami, Będoniem i Gałkowem [1])! Nie zmogły Będonia krakowskie »Chropy«, ominęły go latifundia wolborskie biskupów kujawskich, co sieć swoją na Łódź zarzuciły, przepomniały go i zakupy północno-łęczyckie arcybiskupów gnieźnieńskich, którzy chwilowo tylko i to dopiero w osobie prymasa Ostrowskiego (1778—1784), pozyskali tam prawa, czy przywileje myśliwskie, od właścicieli wioski [2]).

Będoń pozostał jądrem puszczy podłódzkiej niemal do ostatnich czasów.

*
* *

Niepodobna, pisząc — jak my tutaj — o Łodzi i jej okolicach, oprzeć się pokusie wyświetlenia jej zawiązków, pokusie dotarcia do tej tajemnicy, która — naprzekór dziejopisom — pokrywa podziśdzień osobistość jej założyciela. Nie chodzi nam bynajmniej o rzecz niedościgłą: o odtworzenie pierwocin samej osady i o stwierdzenie, kto był najdawniejszym jej osadnikiem, choćby i w historycznej dobie. Chodzi nam jedynie o to,

---

[1]) Tradycya Będońska. (Opowiad. Karola Koźmińskiego, który ten proces około roku 1850 prowadził z rządem).

[2]) Szczegóły ob. niżej w tekście.

kto jej miano dzisiejsze nadał, kto był twórcą zawiązków »miasteczka«? Był nim, jak wykazaliśmy wyżej, niewątpliwie jakiś Łodzic[1]), żyjący w okresie między połową XIII i XV stulecia, t. j. w czasie najbujniejszego osadnictwa kościelnego w łęczyckiem. Ostatni ten wzgląd upoważnia do przypuszczenia, że tajemniczym Łodzicem, o jakim mowa, nie był żaden mąż świecki, który, ni stąd ni z owąd, przywędrował na terytoryum, objęte wpływami Kościoła, lecz możny jakiś dostojnik duchowny, co bystrym spojrzeniem doniosłość położenia »Łodzi« na tle ówczesnych warunków ocenił.

A w rzędzie warunków tych, których genezę i rozwój znamy już dokładnie, istniał jeden jeszcze — niepośledniej wagi. Oto, Łódź późniejsza leżała nietylko na rozstaju trzech fal kolonizacyjnych Kościoła, bijących w łęczyckie, ale i w pobliżu wielkiego traktu handlowego, który, dążąc przez Brześć Kujawski, Łęczycę i Opoczno, łączył Toruń z Sandomierzem, a doczekał się w r. 1349 ze strony Kazimierza Wielkiego sankcyi uroczystej w układzie Polski z Zakonem[2]).

Jakkolwiek horoskopy rozwoju handlowego Łodzi miały być w tych czasach dość zawodne,

---

[1]) Por. wyżej przyp. 3, str. 146.
[2]) Por. Cod. dipl. Maj. Pol. II. Nr. 1289.

to jednak one to — brak bowiem wszelki powodów innych — wpłynąć musiały u schyłku wieków średnich na powstanie »miasteczka«.

Osada ludzka, z której miało się ono wyłonić, weszła, jak wiadomo, w skład posiadłości biskupów kujawskich pomiędzy rokiem 1250 a 1332 [1]). Jesteśmy skłonni do przypuszczenia, że Łódź, o której przedtem w źródłach całkiem głucho, w tym właśnie czasie od jakiegoś Łodzica duchownego przyjęła swe miano.

Łodziców z dziada pradziada nie było w tych stronach. Siedzieli oni w Wielkopolsce rdzennej, gdzie, poczynając od wieku XIII, a zwłaszcza od drugiej jego połowy, piastowali w osobach najwybitniejszych swych przedstawicieli, Komesa Przedpełka, oraz syna jego, Mikołaja, godność wojewodzińską poznańską i kaliską, a w osobie Wincentego, brata Mikołajowego, kanclerstwo wielkopolskie [2]). Rodowem ich gniazdem była Łódź pod Stęszewem, obecnie w powiecie poznańskim położona [3]), a Łódź w powiecie krobskim i nasza »Łodzia«, ojczycom tegoż rodu za-

---

[1]) Por. wyżej przyp. 6, str. 124.

[2]) Noty rękopiśmienne Stosława Łaguny, dotyczące Cod. dipl. Maj. Pol. (Zachowały się one w egzemplarzu »Kodeksu Wielkopolskiego«, będącym w mojem posiadaniu.

[3]) Por. Cod. dipl. Maj. Pol. IV. 203.

wdzięczały niewątpliwie miana swoje[1]), a pewno i powstanie. Położone pod naszą Łodzią osady od niej późniejsze: Łódka i Łódź[2]) - wójtostwo, to oczywiście filie jednej wspólnej macierzy.

Szereg znanych w średniowiecznych dziejach naszych ojczyców herbu Łodzia, protoplastów Górków i Bnińskich, liczy na wysokich stanowiskach kościelnych czterech biskupów poznańskich: Piotra, Mikołaja i Andrzeja z Bnina, oraz Uriela z Górki[3]), a nadto biskupa kujawskiego, Piotra z Bnina Moszyńskiego (1483—1493), poprzednika Krzesława z Kurozwęk, na stolicy we Włocławku[4]). Zdaje się jednak, że szereg ten nie jest zupełny i że zaliczyć doń jeszcze można biskupa kujawskiego, Gerwarda (1300—1323)[5]), następcę Wisława, herbu Zabawa, a poprzednika Macieja Golańczewskiego, herbu Topór, znanego nam już zwycięzcy Piastów w walce o wyzwolenie dóbr biskupich kujawskich z pod władzy książęcej.

Ten Gerward to osobistość niezwykle pociągająca, ciekawa, ale i tajemnicza, jeśli jej po-

---

[1]) Poza Wielkopolską nie istniały i nie istnieją żadne »Łodzie«.

[2]) Wspomniane w »Tabelli miast, wsi i osad« z 1827 r.

[3]) B. Paprocki »Herby« (wyd. 1858 r.) str. 551—553.

[4]) M. Borucki, »Ziemia Kujawska« j. w. str. 286.

[5]) Tamże str. 285.

chodzenie mamy mieć na względzie. »Heraldycy« nasi darzą aż cztery rody jego osobą, zaliczając go do Leszczyców [1]), do Gierałtów *vel* Osmorogów [2]), do Nałęczów [3]), a wreszcie do Łodziów [4]). Brak nam niestety dowodów, by ostatnie to twierdzenie ugruntować w sposób niezbity; ograniczyć się też musimy do wzmianki, że nie jest ono mniej prawdopodobne, niż wszy-

---

[1]) Długosz (Hist. Pol. III. 5), oraz Damalewicz (Katalog Biskupów kujawskich).

[2]) Bielski (Kronika, fol. 215), Paprocki (»Herby« j. w. 340) i Niesiecki (»Korona«... IV).

[3]) Niesiecki *(sic)* j. w.

[4]) Bielski *(sic)* j. w. i Paprocki *(sic)* j. w. 550—552. — Herb Łodzia, jeżeli pominiemy problematyczny jego wizerunek (klejnot z rodzajem łódki [?] w czubie), przechowany na pieczęci wojewody kaliskiego, Mikołaja, z roku 1301 (Cod. dipl. Maj. Pol. IV, w tablicach Nr. 29), występuje poraz pierwszy w kształcie łodzi dopiero w roku 1373 na pieczęci Mikołaja z Kurnika, proboszcza kościoła N. M. P. w Krakowie (Fr. Piekosiński: »Heraldyka polska Wieków Średnich« str. 99). Wszystkie zaś najdawniejsze rysunki tego herbu świadczą wymownie o tem, że jego heraldyzacya daleką była jeszcze od ustalenia w pierwszej połowie wieku XIV, t. j. w epoce biskupa Gerwarda (Por. Cod. dipl. Maj. Pol. j. w. w tablicach Nra 9, 10, 12, 29, 32, 34, 41, oraz tamże [tom IV] tekst na str. 342; por. nadto Antoniego Małeckiego »Studya Heraldyczne« II. 30—31). — Jeżeli też — wbrew wszystkim heraldykom — na własnej pieczęci Gerwarda widzimy jakby rozłożoną na dwoje Leliwę — gwiazdę i półksiężyc z osobna (Gdańsk, Kgl. Staatsarchiv, Schbl. 59,

stkie przekazy wspomniane [1]), zaliczające Gerwarda do rodów innych [2]). Jeżeli jednak dociekania genealogiczno-heraldyczne nie prowadzą do pozytywnego rezultatu, to natomiast przesłanki historyczne zdają się z wielu względów na biskupa Gerwarda, jako na założyciela Łodzi wskazywać. Lata jego duszpasterstwa, dwa pierwsze dziesięciolecia XIV wieku, to okres — jakby dziejów bajecznych przyszłego miasteczka, które poraz pierwszy w r. 1332, jako »Łodzia«, wioska biskupów kujawskich, wypływa na arenę dziejów. Wypływa za bezpośredniego następcy Gerwarda, Toporczyka Macieja z Golańczewa (1323—1368) [3]), który utrwalenie powagi i przewagi biskupów kujawskich nad władzą książęcą, w znacznej mierze poprzednikowi swemu zawdzięczać musiał. Wszak Gerward, domniemany

Nr. 18—20. List do autora od archiwisty Bär'a z dnia 17 marca 1906 roku, za Nr. 422) — to i to nie jest bynajmniej dowodem, aby biskup nie miał należeć do rodu Łodziców czy jakiegokolwiekbądź innego. Zagadka pozostaje dotychczas nierozwiązalną.

[1]) Por. wyżej przypiski: 1—4, str. 168.

[2]) Kwestya bliższości chronologicznej Długosza (por. wyżej przyp. 1, str. 168), niż Paprockiego (por. wyżej przyp. 2 i 4, str. 168), nie odgrywa tu roli poważnej, gdyż zarówno pierwszy (XV st.) jak i drugi (XVI st.) byli od czasów Gerwardowych oddaleni i obaj też na jakichś — różnych — przekazach dawniejszych (np. katalogach biskupów) w kwestyi pomienionej opierać się mogli.

[3]) Por. M. Borucki j. w.

Łodzic, *fautor et promotor Coronae Polonicae gentis*[1]), był jednym z najznakomitszych książąt Kościoła Polskiego w wieku XIV, był posłem Łokietka, wskrzesiciela Królestwa, do papieża Jana XXII w sprawie o koronę, był posłem-pełnomocnikiem »opatów, klasztorów, przeorów, kapituł, kościołów, książąt, komesów, baronów, miast i zamków polskich« do Ojca św. w r. 1319[2]), w chwili, kiedy ważyły się losy polityczne kraju. I niedość na tem! Zabiegliwość tego biskupa o sprawy dyecezyi kujawskiej, oraz dóbr biskupich i kapitulnych, była wręcz wyjątkowa i imponująca. Wszak nawet na dworze papieskim, strzegąc pilnie celu głównego swego posłannictwa, nie zapomniał o nich Gerward, narzekając skutecznie na straty i wydatki dyecezyi swojej[3]), której w kraju żywot swój pracowity poświęcał.

Wielkie tranzakcye majątkowe z Łokietkiem[4]) z opatem z Mogiły[5]), z klasztorem w Trzemesznie[6]), z Cystersami z Oliwy[7]), Strzelna[8]) i Pel-

---

[1]) Mon. Pol. Hist. II. 944.

[2]) Aug. Theiner, Mon. Pol. I. 226.

[3]) Tamże str. 230.

[4]) Rzyszcz. i Muczk. Cod. dipl. Pol. Nr. 196, 202.

[5]) Cod. dipl. Maj. Pol. Nr. 966, 975, 997; Rzyszcz. i Muczk. j. w. Nr. 226.

[6]) Tamże.

[7]) Rzyszcz i Muczk. j. w. Nr. 175; Perlbach'a Pomerellisches Urkundenbuch Nr. 601.

[8]) Rzyszcz. i Muczk. j. w. Nr. 200, 209—217, 233.

plina [1]); procesy z Piotrem z Nowia, synem wojewody gdańskiego, Święcy [2]), z Janem, kanonikiem krakowskim [3]), z Zakonem Joannitów [4]) i z dyecezyą płocką [5]); szerokie lokacye wsi biskupich na prawie niemieckiem [6]), obrona poddanych od rozbójników [7]), a wreszcie działalność ekonomiczna na całej, wielkiej przestrzeni dóbr kujawskich [8]) — oto krótka charakterystyka prac gospodarczych tego niepospolitego człowieka! Można tedy podejrzewać go i o to, że rzutką, przedsiębiorczą działalność swoją skierował także w łęczyckie, gdzie na rozstaju prądów kolonizacyi kościelnej, w pobliżu wielkiej drogi handlowej, a w kluczu dóbr wolborskich — drzemało wśród strumyków leśnych [9]) miejsce na osadę...

Wraz z wsiami: Komorniki, Żywocin, Godaszewice, Chorzęcin, Łaznów, Dąbrowa, Niesuł-

---

1) Perlbach'a Pomer. Urkundenbuch Nr. 599, 601.

2) Rzyszcz. i Muczk. j. w. Nr. 195; Pomer. Urkundenbuch j. w. Nr. 650.

3) Rzyszcz. i Muczk. j. w. Nr. 210.

4) Tamże Nr. 235, 237, 239.

5) Tamże Nr. 240.

6) Tamże Nr. 223.

7) Tamże Nr. 224.

8) Por. *passim* dokumenty, przytoczone wyżej w przypiskach 4—8, str. 170 i wyżej przyp. 1—7.

9) Łódka i Jesień.

ków, Siedlec, Pszanowice i Sobota [1]), oraz z czterema innemi, nieistniejącemi dziś może [2]), a należącemi również do biskupów kujawskich, otrzymała Łódź dnia 6 września 1332 r. zwolnienie całkowite od wszelkich opłat, ciężarów, danin i posług książęcych, które dawniej pod różnemi postaciami na niej ciążyły [3]). Nadto, biskupi, jako zupełni jej panowie, posiedli przywilej przeniesienia jej na prawo niemieckie: nadania jej nowego ustroju i samorządu. Przedtem już jednak, dnia 18 lipca tegoż roku, Przecław, archidyakon kruświcki, występujący w imieniu biskupa Macieja, zdołał przekonać kasztelana Brzezińskiego, Piotra, o braku wszelkiego prawa do pociągania mieszkańców wsi biskupich przed jego forum [4]).

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zwy-

---

[1]) Komorniki i Żywocin leżą w dawnym obwodzie piotrkowskim; Godaszewice, Chorzęcin, Łaznów, Niesułków, Pszanowice i Sobota — w brzezińskim; Dąbrowa — w zgierskim, a Siedlec w łęczyckim.

[2]) Nazwy tych miejscowości brzmią w dokumencie z dnia 6 września 1332 r.: Tranchewo, Strupyno, Gnichewo, Szagnischewicze (Rzyszcz. i Muczk. j. w. str. 663).

[3]) Pomieniony dyplomat (Rzyszcz. i Muczk. j. w. Nr. 484) wymienia tam ciężary następujące: sep, poradlne, podworowe, powod, stróża, danina krowy i wieprza, opole, narzaz, budowa i naprawa grodów i gródków, sądy wojewodzińskie i kasztelańskie, pozwy sędziów, podsędków, oraz urzędników i woźnych ziemskich.

[4]) Tamże Nr. 254.

cięstwo stolicy biskupiej kujawskiej nad książęcą władzą, było wynikiem długotrwałych walk i usiłowań. Pamięci naszej przekazały źródła dziejowe jedynie epilog tych mozołów, uszczuplając zasób danych, jakie mogłyby niechybnie rzucić niemało światła w tej mierze na epokę, poprzedzającą biskupa Macieja: na czasy Gerwarda i jego poprzedników: Wisława, Wojciecha, Wolimira, a może i dawniejszych [1]). Dane te, zapadłe w otchłań niepamięci, możemy atoli odtworzyć sobie z tych przekazów, które dotyczą dóbr wolborskich z czasów Wolimira (1255—1274 [2]), a jak wiadomo, były to czasy, wchodzące w epokę wcielenia Łodzi do tego kompleksu [3]). Otóż w epoce, o jakiej mowa, dobra wolborskie były jeszcze puszczą leśną, mało zaludnioną. W roku 1255, kiedy Budzisław, sędzia, i Wit, skarbnik łęczycki — obaj dostojnicy dworu księcia Kazimierza Konradowica (1211—1267 [4]), dokonywali rozgraniczenia opól, należących do Rozprzy i do Wolborza — na wsiach tej ostatniej »kasztelanii« cią-

---

[1]) Por. M. Borucki »Ziemia Kujawska« j. w.

[2]) U M. Boruckiego (j. w.), jako początek rządów biskupich Wolimira, występuje rok 1256, atoli dokument podany przez B. Ulanowskiego (Dokum. Kuj. i Mazow, str. 189, Nr. 14) stwierdza, że Wolimir był już biskupem kujawskim w r. 1255.

[3]) Por. wyżej tekst; str. 124.

[4]) O. Balzer j. w. (Gen. Piastów).

żyły wyłącznie jeszcze, w stosunku do księcia, ciężary służby łowieckiej: »Kłusowników wolborskich sądzić będzie książę — opiewa treść dokumentu [1]) — z wyjątkiem ludności, przypisanej do gleby. Opłaty karne przypadną w połowie biskupowi, a w połowie księciu. Łowczy, ani podłowczy książęcy nic tam pobierać nie mają, a do ochrony (zwierza) ustanowieni będą »Gajownicy« książęcy i biskupi; pierwsi jednak poboru (kolendy) z pomienionej ludności ściągać nie powinni, poprzestając jedynie na datkach, uiszczanych przez ludność w miarę możności. Atoli ludność wolna, zamieszkała we wsiach książęcych, biskupich, czy rycerskich, oraz wszelka książęca, znajdująca się w granicach wolborskich, ma wydatki »Gajowników« pokrywać, a nadto uiszczać im »kolendę«. Książę raz do roku w granice »kasztelanii« wkroczy, wszczynając tam łowy po lasach i borach; gdy zaś zabójstwo pomiędzy ludźmi biskupimi się zdarzy, główszczyzna biskupowi przypadnie w udziale«.

Trudno przypuszczać, by Łódź i najbliższą jej okolicę miały obarczać wtedy inne jakie ciężary publiczne, niż te, jakie w dokumencie wspomnianym całej »kasztelanii« wolborskiej dotyczą. Trudno to przypuszczać; jakkolwiek bowiem Łódź obarczona była już w r. 1332 daninami,

---

[1]) B. Ulanowski, Dok. Kuj. i Mazow. str. 188, Nr. 14.

świadczącemi o niejakiem jej zagospodarowaniu, to jednak potem u schyłku wieku XIV, miała ona korzystać z »wolnizny«[1]), stosowanej do wiosek, które z żywiołem lasu do czynienia miały. Wszak puszcza podłódzka nie była bardziej, niż właściwa wolborska, cywilizowaną... Przeciwnie! Zestawienie zasiedlenia obu tych okolic — i to jeszcze w wieku XVI — stanowczo na korzyść ostatniej przemawia[2]). Ciężary »cywilizowane« z roku 1332[3]), jak: sep, poradlne, podworowe, danina krowy, wieprza i »narzaz« — to niewątpliwie »łupież« energicznej gospodarki kościelnej, która apetyty książęce zwiększała. Biskup kujawski, Maciej z Golańczewa, zwyciężając, po długiej walce Kościoła z państwem, księcia Władysława Ziemowitowica, apetytom tym nałożył hamulec; zato władza biskupia kujawska, siejąc w swych, niezawisłych odtąd dobrach, ziarno prac gospodarczych wśród puszczy, które jej plon coraz obfitszy dawało, nie przestawała zwiększać go nadal i zapobiegliwością swoją pomnażać.

Za bratanka i następcy Maciejowego, biskupa Zbiluta[4]) (1368—1383), Łódź dostała się wraz

---

[1]) Tamże str. 268, Nr. 90.

[2]) Por. w »Wielkopolsce« A. Pawińskiego (j. w.) ilość łanów uprawnych tu i tam.

[3]) Por. wyżej przyp. 3, str. 172.

[4]) M. Borucki j. w.

z przyległą do niej wioszczyzną leśną, Widzewem, zwanym wówczas Widzewnicą od strumyka, co zraszał jej pola, w posiadanie dożywotnie »pana« Piotra, przezwiskiem Śliwka, kanonika kapituły włocławskiej [1]).

Ksiądz Piotr, uczestnik prac gospodarczych biskupa [2]), dbały o to beneficium swoje, w pamięci własnej chować go nie przestawał. Podczas doniosłych w Polsce wydarzeń, w dobie ślubów Jadwigi z Jagiełłą, kiedy na stolicy kujawskiej, po śmierci drugiego a przelotnego następcy Macieja, biskupa Trojana [3]) (1383 † 1384), zasiadł Piast, Jan Kropidło, książę opolski (1384—1389 [4]; 1402—1421) przyjaciel Krzyżaków a słynny *magister elegantiarum* [5]), Łódź wypłynęła powtórnie na arenę dziejów.

Dnia 10 czerwca 1387 roku we Włocławku książę-biskup, pospołu z członkami kapituły, nadał Śliwce przywilej przeniesienia Łodzi i Widzewa na prawo niemieckie wedle wzoru średzkiego, oraz zwykłej w tych stronach organizacyi rolnej »flamandzkiej«, czyli chełmińskiej [6]).

---

[1]) B. Ulanowski, Dok. Kuj. i Mazow., str. 268, Nr. 90.

[2]) Tamże str. 266, Nr. 88.

[3]) M. Borucki j. w.

[4]) Co do daty roku 1389, por. u Rzyszcz. i Muczk. II. cz. I. Nr. 328, 336, 337; IV. Nr. 69.

[5]) Por. M. Boniecki: »Książęta Sląscy« II. str. 117.

[6]) Por. Fr. Piekosiński »O Łanach w Polsce Wieków

Przywilej ten był sankcyą urządzeń, jakie ksiądz Śliwka w obu wsiach wspomnianych gotów był wprowadzić wnet w życie... Dowiadujemy się bowiem z dokumentu, o jakim mowa, że Łódź z Widzewem posiadała już w dniu jego wystawienia gotowego przedstawiciela swej przyszłej organizacyi w osobie sołtysa, Janusza Piotrowica. Ow to dygnitarz, stanąwszy osobiście do aktu i przyjąwszy dyplomat biskupi, znalazł w nim szereg następujących zarządzeń:

»Sołtys dziedzicznie posiadać będzie w Łodzi i w Widzewie po dwa łany [1]), wolne (od opłat i danin), a złożone z pól, łąk, lasów, pastwisk, pasiek i gajów. Kmiecie obu tych wiosek od dnia wystawienia niniejszego (10, VI, 1387 r.) — przez lat trzy w Łodzi, a przez lat czternaście w Widzewie korzystać będą z zupełnej wolnizny (od ciężarów, opłat i danin), a dopiero po jej upływie uiszczać mają corocznie w dniu św. Marcina księdzu Śliwce po pół grzywny groszy praskich, oraz po »rączce [2]) łęczyckiej«, t. j. po ćwierci miary zwykłej (urna) miodu z ła-

Średnich« (Rozpr. Wydz. Hist.-fil. Akadem. Umiej. t. 21, str. 79).

[1]) = włóki 30-morgowe; por. Fr. Piekosiński j. w.

[2]) W oryginale (por. wyżej przyp. 1, str. 176) napisano: »... et quartam partem mellis vrnae, dictam wlgariter *Raczka,* de mensura Lanciciensi... solvere sint astricti«...

nów łódzkich, a po pół grzywny bez dodatku z łanów widzewskich. Po śmierci księdza Śliwki wszelkie opłaty i daniny przejdą na skarb biskupi. Nadto, co Wielkanoc kmiecie łódzcy i widzewscy składać mają po trzydzieści jaj i po jednym serze, a w dniu Wniebowzięcia N. M. P. po dwie kury. Sołtys i jego następcy z karczem łódzkich i widzewskich — ile ich obsadzić się uda — dwie trzecie otrzymywanego z nich czynszu rocznego płacić będą, zatrzymując jedną, pozostałą, dla siebie. Sołtys Janusz będzie miał prawo zbudować i utrzymywać młyn w Widzewie bez żadnej opłaty. Co do robót rolnych (na folwarku) — kmiecie winni orać pod oziminy i pod jarzyny, winni wywozić nawóz, oraz kosić i grabić łąki, przeznaczając na każde z tych zajęć po jednym dniu (w roku). Co do sądownictwa, sołtys i jego następcy wszelkie sprawy cywilne i kryminalne, nie wyłączając gardłowych i ucięcia członków, sądzić będą w granicach wiosek rzeczonych wedle prawa średzkiego, a w obecności ks. Śliwki, lub — po jego zgonie — biskupiego wysłańca. Z opłat sądowych dwie części przypadną księdzu Śliwce, a jedna sołtysowi; przysiężne pobierać będzie sołtys w całości. Nadto i sołtys i kmiecie winni ks. Śliwce, a po jego śmierci biskupom kujawskim, świadczyć honory i usługi wszelkie według obyczaju średzkiego. Gdyby sołtys Janusz,

albo li też jego następcy, prawa swe kiedykolwiek i komukolwiekbądź odstąpić zechcieli, winni uzyskać na to zgodę biskupów kujawskich«.

Z ciekawego tego dokumentu, najobszerniejszego z tych, jakie Łodzi średniowiecznej dotyczą, dowiadujemy się, że jeszcze na schyłku wieku XIV była ona zwykłą wioszczyzną, »przeniesioną«, jak wiele innych, współczesnych jej towarzyszek, z prawa, obyczaju i urządzeń rolnych swojskich — na niemieckie. Nie stało się to ani wcześniej, ani inaczej, niż w wielu miejscowościach innych, które potężnemu czynnikowi cywilizacyi — t. zw. kolonizacyi niemieckiej, rozwój swój zawdzięczały...

A jednak — ze względu na późniejsze jej losy — był to fakt o doniosłości iście pierwszorzędnej! Akt włocławski z r. 1387, to pierwszy, po włączeniu Łodzi do kompleksu dóbr biskupich wolborskich, w y p a d e k h i s t o r y c z n y w jej dziejach: pierwszy etap tego rozwoju, który miał niebawem już wyróżnić ją w szeregu wiosek okolicznych »dostojeństwem« osady parafialnej i miasteczka.

Szczupła parafia łódzka, szczupła, bo wykrojona niewątpliwie z pasterni pierwotnych w Mileszkach, w Zgierzu, a może i w Skoszewach [1]),

---

[1]) Por. wyżej przyp. 3, str. 146, oraz przyp. 1, 2, str. 157 i przyp. 1—8, str. 158.

powstała prawdopodobnie jednocześnie ze rzgowską [1]), a najprawdopodobniej współcześnie, lub później nawet, niż »miasteczko«, t. j. około połowy wieku XV [2]).

Jako miasteczko *(oppidum)*, zapewne już parafialne, występuje Łódź poraz pierwszy w dziejach dnia 16 kwietnia 1464 roku [3]), w charakterze znacznego waloru w ręku biskupów kujawskich. Kiedy bowiem, przyciśnięty pieniężną potrzebą, pan jej i władca, biskup Jan Lutek z Brzezia herbu Doliwa, znany rozrzutnik, którego pogrześć nawet musiano potem na koszt

---

[1]) Por. wyżej przyp. 1, str. 179, oraz J. Łaski *Liber Benef.* j. w. II. 383, przyp. wydawcy.

[2]) Obok znanych nam już przesłanek, wskazujących na tak późne powstanie parafii Łódzkiej (por. wyżej przyp. 3, str. 146, oraz przyp. 1, 2, str. 157 i przyp. 1—8, str. 158), zasługuje nadto na uwagę fakt, że stolica tej parafii zwała się w dobie nowożytnej (XVI st.) »Łodzia« — w znaczeniu Łodzi — (Nowej) (t. j. miasteczka), będącej przeciwstawieniem Starej-Łopzi (wioski), występującej jedynie i wyłącznie jako Łódź (Lodza) w aktach 1332 i 1387 roku, kiedy Łodzia-(Nowa), t. j. miasteczko i stolica parafii jeszcze nie istniały. Por. jako podstawę do takiego wniosku (u Łaskiego j. w. *Liber Benef.* II. 381) tytuł rozdziału o Łodzi i wykaz należących do niej wiosek: »Lodzia (= parafia i miasteczko)... oppidum... in eodem oppido ecclesia parochialis... ad quam... ultra oppidum, villae infrascriptae, videlicet: Radogoszcz... Stara Lodzya etc... pertinent«.

[3]) Mon. Medii aevi t. 13, Nra 1194, 1195.

kapituły [1]), zabiegał o pożyczkę, uzyskał ją istotnie — i to w sumie na te czasy wielkiej — tysiąca florenów węgierskich, od pana Piotra z Oporowa, wojewody łęczyckiego, na zastaw Łodzi-wsi i Łodzi-miasteczka, Niesułkowa, oraz pomniejszych wiosek stołowych, nieznanych dziś z miana [2]).

Łódź-wieś, to »Stara-Łodzia«, przeciwstawienie »Łodzi-miasteczka«, którego nazwa w ten sam sposób poufały, a dziś naiwny, choć historycznie tak uzasadniony, nadawana bywa przez wieśniaczą ludność okoliczną pół-milionowemu Manchester'owi, który strawić już zdołał i »Starą-Łodzię« i »Łodzię-miasteczko« i część Widzewa i Bałuty i inne pobliskie wioszczyny!...

Podczas układów o zastaw Łodzi Oporowskiemu, zaszedł ciekawy dyskurs pomiędzy strażniczką dóbr stołowych, Kapitułą, a biskupem Lutkiem, który tu za źródłami wiernie powtarzamy [3]):

»Najprzewielebniejszy Ojcze — mówił Archidyakon, Świętosław z Wrzącej, imieniem Kapituły — przekonaliśmy się, że akt zastawu dóbr na rzecz Wielmożnego Pana Piotra Oporowskiego, wojewody łęczyckiego, dokonany został

---

[1]) M. Borucki »Ziemia Kujawska« str. 286.

[2]) Por. wyżej przyp. 3, str. 180.

[3]) Mon. Medii aevi j. w. Nr. 1195.

przez Was w sposób przeciwny nietylko obyczajowi i normom ogólnym, ale i poglądom naszym. Prosimy Cię, abyś akt ten poprawić polecił, iżby zeń niebezpieczeństwa jakowe i szkody na nas i na następców Twych nie spłynęły«.

A biskup-utracyusz na to:

»Mili panowie i bracia! Bóg mi świadkiem, że stało się to nie z woli mojej, jeno pan Doktor Andrzej Oporowski, kantor włocławski, akt ten tak sporządzić i spisać polecił, zaręczając, że wymoże to na Was, Panowie Bracia, iż go takim, jakim jest, pozostawicie«...

Po rozgoworze tym atoli biskup przyrzekł jaknajuroczyściej, że akt zastawu każe skorygować, a dobra, o które tam chodzi, oraz inne, również zastawione, wykupi. Jedne z nich — przed upływem sześciu miesięcy, a inne — przed najbliższem zebraniem się kapituły w dzień Wniebowzięcia N. M. P. Kiedy i jak się to stało — nie wiemy. Faktem jest jednak, że Łódź pozostała w rękach obcych niedługo i powróciła — wkrótce zapewne, jak biskup przyrzekł — do kompleksu dóbr stołowych kujawskich. O przebiegu przelotnego tam panowania Oporowskich żadne nie doszły nas wieści.

Cóż jednak działo się w najbliższem, bezpośredniem, stałem a rodzonem środowisku »miasteczka« — w cichem zakątku brzezińskim —

w dobie, kiedy Łódź »atuty« takie wygrywała w dziejach?...

* * *

Wszystko działo się tam, jak dawniej, z tą tylko różnicą, że źródła bliżej nam już, niż dotąd, wejrzeć pozwalają w tajemnice, drzemiące w ostępach puszczy podłódzkiej...

Znany nam w zarysie ogólnym charakter dziejowy tego zakątka, znajduje w zasobie najdawniejszych, jedynych w swoim rodzaju, przekazów źródłowych, wierne odbicie swoje. A źródła te — to nieocenione księgi sądowe: w danym wypadku Księgi Sądowe Łęczyckie z czasów Jagiełły. Ich lakonizm, niby jednostajny i jednolity, nie różniący się pozornie niczem od małomównej prostoty innych tego rodzaju aktów, pochodzących z całego obszaru dawnych ziem polskich, kryje jednak w swym łonie to, czego szukamy. Odrębność łęczycka, jej wyraz i jej tajniki mienią się tam pod okiem spostrzegacza blaskami minionej, zamarłej przeszłości, jakgdyby postać jej żyła jeszcze w całej swej krasie pierwotnej pod nalotem »przyszłości, jak z bajki«, która już także »przeszłością« się stała.

Na tle tej odrębności, uderzającej naogół w porównaniu ze współczesną fizyognomią Małopolski, czy Kujaw, rysuje się nadto, jakby od-

rębność inna: powiew cichej swojszczyzny brzezińskiej... Dobrobyt średniowieczny okolic Krakowa i Brześcia — podstawa późniejszej cywilizacyi tych stron uprzywilejowanych, znajduje w zamożności urodzajnych ziem Łęczycy i Orłowa, nieokiełzanych jeszcze w krwawych porywach prawieku, pewnego rodzaju przeciwstawienie. A takiemże samem przeciwstawieniem okolic północnych województwa — to powiat brzeziński i cicha puszcza podłódzka. Cicha, bo uboga glebą, leśna i zaludniona mało. Istna sieć pajęcza kultury, złożona z włókien różnego nalotu, a rozpięta, jakby za świeża, nad okolicą, skąpaną jeszcze w mrokach przeszłości odległej.

Puszcza ma w źródłach karty dość obfite — ba! zdumiewające nawet liczebnością śladów tego życia, jakie tam pulsowało w dobie Jagiełły. By je scharakteryzować w paru słowach, dość byłoby powiedzieć, że wyrazy »pulsowało tam«, wydają się zbyt silne, a wymagają conajmniej... komentarza. Oto — punktem ciężkości, węzłem życia i zabiegów możniejszych, a nawet i uboższych mieszkańców puszczy, była właściwie nie ona sama, lecz okolice poza nią leżące, gdzie w lepszej glebie i kulturze dawniejszej świat szlachecki i kmiecy bujniejszem wrzał życiem. Opary tego życia krążyły już nad puszczą, krystalizowały się nawet tu i owdzie w pewnych jej ogniskach, ale daleko jeszcze było jej do tego, by

sama stać się mogła jego źródłem. A na kanwie cienkiej sieci pajęczej, co kulturę Polski przedstawiała w tych stronach, los dziwne zaiste haftował wzory... Oto, obok dziejów codziennych szlachty i kmieci, obok pierwiastków rodzinnych i sąsiedzkich, dorzucił on — niby u wstępu do »cywilizowanego« życia okolicy — garść istnych dziwów, nalot szczególny a tajemniczy!...

Wśród mrocznych lasów brzezińskich, w ostępie, z którego przez okolice Brzezin i Jeżowa, rzeczka Mroga spływała ku Bzurze, dając miano, a może i życie słynnym zbójom pomrożańskim, powstała ongi skromna osada ludzka — Koluszkowice [1]). To oczywiście siedziba zstępnych jakiegoś Kolucha [2]), a raczej zdrobniałego Koluszka (Ko luszko). I nie byłoby może ani w nazwie Koluszkowic, części Koluszek późniejszych [3]), ani w dziejach przeciętnych tej wioski nic godnego

[1]) »Teki A. Pawińskiego« (Księgi Sądowe Łęczyckie) II. Nr. 2116.

[2]) Imienia takiego bezpośrednio nie spotykamy w źródłach, atoli — prawie napewno — przypuścić możemy jego istnienie. Był Goluch (Fr. Bujak, »Osadnictwo« str. 234 [63], a od niego, ewentualnie od Koluch'a), zdrobniały Goluszko (Koluszko), skąd *(patronim.)* Koluszkowice, a wreszcie Koluszki. Kreacya podobna, jak Mileszki od Milec'a (Milech'a). Por. wyżej przyp. 2, str. 160.

[3]) W »Księgach Sądowych Łęczyckich« występują jednocześnie Koluszkowice i Koluszki. Pierwsze wszelako — tylko raz jeden (por. wyżej przyp. 1), poczem

uwagi, gdyby nie dziwne imiona jej mieszkańców w brzaskach Jagiellońskiej doby. Brak źródeł — owych satelitów mocy i panowania, pierzchających bez śladu z przed oblicza maluczkich i słabych, nie pozwala nam, niestety, na gruntowne wyświetlenie sprawy. Poprzestaniemy na zestawieniu faktów — suchych, drobnych i nieznanych, a jednak barwnych, wiekopomnych i uderzających sensacyą zapomnianego dramatu na tle dziejów skromnej wioski pomrożańskiej.

Oto, w dobie, kiedy możny Witold trzymał Koronę na uwięzi spraw litewsko-ruskich, kiedy chwiał się po Worskli, ratował w Raciążu, grzmiał pod Grunwaldem i królował z Litwy po szerokim świecie [1]) — w latach 1399—1419, a zapewne i później jeszcze, konały w Koluszkach echa przeszłości tajemniczej, która grono rozbitków losu rzuciła ze Wschodu nad Mrogę. Wsie niedalekie: Moskwa, Moskiew i Moskule zdają się wskazywać na to, że rozbitki, o jakich mowa, wiedli istotnie ród swój zagadkowy gdzieś z poza późniejszych dzierżaw Witoldowych. Bóg to raczy wiedzieć, skąd i kiedy tam przybyli, dość, że w czasach wspomnianych siedzą w Ko-

---

znikają — niewątpliwie na rzecz nowej nomenklatury (Koluszki), która objąć musiała osadę dawną (Koluszkowice) i nowszą (Koluszki).

[1]) J. K. Kochanowski: »Witold, Wielki Książę Litewski«, Lwów 1900.

luszkach: Mikołaj z braćmi [1]), Jan i Mikołaj — obaj przezwiskiem Babicze [2]), wskazującym może na Babów polskich [3]), lub na pogańskie *Baby* [4]), ale może także — pośrednio, lub bezpośrednio, na słynnych kniaziów moskiewskich, późniejszych towarzyszów Wasyla Ślepego [5]); siedzą Andrzej [6]), Dorota [7]) i Wojciech [8]), ale — co ważniejsza — siedzą tam także dwie dostojne panie, Olga i Anastazya [9]), właścicielki imion, zgoła na pniu polskim nie wyrosłych. Jeszcze w sto kilkadziesiąt lat później, w r. 1576, liczyły Koluszki zaledwie pół-trzecia uprawnego łanu, choć siedziało na nich trzech panów i dwie panie »Koluszkowskie« [10]) — jedna z nich, Jadwiga,

---

[1]) Teki j. w. (Księgi Łęczyckie) II. 2116.

[2]) Tamże II. 2330, 2386.

[3]) Por. wsie Baby (ogółem 8 takich nomenklatur) w piotrkowskiem, wieluńskiem, prasnyskiem, sochaczewskiem i gostyńskiem (»Tabella miast, wsi i osad Królestwa Polskiego«. Warszawa 1827).

[4]) Por. Zygmunt Gloger: »Encyklopedya Staropolska« (Baba).

[5]) Por. Adama Bonieckiego: »Poczet rodów w W. X. Lit.« (Babicze).

[6]) Teki j. w. (Ks. Łęcz.) II. 2388.

[7]) Tamże II. 2408.

[8]) Tamże II. 2572.

[9]) Tamże II. 2365, 2408 etc.

[10]) A. Pawiński »Wielkopolska« (w »Źródłach Dziejowych« II. str. 93, 151.

wdowa po Janie, noszącym znamienne w warunkach tamtejszych nazwisko Glińskiego[1]). Miały już jednak wtedy Koluszki młyn, trzech zagrodników, a nawet kołodzieja i tkacza[2]) — zato ani jednego kmiecia na gruntach wspomnianych[3]). »Dobytek kmiecy« dzierżyli tam wówczas, w przyległej części wioski, panowie magnaci, Lasoccy z Brzezin, spadkobiercy pana Jakóba, szczęśliwego posiadacza sześciu kolonistów[4]), dość już obficie za króla Stefana występujących w Brzezińskiem[5]). W Koluszkach siedzieli Lasoccy już na początku wieku XVI, jak o tem zdają się świadczyć ówczesne źródła kościelne[6]).

Jeżeli tak mglisto i ubogo przedstawia się historya Koluszek w zaraniu nowożytnej doby, to tem mniej posiadamy danych, aby ich dzieje zamierzchłe z czasów Jagiełły »ozłocić«. Klejnotem ówczesnym tego zakątka, jaśniejącym na widnokręgu szerokim od Choin i Witkowic po Brzeziny i Zalesie, były tam przedewszystkiem panie Olga i Anastazya, pieniające się o posagi[7]),

---

1) Tamże.
2) Tamże.
3) Tamże str. 120.
4) Tamże str. 93.
5) Tamże *passim* str. 88—98.
6) Por. *Liber Benef.* Łaskiego II. str. 400.
7) Teki (Księgi Sądowe Łęczyckie) II. 2365.

zastawiające części gruntów swoich sąsiadom [1]) i stwierdzające przed sądem, *esze Holga wnosla 18 gryffen posagu w dziedzinę manszu swemu in Koluszki* [2]).

Jak cichym niewiastom przystało, żadna z nich nie miała dość szczęścia, by imię swe połączyć choćby z jaką »gwerrą« wiekopomną na kartach dziejów partykularza. I pod tym bowiem względem różnił się nasz zakątek od tła obyczajowego dalszej okolicy, gdzie pod Łęczycą zapamiętałe temi czasy wrzały walki — wojny rodowe — pod hasłem krwawych odwetów, znaczącym te strony, jeszcze za Jagiełły, piętnem przeszłości zamierzchłej [3]). Za uboga była na zbytek taki puszcza podłódzka, wolna zresztą, jak z ewolucyi jej wynikało, od kompleksów odwiecznych dóbr rodowych. Ubóstwo jej kmiecego i szlacheckiego nalotu, to cecha najistotniejsza i stosunków i obyczaju. Tęsknem też okiem spoglądali mieszkańcy puszczy w bogatsze strony łęczyckie, sieradzkie, czy nawet mazowieckie, tam przedewszystkiem dobijając się afektów możniejszej braci. Sobie samej wyspa

---

[1]) Tamże II. 2408.

[2]) Ustęp tego zdania od „*gryffen* do — *Koluszki*“ (włącznie) jest przekładem archaicznym tekstu łacińskiego z r. 1406. (Tamże II. 2586).

[3]) Por. A. Pawiński: »O pojednaniu w zabójstwie«. Warszawa 1884.

ta nie wystarczała, boć i wystarczać nie mogła. Wszak kompleks cały właściwych wiosek puszczańskich: Będoń, Chojny, Gałków, Koluszki Kurowice, Małczew, Mileszki, Wiączyń, Wiskitno, Witkowice i Stoki, liczyły conajmniej, w czasach omawianych, 75-ciu »pańskich« mieszkańców [1]), siedzących na 350-ciu, conajwyżej (!) uprawnych łanach [2])! To też wielu z nich — jeśli nie wszyscy — starali się usilnie posiąść, gdzie się dało: bliżej, czy dalej, klucz powodzeń życiowych w postaci łanów — drogą procesów, zastawów, kupna, czy ożenku. Jeżeli zaś metoda ta nie była wcale na tle ogólnych stosunków ówczesnych oryginalną, to jednak puszczanom naszym trzeba przyznać w tej mierze energię

---

[1]) Obliczenie, dokonane na podstawie »Ksiąg Sądowych Łęczyckich« (Teki j. w.): Będoń — 10 szlachty; Chojny — 28; Koluszki — 8; Gałków — 0; Kurowice — 3; Małczew — 1; Mileszki — 4; Wiączyń — 3; Wiskitno — (?)2; Witkowice — 15; Stoki — 1.

[2]) Wedle A. Pawińskiego: »Wielkopolski« (w »Źródłach Dziejowych«), opisanej na podstawie aktów (głównie) z r. 1576. — Atoli wedle *Liber Beneficiorum* Łaskiego (przeciętna norma dochodu kościelnego 1 grosz z łanu Por. niżej przyp. 3, str. 198) wypada, że (na początku XVI wieku) istniało conajwyżej 50 uprawnych łanów w całej parafii Mileszki, czyli, że podana przez nas liczba 350 łanów na terytoryum 11-tu wiosek wspomnianych, w wieku XV, wydaje się — aczkolwiek mała — nieprawdopodobnie wysoką!

iście niepospolitą, bodaj wyjątkową. Przeglądając Księgi Sądowe Łęczyckie, widzi się, że ludzie ci żyli w rozjazdach nieustannych, jak gdyby drogi kamieniste, łączące podziśdzień stołeczne Brzeziny z okolicą, należały do najprzedniejszych w Królestwie gościńców [1])! Ubożsi i na to częściej pozwolić sobie nie mogli, uganiając się za kąskiem mięsnym po lasach z sąsiadem, psem i krogulcem.

Kollokacya, system utarty osadnictwa szlacheckiego w wiekach średnich, dostarczała niemało okazyi do zatargów, pociągających za sobą sprawy sądowe. Nie mniej wycieczek przed akta ziemskie, albo i grodzkie do Brzezin, powodowały rozliczne kwestye majątkowe, wymagające zabezpieczenia. Prym pod względem ruchliwości w tej mierze dzierżył w okolicy jeden z ośmiu panów na Będoniu, Imć pan Przybysław, żonaty z panną Heleną z Grzmiącej, siostrą Macieja, plebana ze Skoszew [2]). Było to już w puszczy stanowisko bez mała arystokratyczne, zwłaszcza, że i szkatuła pana Przybysława zdawała się przytłaczać ciężarem swoim dobytek sąsiadów.

Jak nic bierze Przybysław w r. 1400 dwóch kmieci w Mileszkach w swoje posiadanie, płacąc

---

[1]) Bardziej wygodnickim wydawało się to i wtedy jednak zbyt uciążliwem (Teki, Księgi Sądowe Łęczyckie, II. 3475, 3476).

[2]) Teki (Księgi Sądowe Łęczyckie) II. 2580.

za nich Dobkowi z Dobieszkowa całe osiem grzywien [1]); jak nic ogarnia w Grzmiącej zastawem »dziedziny« szwagra swojego [2]) i pana Bolesty [3]); jak nic pobiera rocznie całą kopę »płatu« od Świętosława z Moszczenicy, dzięki umowie, zawartej z Katuszą z Mileszek [4]). A cóż dopiero mówić o konneksyach pana Przybysława ze szlachtą z Pszanowic, Witkowic, Byszew, Dobrej, Zaosia, Strykowa i Ujazda?! Żadna sprawa ważniejsza tych wiosek nie obywała się bez świadectwa pana Będońskiego [5]), który nie szczędził drogi do Brzezin, a choćby i do Orłowa, byle stosunek sąsiedzki utrzymać, byle przy okazyi zetknąć się z tym albo z owym, nową nawiązać znajomość i pomyślny ubić interes. Losy zdawały mu się sprzyjać w tych zabiegach. Raz tylko bowiem, i to w okresie lat blisko trzydziestu, popadł pan Przybysław w dwie drobne kary sądowe przeciw Imć panu Łukaszowi z Grzmiącej, a nie byłać to nawet jego sprawa własna, jeno żonina, bo pani Helena pospołu z Boguchną Jędrzejową z Będonia, nieopatrznie

---

[1]) Tamże II. 6506.
[2]) Tamże II. 2580.
[3]) Tamże II. 2881.
[4]) Tamże II. 3447.
[5]) Tamże II. 3420, 3408, 3357, 3356, 3325, 3262, 3437, 3438, 3459, 3431.

jakoś poczęły sobie z sąsiadem [1]. Oględność pana Przybysława sprzyjała jego fortunie. Korzystając za młodu z poważnych usług sąsiedzkich, przyczem pan Myślisz z Witkowic ręczył zań niegdyś sumę nie bylejaką, bo 80 grzywien wynoszącą [2], nie miał pan Przybysław ręki zbyt szczodrej dla innych; raz tylko jeden, w sprawie pana Dobka z Byszew, z którym niezwykłe jakieś wiązały go stosunki, ręczył kwotę 15-stu grzywien pod przepadkiem 36-ciu, urodzonemu Jakóbowi, wójtowi z Strykowa [3].

Inni panowie ówcześni z Będonia: Jan [4], Jędrzej [5], bracia Wacław i Wojciech [6], Mroczko [7], Łukasz i Bartłomiej [8], to postacie bledsze, to niby satelici pana Przybysława, których fortuna w mniejszej miała pieczy. Niknie obok niego sam nawet uczony Bartłomiej, kleryk dyecezyi Gnieźnieńskiej [9], który dziedzictwo swoje w Będoniu łączył u wrót karyery pana Przybysława, przed rokiem 1405-tym, z urzędem notaryusza,

---

[1] Tamże II. 3167.
[2] Tamże II. 3949.
[3] Tamże II. 3431.
[4] Tamże II. 3318.
[5] Tamże II. 3309.
[6] Tamże II. 3475, 3476.
[7] Tamże II. 2572.
[8] Tamże II. 3578.
[9] Tamże II. 2389.

a może i rektora szkółki »stołecznej« w Brzezinach, nim go tam zastąpił późniejszy jej przełożony, Imć pan Gniewomir [1]... A jednak i pan Łukasz, choć daleko mu było do Przybysława i Bartłomieja, potrafił przejść do potomności, dzięki mężnemu, acz nieprawnemu wzięciu w posiadanie »dziedziny« samego sędziego łęczyckiego, Piotra [2]), przy pomocy stosunków swoich ze szlachtą z Kalenia [3]), Dobieszkowa i Belin [4]). Nie ustępują mu także — dzielny Mroczko, świadek czynności prawnych Olgi z Koluszek [5]), ani Wacław, brat Wojciecha, którzy w sprawach sąsiedzkich z panią Katarzyną z Witkowic i z Ofką z Zalesia honor swój, czy sąsiedzki, oczyszczali zgodnie: Pierwszy, świadcząc pod przysięgą, *jako jest Pietrasz* (a nie on) *ukradł koń... a o to mam półtory grzywny szkody* [6]); drugi — *jako te cztery grzywny, co są one sparły... to są one winny z Gostynek, z oćczyzny* [7])...

Bardzo podobnie przedstawia się w źródłach charakter życia innych wiosek pobliskich, przyczem uderza okoliczność, że mieszkańcy danej

[1]) Por. tamże II. 288.
[2]) Tamże II. 3578, 3598.
[3]) Tamże II. 2383.
[4]) Tamże II. 2531.
[5]) Tamże II. 2572.
[6]) Tamże II. 2623.
[7]) Tamże II. 3166.

»kollokacyi« dążą w zakresie stosunków swoich ze światem zewnętrznym w kierunku jakby odśrodkowym. Czyliby tkwił w tem dowód braku rywalizacyi pomiędzy nimi, jako, że siedząc oddawna w okolicy, w znacznej mierze spokrewnieni bywali ze sobą — czyli też wskazówka ich pochodzenia ze stron różnych po mieczu i kądzieli, rozstrzygnąć tego niepodobna; dość, że każdy z nich obraca się przeważnie w sferze innych, bliższych czy dalszych sąsiadów.

Jak w Będoniu Imć pan Przybysław, tak w Witkowicach Imć pan Stanisław rej wodzili nad kollokacyą. Pierwszemu brakło atoli tego dostojeństwa, jakie posiadał drugi w urzędzie tytularnym cześnika łęczyckiego [1]. Pan Stanisław był nadto starszy od Przybysława i kiedy wielkość tego ostatniego zaledwie się poczynała, drugi, sięgający niechybnie wspomnieniami młodości w czasy króla Kazimierza, miał już powagę w okolicy ugruntowaną. Kiedy pomiędzy nim, a panami: Pełką, Jakuszem i Wawrzeńcem, oraz siostrą ich Wojsławą, szło w roku 1398-ym o granice »dziedzin« w Witkowicach, załatwiono sprawę krótko i węzłowato, orzekając zgodnie: Niechaj cześnik przyjdzie do niwy i rzeknie — to jest moje; od tej strony po tę! — i kwita [2])

[1]) Tamże I. 3190, 3521.
[2]) Tamże I. 5559; por. tamże zapiskę 5546.

Widać jednak Imć pan Stanisław życzył zbyt dobrze samemu sobie, bo sprawa wlokła się długo, wywołując w dwa lata później wyrok sądowy, skazujący cześnika na powrócenie Pełce jednej trzeciej części łąk swoich »poza Przyśniewem« [1]).

Ale nic w tem dziwnego! Pan Pełka w kaszę — choćby i cześnikowi — dmuchać sobie nie dawał. Ba! w upartym jego procesie z panem Paszkiem z Łagiewnik sam Król Jegomość »zakład« w sumie 50 grzywien ustanowić musiał, byle animozyę walczących poskromić [2]).

Na tle tych wszystkich »statystów« i »sensatów«, mających głównie korzyści realne na oku, wyróżniali się karygodną lekkomyślnością swoją trzej inni panowie z Witkowic: Marcin, Piotr i Witek. Pierwszy w zatargu nieopatrznym z panem Kuczem uległ ranom krwawym [3]), a w sprawie z podsędkiem łęczyckim, Dziersławem ze Strykowa [4]), huknął nań srodze: Takom dobry, jako i ty! Gdy zaś ów prawem go odpierał, nie zawahał się pan Marcin krzyknąć przed sądem: Panie Podsędku! My chórem przeciw tobie [5])! Dwaj ostatni, jak się to przed Jaśkiem, starostą łęczyckim, wydało, trzymali w dy-

[1]) Tamże II. 6474.
[2]) Tamże II. 2234.
[3]) Tamże II. 2240.
[4]) Tamże II. 2194.
[5]) Tamże II. 2099.

bach, na własną rękę, wraz z Łaszczem z Krosina, pana Klemensa, sąsiada swego z Zieleniewa [1]... Pan Marcin zasie dbał więcej, niźli oni, o honor sąsiadów. Kiedy Myśliborza z Choin, namiętnego łowca, posądzono o przywłaszczenie sobie wyuczonego jastrzębia, pan Marcin, który nieraz pono z obwinionym w kniei się zabawiał, klął się na Krzyż Pański, jako przyjaciel jego w ciągu trzech lat ostatnich nie ukradł jastrzębia — i tak honor jego salwował [2].

Nie mniej czułymi na przyjaźń sąsiedzką byli i inni panowie z Witkowic: Jakusz i Wawrzeniec, świadczący zgodnie w sprawie pana Wawrzeńca z Pszanowic, *jako Wawrzyniec nie kradnie, ani złodziejów nie ochrania, ani ze złodziejstwa użytku ma* [3]...

Dostojniej może, niż reszta okolicy, prezentują się w świetle skromnych, jak ona sama, okruchów źródłowych, panowie »stołecznych« Mileszek, mających w osobie swego proboszcza pieczę kościelną nad duszami wiernych. Wybili się tam w okresie lat 1393—1419 panowie Andrzej i Bolesta, oraz niejaka pani Katarzyna, siostrzenica Świętosława z Moszczenicy, zwana Katuszą [4]. Ktoby w pierwszym rzędzie cierpiał

---

[1]) Tamże II. 5586.
[2]) Tamże II. 2104.
[3]) Tamże II. 3593.
[4]) Tamże II. 3116, 3447.

»katusze« z jej ręki mocarnej — milczą o tem dzieje. Spadały one, między innymi, w procesach o czynsze z tytułu dożywocia, na wuja jej, Świętosława, oraz na Przybysława z Będonia [1]). Wolnym był od nich poniekąd Imć pan Bolesta, szczęśliwy małżonek pani Święchny [2]), może syn Andrzeja, głównego dziedzica Mileszek. Ogółem nie byłoć tam łanów o wiele więcej nad dziesięć [3]), a i tak częścią ich władali przygodnie panowie obcy z Będonia i Dobieszkowa, kupcząc między sobą w sposób zastawu czynszami kmiotków miejscowych [4]). Sam nawet Imć pan sędzia, kto wie czy nie Piotrasz z Tura Turski, usiłował wyzuć pana Andrzeja z jego »dziedziny«. Ow jednak — biegły w palestrze — mężnie stawił mu czoło i odniósł wiktoryę zupełną, przedstawiwszy *ad oculos* pismo sądowe, stwierdzające, że do niego Mileszki należą [5]). Jakoż, losy późniejsze tej wioski — działo się to bowiem w roku 1393 — wykazują dowodnie, że spadkobierca pana Andrzejowej chwały i mienia, Imć pan Bolesta, wspierany dzielnie przez życie ramieniem

---

1) Tamże j. w.

2) Tamże II. 3347.

3) Obliczenie, dokonane na podstawie *Liber Beneficiorum* J. Łaskiego (norma: 1 grosz dochodu kościelnego z jednego łanu). Por. wyżej przyp. 2, str. 190.

4) Teki j. w. (Ks. Sąd. Łęcz.) II. 6506.

5) Tamże I. 2825.

swej Święchny, nietylko wioskę swą statecznie zachować umiał, chroniąc jej grunta od apetytu sąsiadów, ale i w okolicy nowe pozyskał władanie, dzierżąc zastawem role braci Floryana i Piotra z pobliskich Choin [1]). Wreszcie jednak procesy majątkowe z Andrzejem Będońskim [2]), a nadewszystko z Walkierzem z Zawad [3]), oraz ze szwagrem pana Przybysława, proboszczem skoszewskim, Maciejem [4]), szarpnęły nieco jego szkatułę. Wtedy to Imć pan Bolesta o mało nie stał się mężem wiekopomnym, dobroczyńcą ludu... Staszicem, co, jak na czasy Jagiełły, byłoby rzeczą zgoła niepowszednią! Oto, dnia 19 grudnia 1419 r., odbył on wraz z towarzyszką dni swoich drogę ciernistą do Brzezin, by zapisać tam w aktach, w obecności szlachty z Dąbrówki, Szczawina, Brunowic i Byszew, zwolnienie kmiecia swego, Michała, od czynszów, opłat i robocizny, oraz nadać mu *loco* dawnej zależności — u progów roku nowego — wszelką swobodę. Ale niech czar tej opowieści pryśnie, czytelniku! Pan Bolesta... winien był Michałowi całe półtrzeciej grzywny monety kurs w kraju mającej, pieniądze były mu potrzebne, zwrócić nie miał ich z czego, przeto —

---

1) Tamże II. 3133, 3440.
2) Tamże II. 3309, 3310, 3311.
3) Tamże II. 3133, 3144, 3254, 3277, 3290, 3299.
4) Tamże II. 3082, 3347.

w procencie — paktował z kmiotkiem, jak się dało [1]). Taka to prosta i pospolita konieczność wyniosła go nad poziomy!

Największą rozmaitość przedstawiać musiały tymi czasy Chojny, liczące pół kopy, bez mała, bo dwudziestu ośmiu szlacheckich mieszkańców [2]). Rozmaitość ta utonęła jednak w otchłani czasu, a drobne tylko szczegóły ocalały na jego powierzchni w lakonicznych fragmentach źródłowych. Wynika z nich, że szlachta chojeńska, poświęcając, jak i cała okolica, główne usiłowania swoje sprawom gruntów uprawnych: wzajemnym, między sobą i sąsiadami, zastawom [3]), sprzedaży i kupnu łanów osiadłych [4]), nagradzała sobie przytem ubocznie, jak mogła, ubóstwo swoje procederem leśnym, podyktowanym przez puszczańskie warunki środowiska. Na tle spraw o »dziedziny« [5]) i ich granice, wytykane jeszcze sposobem pierwotnym, np. »wzdłuż biegu strumyka« [6]), rysują się tam, niby żywe echo bytu zamierzchłego, procesy sądowe o kradzież jastrzębi, pszczół i krogulców. *Tako mi Bóg po-*

---

[1]) Tamże II. 3460.
[2]) Tamże I. II. *passim.*
[3]) Por. tamże II. 2940.
[4]) Tamże II. 3440 etc.
[5]) Tamże II. 2627 etc.
[6]) Tamże II. 2284.

móż i św. krzyż, jako Myśliborz z Choin w trzy ostatnie lata jastrzębia nie zebrał Stanisławowi, ani z niego użytku ma[1]... *Tako mi Bóg pomóż* etc., *jako urodzony Paweł z Choin nie ukradł jastrzębi ani krogulców z lasu Przecława, ani z nich pożytku ma*[2]... — oto, jak klną się sąsiedzi panów chojeńskich — naprzekór ich oskarżycielom — w obronie czci posądzonych. Jakoż udawały się takie wybiegi, np. panu Imisławowi z Choin, którego pani Śmichna ze Stawek daremnie do Brzezin o *szmery* (pszczoły leśne) wartości dwu grzywien wodziła[3]). Obronili go sąsiedzi. Wywdzięczali im się za to z nawiązką panowie Chojeńscy. Dnia 30 czerwca 1416 roku czterej urodzeni mieszkańcy Choin: Dobek, Jakób, Wszebor i Imisław klną się uroczyście w Brzezinach w sprawie Andrzeja z Zakowic z Jakóbem z Wierzbia, jako pan Andrzej, przybywszy na Jakóbową niwę, nie ukradł mu konia wartości trzech grzywien, ani z niego użytku ma[4])!

Nikną zgoła wobec faktów, równie wiekopomnych, kroniki Kurowic, Wiączynia, Stoków i Małczewa. W Kurowicach, ówczesnym Kuro-

---

[1]) Tamże II. 2104.
[2]) Tamże II. 2280.
[3]) Tamże II. 3085.
[4]) Tamże II. 2836.

wie, ojciec Klemensa, chorążego łęczyckiego, czyni z bratem swoim, Aleksym, *rzond* (układ) uroczysty, jako tenże nie będzie *bił się* (dążył) ku Kurowu, za co pierwszy trzymać się obiecuje zdala *a Glandzanowo*[1]). W Wiączyniu ubodzy dziedzice pieniają się z kmieciami o budynki[2]) i zboże[3]), w Małczewie kmieć zadzierżysty gnębi przed sądem pana Pełkę z Witkowic[4]), a w Stokach Imć Pan Paszko wzbrania się sprawiedliwości uczynić biedakowi jakiemuś ze Zgierza, poszukującemu na kmieciu stokowskim główszczyzny za zabójstwo syna[5]). Nic dziwnego! Wszak zubożenie kmiecia mogło się odbić nader niekorzystnie na trzosie własnym pana Paska!

Oto tło obyczajowe zaścianka, który, jako cząstka składowa powiatu i województwa, zdobywał się i na czyny obywatelskie! W nich to, bardziej niż w czemkolwiek, iście jak w zwierciedle, odbiła się dusza, oraz myśl prawna tej społeczności zamierzchłej a ciekawej.

W czasach, o jakich mowa, w latach 1418—1419, zapadły w Łęczycy słynne »Konsty-

---

[1]) Tamże II. 1107.
[2]) Tamże II. 2777.
[3]) Tamże II. 2952.
[4]) Tamże II. 2267.
[5]) Tamże II. 3549.

tucye« tej ziemi[1]), będące w swych 68-iu artykułach, posiadających wielokrotnie charakter prejudykatów, jakby jednym potężnym krzykiem obronnym swojskiego prawieku przeciw zamachom, jakie zewsząd czyniła już wtedy kultura państwa i Kościoła na najświętsze jego wierzenia i nawyki.

Jeżeli blisko przed stu laty, za czasów ostatniego Króla-Piasta, mogły były podobne sprawiać wrażenie artykuły wielkopolskie Statutów Kazimierzowskich w zestawieniu z małopolskimi, to cóż dopiero mówić o różnicy i czasu i treści, gdy się ze zbiorem Wiślicko-piotrkowskim Konstytucye łęczyckie porówna! Przewaga formy prejudykatu świadczy, że były one wiernem odbiciem życia — wierniejszem, niż wszelka kodyfikacya; treść zaś — że słynne *gwerry* łęczyckie tej doby, walki rodowe, długoletnie a krwawe, np. Łubów z Kamionami[2]) i Janinów z Grzymalitami[3]), o których bliższe szczegóły przechowały nam źródła, nie były tam zjawiskiem oderwanem, lub o wiele rzadszem niż na Mazowszu, w sąsiedniej, dzikiej, klasycznej krainie

---

[1]) J. W. Bandtkie, *Jus Polonicum*. Warszawa 1831, str. 194—200. Wydawnictwo i konstytucye te cytować będziemy poniżej: »Bandtkie«.

[2]) A. Pawiński: »O pojednaniu w zabójstwie«, Warszawa 1884, str. 15 i nast.

[3]) Tamże str. 19—20.

takich zapasów[1]. Na Mazowszu dopiero w drugiej połowie XVI wieku — w dobie bujnego renesansu na Wawelu — ustała »wróżda«[2]. Nie o wiele wcześniej zapaść musiały w przeszłość i łęczyckie hekatomby ludzkie tego typu, choć milczą o nich dzieje pisane.

W roku pamiętnym bitwy Grunwaldzkiej Imć Pan Borzym ze Skoszew, wioski rodzinnej pani Przybysławowej z Będonia, miał roczek w sądzie łęczyckim. Próżno go jednak tam oczekiwano. Powód absencyi — prawny i moralny — był bardzo prosty: Pan Borzym miał tymi czasy »wróżdę« z sąsiadem[3]. Trudnoć mu było w palestrę się bawić, skoro właśnie — jak na złość — łowy na ludzi pochłaniały wszystkie jego siły. Sąd dopusty takie pojmował należycie i pan Borzym, jako mąż sprawiedliwy, kary »niestanie« uniknął w Łęczycy.

Konstytucye, o jakich mowa, to zabytek nader ciekawy, bo stanowiący dowód żywy, jak się w zaścianku myśl prawna, narzucanej przez Koronę wyższej kultury, borykała jeszcze za Jagiełły ze swojskością pojęć, dążeń i porywów szlachty łęczyckiej.

Kradzież, której poświęcono tam około 10%

---

[1]) Por. tamże str. 24, 35, 50, 70.
[2]) Por. tamże str. 60.
[3]) Tamże str. 22.

uwagi, występuje, jako przestępstwo, poniekąd jeszcze tolerowane w granicach ziemi. Przedawnienie za kradzież drobniejszą wynosi tylko trzy lata [1]), jak wszędzie w Polsce ówczesnej, ale szlachcic, przez szlachcica o kradzież oskarżony, oczyszcza się przysięgą pięciu — nie sześciu, jak gdzieindziej — świadków [2]). Gdy kto konie, lub woły kradzione odbije, ma prawo do wynagrodzenia podwójnego, jeżeli zwierzę skradzione było poza granicami »ziemi« [3]). Do rzędu okaleczeń, przewidzianych w Statucie Wiślickim, przybywa tam nadto kastracya. Gdy takowa razu jednego z ręki Janusza ze Słupcy, a w sposób połowiczny, pewnego kmiotka spotkała, pani okaleczonego, Drogochna z Rzeźwienny, wygrała za to pięć grzywien; panowie postanowili atoli, że za luksus tego rodzaju winny płacić ma tak, jak za głowę [4]).

Wśród ubóstwa i idącej za niem ciemnoty, uderza w Konstytucyach łęczyckich nieświadomość wybitna szlachty, żyjącej zresztą w nieustannej pogoni za uprawnymi łanami, w jakiby sposób zapewnić sobie posiadanie kmieci [5]). Towarzyszy temu zjawisku obojętność »panów« na

---

[1]) Bandtkie j. w. (Konstytucye Łęczyckie) Artykuł II.
[2]) Tamże art. III.
[3]) Tamże art. VII.
[4]) Tamże art. XVIII, XIX.
[5]) Tamże art. XXXV.

ich losy [1]), oraz brak odczucia pożytków ekonomicznych, płynących z kolonizacyi niemieckiej [2]), przy oczywistej dbałości o sam fakt panowania nad ludnością wiejską [3]).

Dążenie to nie przeszkadzało bynajmniej poniewieraniu godności szlacheckiej przez samąż szlachtę [4]), czemu — daremnie zresztą w całej Polsce — starał się przeciwdziałać od lat kilkudziesięciu Statut Wiślicki króla Kazimierza. Miary dopełniała dzikość obyczajów [5]), zanik poczucia prawa [6]) i obyczajności [7]). Niechęć względem sprężystej władzy państwowej [8]) dzieliła szlachta łęczycka z bracią swą w całej Koronie; trudno jednak dopatrzeć się w niej usiłowań pochwycenia natomiast władzy zorganizowanej, np. nad kmieciami, we własne swe dłonie... Konstytucye Łęczyckie postanawiały, że ani szlachcie, ani kmieciom niewolno przybywać do miast, grodów i sądów z bronią w ręku, pod karą grzywien i konfiskaty oręża [9])... Inaczej sprawę tę

---

[1]) Tamże art. XII, XV.
[2]) Por. tamże art. XXXVI.
[3]) Por. tamże art. I, XV.
[4]) Por. tamże art. XXI.
[5]) Por. tamże art. XVIII, XIX.
[6]) Por. tamże art. XXX.
[7]) Por. tamże art. XX, LV, LVI.
[8]) Por. tamże art. LVII.
[9]) Tamże art. LXII.

uregulowała w kilka lat później, w roku 1423, sąsiednia szlachta kujawska, ściślej już klasowo zespolona, zabraniając podobnych »występów« tylko i jedynie — kmieciom[1]), »aby wróżdy i spory pomiędzy nimi nie powstawały«. Wobec faktu, że wróżdy i spory stanowiły wówczas — *sit venia verbo* — cechę zawodową klasy rycerskiej, pobudka tej Konstytucyi leży, jak na dłoni, a dźwięczy w niej już nuta solidarności szlacheckiej względem innych, niższych warstw narodu: zapowiedź niedalekiego wszechwładztwa braci herbowej jeszcze za Jagiellonów: Kazimierza, Aleksandra i obu Zygmuntów. Nie zanosiło się na to w łęczyckiem.

Zestawienie współczesnych (XV st.) i równorzędnych pod względem rodzaju materyału Ksiąg Sądowych Kujawskich z Łęczyckiemi, ujawnia nadto po stronie tych ostatnich tak znakomitą przewagę spraw o kradzieże, wróżdy, zabójstwa, najazdy, rozboje, bójki krwawe i gwałty — cały majestat czasów barbarzyńskich — że niepodobna wątpić o różnicy kultury obu tych ziem, tak blisko geograficznie, a tak daleko pod względem rozwoju dziejowego z sobą sąsiadujących[2]).

---

1) »Teki A. Pawińskiego«, tom VII (»Księgi Sądowe Brzesko-Kujawskie«, wydane przez J. K. Kochanowskiego, Warszawa 1905), Nr. zapiski 3373.

2) Por. *passim* »Teki A. Pawińskiego«, tomy: III IV (V), VII.

Na takiem tle krzewił się, a miał się krzewić i nadal w najbliższych okolicach Łodzi — mechanicznie raczej, niż duchowo, folwarcznie raczej, niż kulturalnie — rozwój osadnictwa kościelnego, wytknięty tam przez losy niemal od zarania dziejów. Trzy znane nam fale tego osadnictwa, a zwłaszcza Chropska i Wolborska, zdołały zalać nietylko Łódź, ale i »kraj« jej cały naokół, już w wieku XV [1]), czyniąc i później jeszcze wyłomy w kompleksach okolicznej własności prywatnej [2]).

Krakowscy właściciele »Chropów« działali bodaj gorliwiej, aniżeli kujawscy panowie »Wolborza«. Olbrzymia połać dóbr chropskich, zajmujących południowe, południowo-wschodnie i zachodnie okolice Łodzi, powstała bądź co bądź najprzeważniej, jako osady, folwarki, młyny, zagrody i wioski, dzięki osadnictwu kościelnemu — w XV, XVI, a poniekąd nawet w XVII i XVIII stuleciu. Należały do tej kategoryi: Brojce, Brus, Czereczyn, Giemzów, Guzew, Jasienie — Karpin i Klucze (?) — Kotliny, Kraszew, Leszczyny, Łaziska, Majówka, Mierzączka, Mogilno, Olechów, Pawlikowice, Rydzyny, Stróża, Wola Kotowa

---

[1]) Osadnictwo »chropskie« objęło wtedy wieś Wiskitno pod Będoniem (Por. M. Baruch j. w.).

[2]) Por. M. Baruch j. w. str. 285 (Wiączyń); str. 262 (Kalinko).

czyli Kochanie, Zamoście i parę osad pomniejszych [1]).

Co do »Wolborza«, to miała mu wprawdzie Łódz swoją godność »miasteczka« do zawdzięczenia, ale niewiele ponadto. Aby być sprawiedliwym, trzeba jednak zauważyć, że »miasta«, zakładane sztucznie, nie udawały się nigdzie naówczas, a najszczególniej — w Polsce, gdzie — jak powiada słusznie wyborny znawca tych stosunków, Fr. Bujak [2]) — zróżniczkowanie wsi i miast było raczej formalne, niż rzeczywiste: »Zbyt licznie i zbyt łatwo zakładano w Polsce miasta, a przecież samo nazwanie jakiejś wsi miastem i nadanie jej miejskiej organizacyi prawnej, nie przekształcało stosunków gospodarczych. Brakło wiary i zaufania do tego nowego systemu gospodarczego. Olbrzymia większość miast zajmowała się także rolnictwem i chowem zwierząt, jakby nie ufając, czy sąsiednie wsie zechcą im dostarczyć całej żywności, a z drugiej strony również i wsie nie dowierzały, czy będą dla nich zupełnie dostępne i odpowiednie wyroby przemysłu miejskiego, i u siebie, już w początku, o rozwoju rzemiosła myślały«...

---

[1]) Tamże str. 243—291 *passim*.

[2]) W artykule, zamieszczonym w »Myśli Polskiej« (Warszawa, 1906, Nr. 36, str. 572).

Trudno o wierniejszą, choć zaoczną w danym wypadku, charakterystykę ogólną tego, czem była Łódź, »wieś-miasteczko« i jej okolica, aż do połowy wieku XIX-go.

* * *

Wiadomo, że rozwój Łodzi, jako miasta, datuje właściwie od roku 1820, kiedy (dnia 18 września) zaliczono »miasteczko« do rzędu miast fabrycznych ze względu na warunki położenia, korzystne dla rozwoju przemysłu miejscowego. Wkrótce po odpowiedniem rozporządzeniu Namiestnika Królewskiego (18/IX 1820), w r. 1821 przystąpiono do pierwszej regulacyi miasta, która polegała na przygotowaniu miejsca pod osadę fabryczną, dzisiejsze Nowe-Miasto i rozdzieleniu tego obszaru na dwieście placów. Aby powiększyć obszar miejski, wcielono do niego folwark sąsiedni, Starą-Wieś, oraz »wójtostwo łódzkie«, stanowiące część klucza Gałkówek, należącego do ekonomii dóbr rządowych, Łaznów. W roku 1823 specyalna delegacya rządowa dopełniła regulacyi Starego-Miasta. W r. 1825 cesarz i król Aleksander I, przedsięwziąwszy podróż dla poznania miast fabrycznych Królestwa, zwiedził Łódź i zezwolił wtedy na nowe powiększenie obszaru miejskiego przez włączenie wsi Wólki, wójtowstwa Zakrzewskiego, oraz części lasu rzą-

dowego z ekonomii Łaznów. Na nowym obszarze wytknięto 462 place budowlane, a resztę oddano siedmiu większym zakładom fabrycznym. W przedłużeniu osady sukienniczej, powstała nowa osada tkacka, zwana Łódką. W roku 1827 było już w Łodzi conajmniej 2843 mieszkańców, a w tem 322 robotników fabrycznych. W roku 1833 jest już 5730 mieszkańców; w roku 1837 10645. W r. 1840 nastąpiła czwarta z kolei regulacya miasta i nowe powiększenie jego obszaru; ludność doszła już bowiem wtedy do 20.000 mieszkańców. Pomiędzy r. 1840—1850 wzrost ludności Łodzi nieco się zatrzymał, a nawet cofnął (w roku 1840 — 20150 mieszkańców; w r. 1844 — 14028 mieszkańców) — nie ustawał jednak rozwój fabryczny miasta. W roku 1839 sprowadzono tam pierwszą machinę parową o sile 60 koni; w r. 1847 drugą (20 koni). W r. 1850 istniały już cztery machiny o sile łącznej 150 koni. W ćwierć wieku później, produkcya w porównaniu z rokiem 1860 wzrosła dziesięciokrotnie, a ludność wraz z przedmiejską doszła bez mała do 120.000 mieszkańców. Było już wtedy 500 fabryk wyrobów bawełnianych i 80 — wełnianych, których wytwórczość oceniono w r. 1878 na sumę z górą 27 milionów rubli [1]).

[1]) Dane, dotyczące rozwoju Łodzi w okresie od 1820 do 1878 r., oparłem na opracowaniu Bronisława Chlebowskiego

Zważywszy, że kilkadziesiąt lat przedtem, w r. 1793, liczyła Łódź 190 mieszkańców przy »dobytku« następującym: 44 dymy, domów niezamieszkałych 11, placów pustych 18, stodół 44, areszt drewniany, 4 studnie publiczne i 4 prywatne, jeden młyn wodny i dwa szynki: dominialny, oraz proboszczowski [1]), a przy produkcyi rocznej 50 beczek piwa oraz $70^{3}/_{4}$ garncy »wodki ordynareyney«, meldowanych w łęczyckim grodzie [2]), wołamy — skąd ta bajka?! Skąd te skarby w puszczańskiem, zapadłem miasteczku?

---

w »Słowniku Geograficznym« (V. 678—679). Autor wyzyskał tam sumiennie wszystkich dawniejszych dziejopisów Łodzi: Oskara Flatta, Majewskiego i Petetza.

[1]) Według lustracyi rządu pruskiego (»Dziennik Łódzki« z r. 1885, Nr. 1).

[2]) *Xięgi Wieczyste Obywatelstwa Łodzkiego Miasteczka Lodzi* (rękopis), fol. 1. — Kiedy w r. 1903, za inicyatywą redakcyi dziennika łódzkiego p. t. »Rozwój«, podjęto w Łodzi myśl zaopatrzenia tego miasta w herb własny i rozpoczęto poszukiwania za śladami dawnego jego godła, wystąpiłem w »Kuryerze Warszawskim« (Nr. 90 z r. 1903), a następnie w »Tygodniku Illustrowanym« (Nr. 16 z 1903 roku) z artykułami p. t.: »Herb Łodzi« i »W sprawie herbu miasta Łodzi«. W pierwszym z tych artykułów podałem, między innymi, do wiadomości osób, interesujących się przeszłością Łodzi, że jestem — szczęśliwym trafem — w posiadaniu »Ksiąg wieczystych obywatelstwa łódzkiego«. Skorzystał z tego zawiadomienia zasłużony badacz i autor dziejów »Pabianic, Rzgowa i wsi okolicznych« — książki wielokrotnie tu cytowa-

Źródło zagadki leży, jak na dłoni, w informacyach... *magistrae vitae*. Czemuż to bowiem właściwie i przedewszystkiem, jakiemu zbiegowi okoliczności, poza wiele i małomówiącem »korzystnem położeniem«, zawdzięczała Łódź-miasto bajeczny swój rozwój w wieku XIX?

---

nej — p. Maksymilian Baruch, który rękopis »Ksiąg wieczystych obyw. łódz.« przejrzał, ale — o ile mi wiadomo — dotąd użytku publicznego z oględzin tych nie zrobił. Czuję się przeto w obowiązku podać tu krótką informacyę o tym zabytku i o (domniemanych) jego dziejach. Rękopiśmienna ta księga papierowa — najniewątpliwiej oryginalna — rozpoczynająca się (fol. 2) od słów: »In Nomine Domini 1775, Xięgi Wieczyste Obywatelstwa Łodzkiego — Miasteczka Lodzi na dnia (sic) 16 (?) Listopada«, składa się z 265-iu kart (folio maj.), przeważnie nieliczbowanych, obustronnie zapisanych, oraz z pięciu wolantów, zawierających akty i kwity z XVIII wieku. Rękopis w niezłym stanie, z wyjątkiem pierwszej i ostatniej karty; oprawa skórzana zniszczona. Wpisy, w wielu wypadkach pieczęcią miejską stwierdzone (Por. wizerunek tej pieczęci w »Tyg. Illustr.« j. w.), sięgają wstecz (prawdopodobnie — w kopiach z aktów dawniejszych) roku 1765 (fol. 42) i kończą się na roku 1822-gim (fol. 9 od końca). Księga, o ile autopsya, bez prócia oprawy, stwierdzić to pozwala, powstała prawdopodobnie — przynajmniej w pewnej części — ze zszycia aktów luźnych, z XVIII i XIX stulecia pochodzących, a przeważnie bez ładu i składu w jeden wolumin zebranych. — Powyższy opis tego zabytku wydał mi się tu z tego względu pożądanym, że jest on — wobec pożarów, jakie akta łódzkie w połowie ubiegłego wieku strawiły — bodaj czy nie jedy-

Zdaje się, że nie będziemy dalecy od prawdy, twierdząc, że: opóźnieniu kolonizacyi niemieckiej.

Doniosłe to zjawisko średniowieczne, które zgotowało przełom w stosunkach wewnętrznych Polski, agrarnych, społecznych i ekonomicznych w okresie przybliżonym 1250—1450, nie odbiło się w swoim czasie echem dość potężnem w puszczy podłódzkiej. Osadnicy niemieccy, dawszy impuls do nowej organizacyi wsi, osad, miast i miasteczek na schyłku wieków średnich, wsiąkli w ludność polską i zlali się z nią na tle ogólnej, nowożytnej fizyognomii Rzpltej w stuleciu XVI, XVII i XVIII. Inaczej było poniekąd w puszczańskim zakątku brzezińskim. Odwieczna, szczera polskość tej okolicy, podtrzymywana z jednej strony przez szlachtę ubogą i zacofaną, a z drugiej modyfikowana mało przez pokost gospodarki możnego Kościoła, zetknąć się tam miała nagle, na samym schyłku XVIII wieku z nowymi, cał-

nym, a z pewnością najdawniejszym okazem archiwalnym łódzkim, jaki się podziśdzień zachował. Ocalenie swe zawdzięcza on, jak się domyślam, temu, że w swoim czasie — przed laty kilkudziesięciu — Jan Łaguna, ojciec historyka Stosława, sędzia apelacyjny łęczycki, sprowadził sobie tę księgę w sprawach urzędowych do Łęczycy, a tymczasem archiwum łódzkie spłonęło. »Księgi Wieczyste obywatelstwa łódzkiego« wraz z biblioteką i rękopisami, pozostałymi po ś. p. Stosławie Łagunie, dostały się w r. 1901 w moje posiadanie.

kiem nieoczekiwanymi warunkami bytu... Kiedy, porzucając ostatnią kartę Ksiąg Sądowych Łęczyckich z czasów Jagiełły, a mianowicie ustępy, dotyczące puszczy podłódzkiej, przejdziemy bezpośrednio potem do »Xiąg wieczystych miasta Łodzi« z doby króla Stanisława Augusta (najdawniejszy to zabytek »łódzki« [1]), odnieść musimy wrażenie, że pomiędzy wiekiem XV, a końcem XVIII-go, rysy zasadnicze fizyognomii naszego zakątka nie zmieniły się ani na jotę.

Pierwszy ani drugi rozbiór Polski nie dotknęły Łodzi; trzeci natomiast (1795 r.) wcielił ją wraz z okolicą bliższą i dalszą — w kraj zabrany pomiędzy Pilicą, Bugiem i Niemnem, który pod mianem Prus Południowych dostał się Hohenzollernom. I stało się to, co się stać musiało. Zjawiło się gromowe »przypomnienie«, że czas wreszcie, po długich wiekach, gonić »teraźniejszość« warunków bytu. A teraźniejszość ta, wraz ze smutnym zbiegiem okoliczności politycznych, podsuwała sama przez się, nie dając czasu na obmyślanie miejscowych środków oryginalnych — *remedium,* jakgdyby ze wspomnień średniowiecznych Polski zaczerpnięte, a jednak jakżeż już obce, jakżeż tragiczne...

W Łodzi, w Księgach Wieczystych tego miasta, spotykamy się poraz pierwszy z Niemcami,

---

[1]) Por. wyżej przyp. 2, str. 212.

na razie jako z przybyszami, a wnet potem jako z kolonistami — z »panami« tych stron — w r. 1799. Jednocześnie, bo w wielkiej dobie Napoleońskiej, Kościół i szlachta, rozporządzając obszarami puszczy mało zaludnionej, a pragnąc podnieść jej dochodowość, bo nie czas już było na »łowy z krogulce«, sprowadzają, jak na zawołanie, całe rzesze kolonistów niemieckich z Prus pobliskich, a nawet z Westfalii. Na parusetwłókowym obszarze leśnym samego Będonia, nie licząc borów okolicznych, powstało tymi czasy kilkanaście kolonii niemieckich, jak Andrespol, Andrzejów, Jordanów, Eufeminów, Hulanka, Justynów, Janówka, Ludwików i t. d. A każdy prawie kolonista był tkaczem [1]). Powstawały nowe osady i huty (w Będoniu około 1824 r. [2]), palono i karczowano lasy, a wszystko nagle, gwałtownie, jakby na wyścigi z czasem...

W chwili, kiedy książę-minister Ksawery Drucki-Lubecki popierać jął gorliwie przemysł krajowy, w dobie, poprzedzającej powstanie listopadowe, Łódź miała już nietylko grunt pod nogami, ale i okolicę, mogącą jej dostarczać na zawołanie zdolnej, tkackiej z ojca i dziada, ludności fabrycznej. Przyszłość była zapewniona. Czyż mamy, żyjąc jeszcze w czasach formo-

---

[1]) Tradycye będońskie (Opowiadania sędziwego już w r. 1880 gajowego Błażeja).

[2]) »Słownik Geograficzny« (Będoń).

wania się Łodzi nowożytnej, przepowiadać jej przyszłość dalszą? Losy kolonizacyi niemieckiej w Polsce całej przesądzają ją. Będzie ona — bo być musi — polską.

Oto geneza »korzystnego położenia« miasteczka, którego wzrost fenomenalny przedstawia się w oświetleniu dziejów niby »procent« nagle zrealizowany, procent składany od »gniazd krogulczych i szmerów«, od bogatej natury dziewiczej, niewyzyskiwanej wcale niemal przez człowieka aż do czasów najświeższej daty.

Jeszcze jednak w roku 1843, pomimo widocznego już wtedy rozwoju Łodzi, Baliński i Lipiński [1]), pisząc o niej, nadmieniają, że choć tam w r. 1459 miała ona dostarczyć jednego zbrojnego piechura na wojnę pruską, choć Jan Olbracht ustanowił w niej w r. 1496 na prośby biskupa targi tygodniowe we wtorki, a jarmarki na uroczystość Narodzenia N. M. P. i na św. Wojciech; choć wreszcie, w r. 1553, Zygmunt August, spełniając życzenia biskupie, przeniósł jarmarki na dni inne, a nadto dodał trzeci — na św. Tomasz — »Łódź pozostała lichą, drewnianą mieściną, od samych chrześcijan zamieszkałą«.

Była to jeszcze żyjąca, jak widać, w literaturze, tradycya i opinia o dawnej Łodzi staro-

---

[1]) »Starożytna Polska, pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym opisana«. Warszawa 1843, t. I, str. 271.

polskiej. Jakąż bo była ona istotnie jeszcze na schyłku istnienia Rzpltej? Była nie o wiele pono dostojniejszą, niż za księdza Śliwki, co czasy Kazimierza Wielkiego dobrze pamiętał. Świadczą o tem różnice formalne raczej, niż istotne. Zamiast kanonika, trzymali wtedy »miasteczko« z kolei w dzierżawie protegowani stolicy biskupiej kujawskiej, pp. Jan Gozdowski [1]), Józef Chojecki [2]), a wreszcie Imć pan Kazimierz Dawidowicz, »dzierżawca miasta Łodzi y klucza łodzkiego« [3]), który łączył nadto, jak i jego poprzednicy, z dostojeństwem tym, oraz z mieszkaniem »we dworze« (Stara Łódź), godność wójta miejscowego z ramienia biskupa-dziedzica, a raczej »Nayiaśnieyszey Infuły Jaśnie Wielmożnego księdza-biskupa, Pana Miłościwego miasta Łodzi« [4]). Aby zaś skromny urząd wójtowski nie uwłaczał takiej personie, zwano go »Landwójtem«, zwłaszcza, że panowaniu jego nietylko miasteczko, ale i cały »klucz łódzki« podlegał. Połączenie obu urzędów: dzierżawcy i wójta w jednej osobie, było już wynikiem naturalnym położenia ogólnego p o d d a n y c h, świadczącym nadto, że »miasteczko« nie przestało *de facto* być wioską.

---

[1]) »Księgi Wieczyste obywatelstwa łódzkiego« fol. 2 etc.
[2]) Tamże str. 27 etc.
[3]) Tamże str. 30, 82.
[4]) Tamże *passim*.

Dawny sołtys, jak ów Janusz za księdza Śliwki, był niby wójtem-przedstawicielem autonomii miejscowej, wypływającej z urządzeń prawa niemieckiego. W chwili, kiedy Łódź została formalnie miasteczkiem, miejsce sołtysa zająć tam musiał »wójt«, a miejsce ławników — »rajcowie«. Tytularne te zmiany mogły były o tyle tylko stać się rzeczywistemi, o ileby wioska stała się była istotnie miastem, któreby powagą swoją, zamożnością, ruchem przemysłowym, czy handlowym, potrafiło w końcu XV-go i w XVI-em stuleciu, t. j. w dobie utrwalenia się stanowczej przewagi dziedziców nad poddanymi — ocalić miejskie, autonomiczne przywileje swoje. Miasta prawdziwe, jakkolwiek uciśnione przez klasę panującą, ocaliły je w znacznej mierze; miasteczka i wioski uległy — boć inaczej być nie mogło. Do tych ostatnich właśnie należała i »Łodzia«. Dzierżawca, *alter ego* dziedzica, stał się zarazem jej wójtem, mieszkał »we dworze«, »Xięgi Wieczyste obywatelstwa łódzkiego« kazał tam sobie nosić do rewizyi i podpisu [1]), a »burmistrz-sędzia«, niby cień chiński dawnego sołtysa-wójta i strzeżonego przezeń samorządu miasteczka, stał się właściwie jego pachołkiem. Nad »dzierżawcą-Landwoytem« przygodnie, z fantazyi może, a niekiedy i z potrzeby, wykonywał nadzór, zwła-

[1]) Tamże str. 63.

szcza, gdy na miejscu bywał, sam biskup-dziedzic, który — jak np. Antoni Ostrowski, co się, wedle tradycyi, łowami w puszczy, w kniejach będońskich zabawiał — wyręczał się tam przy sposobności i innymi ludźmi. I tak, w r. 1774 wykonywa przygodnie w Łodzi prawa zwierzchnie »podsędek y Żupnik województwa Łęczyckiego«, Wojciech Grzymała Ostrowski, brat biskupa, który do niego pisał: »słynie WMM. Pana roztropność *per universum*, że nawet Mieszczanie Moi Łódcy między Sądem Dworskim (Landwójta) y Swoim (burmistrza) chcą mieć Jego pośrednictwo« [1]... W dziesięć lat później, w r. 1784, występuje tam w roli podobnej starosta wolborski, Kazimierz Kaziewicz [2].

W sprawach życia codziennego dbało jednak »miasteczko« o dostojność swoją. Mieszczanie pędzili gorzałkę, warzyli piwo, gospodarzyli po wiejsku, dokonywali ożywionych tranzakcyi, sprzedając jeden drugiemu »lechy gruntu«, »bycki« i »jałoski« i czynili liczne a hojne zapisy na rzecz kościoła łódzkiego [3]. Troska o zabezpieczenie sobie w ten sposób żywota wiecznego odgrywała w ich życiu rolę tem większą, ile że cnota nie zawsze jakoś dopisywała im w wę-

---

[1]) Tamże str. 10—18.

[2]) Tamże str. 96.

[3]) Tamże *passim*.

drówce doczesnej. Najsilniejszą była ona, jak się zdaje, w punkcie szóstego przykazania, bo ani bójki krwawe, ani morderstwa, ani awantury pijackie, ani nawet podstępne żonobójstwo, dokonane przez jednego z mieszczan w r. 1786 [1]), nie potrafiły wstrząsnąć tak głęboko łódzkim urzędem sprawiedliwości, jak przygoda romantycznej wdowy po Piotrze, pani Zofii Moczygębiny, którą — *nomen omen* — sławetny Antoni Gozdowski, mając wódką u Żyda częstować, tamże do »nieprzystoynego uczynku« skłonił. Przypłacił to p. Antoni srogą grzywną pieniężną, a pani Moczygębina plagą »Rozg 90, N-ro dziewięćdziesiąt według przykazu Dworu« [2]). »Dwór« dbał bowiem o przystojność miasteczka i załatwił sprawę krótko a węzłowato, nie żądając nawet przysiąg w rodzaju: »jako ja..., tak mnie Boże skarz y Liścia na drzewie, Piasku na ziemi, Gwiazd na niebie, Piasku w morzu, Kropel wody, Niech mnie to wszystko potłumi« [3])... — boć zresztą »Córka... Arendarza, przez Drzwi spoyrzawszy, widziała co się Działo«...

Dwór dbał nadto i o dostojeństwo Łodzi. *Exemplum.* Dnia 26 czerwca 1775 roku ze wszystkich »Ulic« miasteczka, a więc z Gościńca Sre-

---

[1]) Tamże str. 132, 138.
[2]) Tamże str. 77.
[3]) Tamże, typowa rota przysięgi.

bierskiego, od Źródeł Starowiejskich, od Placu, na którym stodoła stoi, od Ogrodu na stajniach, od Ścieżki Ogrodowej, Gościńca Walińskiego, z Opłotków i z Potyłków, z Ulicy Nadrzecznej, od Granic Kapitulnych i Bałuckich, od Ogrodu Durajowskiego i Rzeki Starowiejskiej, od Drogi Lutomierskiej, Łaskowej, Stawu, Gościńca Brzezińskiego, od Dróżki Ciemnej, Ogrodu na Lasku, Gaju i Starej Dróżki Lamusowskiej[1]) — zewsząd, ze wszystkich arteryi »wielkomiejskich«, które jeszcze ulicy Piotrkowskiej (przedtem szosy Zgiersko-Kaliskiej[2]) nie przeczuwały — zbiegli się »Ulicą do Kościoła« na Rynek patrycyusze późniejszego Manchester'u, których akt urzędowy godną nazwą »pospólstwa« mianuje i dokonali tam wyborów na urzędy miejskie:

»*In Nomine Domini. Sit nomen Domini benedictum Nunc et usque in Saeculum.* Dnia 26 Czerwca Roku 1775-go Obrany iest od Pospolstwa całego y od Dworu potwierdzony przez W. Imci Pana Józefa Choieckiego a Dzierżawcy Trzechletniego od J. W. Imci Xięza Antoniego Ostrowskiego Biskupa Kujawskiego y Pomorskiego:

Woyt Sławetny Jan Gozdowski
Burmistrz Alexy Drewnowicz

---

[1]) Nomenklatury, zebrane z »Ksiąg Wieczystych« (tamże) *passim*.

[2]) »Słownik Geograficzny« (Łódź).

Rayca pierwszy Paweł Suwalski
Rayca drugi Stanisław Pławski
Rayca trzeci Jakub Kryzłowczyk
Rayca czwarty Jakub Zarzecki

Landwoytowskich Rayców:
Rayca Pierwszy Jan Maniński
Rayca Drugi Jan Jezewicz
Pisarz Mieyski Roch Józef Ławiński
Przysięgły Łodzki mp.« [1]).

Czyż mamy snuć dalej obraz »miasteczka«?... Nie zmieniłoby to w niczem barwy jego, ani wyrazu... W roku 1806, wraz z powstaniem Księstwa Warszawskiego, stała się Łódź *de nomine* miastem rządowem. Posiadała już wtedy 767 mieszkańców i 106 domów [2]). Wkrótce potem rozpoczęto regulacyę granic miejskich, zaniedbaną, bo i zbyteczną od wieków. Dnia 7 czerwca 1808 r., jeszcze przy udziale Kapituły Kujawskiej, przeprowadzono granice z Radogoszczem i z Retkinią, na podstawie aktów z r. 1597 [3]).

Zmiany polityczne, w stosunku do Łodzi formalne raczej na razie, niż rzeczywiste, nie odbiły się też dość rychło na fizyognomii jej życia

---

[1]) »Księgi Wieczyste obywatelstwa łódzkiego« str. 27.
[2]) Wedle lustracyi, dokonanej przez rząd pruski (»Dziennik Łódzki« z 1885 r. Nr. 1).
[3]) »Księgi Wieczyste« fol. (nlb.) 183—184.

wewnętrznego. Obraz tego życia z czasów Księstwa Warszawskiego, rozwijający się pod skrzydłami już nie »Landwójta«, lecz »Magistratu«, nie różnił się niczem właściwie od tego, co było dawniej. Zaznaczyło się to nawet i w takim drobnym szczególe zewnętrznym, że jeden i ten sam wolumin aktów, w skórę oprawny, zawiera — niby jednę całość — zarówno dawne, z czasów Rzpltej, »Xięgi Wieczyste Obywatelstwa łodzkiego«, jak i późniejsze wpisy magistrackie po rok 1822. Od tego to czasu, jak zaznaczyliśmy wyżej [1]), rozpoczęła się w rozwoju Łodzi era nowa. I ona jednak zarysowała się w całej pełni dopiero w połowie XIX wieku.

Jeżeli Łódź, dzięki zbiegowi różnych okoliczności, wynurzyła się tak świetnie a późno z dawnego »niebytu«, to okolica »miasteczka«, puszczańskie jego środowisko, przygotowywało się do nowej swej roli i do nieoczekiwanych splendorów swej stolicy, dłużej jeszcze, pomimo rączej inwazyi kolonistów niemieckich.

Na razie różnica polegała jedynie na tem, że — np. w Będoniu — siedzieli w XVI, XVII i XVIII stuleciu, zamiast Przybysława i jego sąsiadów, inni panowie Będońscy. W roku 1576 współwłaścicielem tej wioski był p. Wojciech [2]),

---

[1]) Por. wyżej przyp. 1, str. 211.

[2]) Adama Bonieckiego »Herbarz Polski« t. I, str. 146.

w roku 1628 p. Andrzej, pisarz grodzki włodzimierski, a potem synowie jego: Jan, Paweł i Wojciech. Trzymali się tam oni trwale od prawieku aż do samego schyłku XVIII stulecia [1], wzmocnieni na szkatule i na gloryi rodzinnej w osobie Michała, syna Wojciecha i Wiktoryi z Sagatowskich, pisarza, a po roku 1769 regenta sądów marszałkowskich [2]. Glorya ta była jednak śpiewem łabędzim starych Nałęczów w puszczy podłódzkiej. Nowe prądy, nowe czasy i ludzie nowi strzaskali grunt odwieczny pod ich omszałą tarczą herbową. Pan Michał Będoński, dziedzic wyłączny gniazda rodzinnego, zaznaczywszy się, jako zwolennik *recentiorum*, małżeństwem z Katarzyną Sztermerówną, opuścił knieje rodowe. Nie bacząc na staropolski dworzec modrzewiowy, zbudowany w cieniu lip starych w roku 1752 w odwiecznej wiosce rodzinnej nieopodal rzeczki Miazgi i »Jazów« *(obstacula)* na niej, a uświęcony pięknym na belce napisem: »Boże łaskawy, dobrotliwy Panie, błogosław ludziom Twoim to mieszkanie« [3]; nie bacząc na prochy przodków, spoczywające u stóp modrzewiowego Kościołka w Mileszkach — on, pierwszy może pan możny

[1]) Tamże j w.

[2]) Tamże j. w.

[3]) Zabytek, przechowany podziśdzień w t. zw. Nowym Dworze w Będoniu.

na Będoniu, sprzedał go w r. 1791 Trembeckim i, rozwiódłszy się z żoną, porzucił progi domowe, aby zamieszkać w Czyszkowie, w Ziemi Czerskiej [1]. — Choć słynna do niedawna jeszcze z tradycyi pani Trembecka, właścicielka Będonia, niewiasta energii mocarnej, nietylko zajmowała się (w czasach pruskich) zamykaniem »landratów« do chlewa, ale i krzewiła gorliwie kolonizacyę po lasach [2], puszcza nie zaraz jeszcze utracić tam miała swój dawny charakter odwieczny.

Wedle wspomnień starego sługi i gajowego nowych właścicieli wioski, wołyniaka Teodora Sawickiego, który około r. 1850 sięgał pamięcią w czasy, kiedy biskup Ostrowski łowami w kniejach będońskich się bawił, kiedy niedźwiedź ostatni padł w nich, kulą rażony, Będoń przedstawiał się wtedy, jako »Lasy i owies dla psów na ospę — ono tolko«. »Psiarnię po prymasie Ostrowskim« († 1784 [3]) zniesiono tam istotnie dopiero przed sześćdziesięciu kilku laty. Ostrowski, który, jak wiadomo, przed wstąpieniem w r. 1778 na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, piastował od

---

[1]) Adama Bonieckiego »Herbarz Polski« I, 146.

[2]) Tradycye Będońskie (Opowiad. wnuczki pani Trembeckiej, a długoletniej po r. 1845 właścicielki Będonia, Joanny z Sucheckich Koźmińskiej, zmarłej tamże w r. 1904).

[3]) Tradycye Będońskie (Opowiad. Karola Koźmińskiego, męża ś. p. Joanny z Sucheckich. Por. wyżej przyp. 2)

roku 1762 infułę kujawską, dzierżawił najwidoczniej łowy w tych kniejach od panów Będońskich, a na szczupłych gruntach uprawnych produkował owies na ospę dla sfory [1]). Opłata z tenuty takiej mogła nie odpowiadać istotnie wymaganiom pana Michała! Potomek starych Nałęczów nie przeczuwał czasów nowych, stojąc u samego ich progu. Był to jednak dopiero próg raczej dziejowy, aniżeli taki, na jaki jednostki zwykły się oglądać. Pomimo działalności kolonizacyjnej następczyni Michała Będońskiego, pani Trembeckiej, puszcza pozostała bowiem w tym stanie, że jeszcze za jej wnuczki, a długoletniej właścicielki Będonia od roku 1845, Joanny z Sucheckich, toczył się proces z rządem, prowadzony około roku 1850 przez męża jej, Karola Koźmińskiego, o granice w obszarze kilkuset włók lasu od strony Kurowic i Gałkowa [2]).

W Stokach rozrośli się na przełomie XVI-go wieku z XVII-ym panowie Stokowscy, najbliżsi bywalcy i sąsiedzi Łodzi [3]). Inne wioski, o ile nie stały się kościelnemi, a potem rządowemi, pozmieniały przeważnie dawnych właścicieli. Tło wszędzie jednak naokół i na długo pozostawało

---

[1]) Por. wyżej przyp. 2 i 3, str. 226.

[2]) Por. wyżej przyp. 3, str. 226.

[3]) A. Pawińskiego »Wielkopolska« (w »Źródłach Dziejowych«) II.

bez zmiany. Pamięć przeszłości, pomimo, że »teraźniejszość« przez wieki całe, bo aż do początków XIX stulecia, była jej wiernym odbiciem i ciągiem dalszym, zatarła się zupełnie wśród Łodzian; pozostało z niej jedynie poczucie, jakby odwiecznej wyłączności bytu, panowania i siły twórczej Kościoła, tej instytucyi, która cienkim — to prawda — lecz jedynym nalotem kultury obdarzyła puszczę i »miasteczko«...

Istniała do niedawna, nim jeszcze dym kominów fabrycznych zdołał przesłonić tam całkowicie pamięć rzeczy minionych, ciekawa, bo znamienna legenda łódzka. Posłuchajmy jej opowieści, odtworzonej na podstawie poematu Wiktora Dłużniewskiego [1].

W gąszczu leśnym była licha mieścina z kościołkiem ubogim. Miała właściciela, a był nim Paweł *Łodzia* Kubowicz [2]) — stąd nazwa miasteczka — potomek Kuby Mazura, który niegdyś cesarzowi Zygmuntowi przywiózł *łodzią* pierścień przez Dunaj. A był to pierścień Zawiszy Czarnego, wodza wojsk cesarskich, po którego Zygmunt wyprawił ową *łódkę* podczas bitwy z Turkami, aby się ratował. Rycerz zginął jednak i tylko pierścień swój zdołał odesłać panu

---

[1]) Por. wyżej przyp. 1. str. 151.

[2]) Spisy szlachty nie wykazują nazwiska tego pod herbem Łodzia.

swemu. Stąd herb Kuby Mazura u potomka jego, Pawła Kubowicza. Paweł był chorążym w czasach Dymitra i Maryny, a był wojakiem wielce zasłużonym. Asystował Żółkiewskiemu w Warszawie i pierwszy złożył zdobycz swoją u stóp tronu. Słynął i za Batorego. Żona odumarła go w rok po ślubie, zostawiając córkę, Urszulę. Wychowywała ją siostra Kubowicza, żona Jakóba Rogowskiego (Rogi pod Łodzią), który Łódź odeń dzierżawił. Gdy Kubowicz walczył, podrosły i córka jego Urszula i córka Rogowskich, która wyszła za sąsiada, Jacka, pijaka, rozpustnika i zawadyakę. Działy się sceny okropne, to też Rogowski rozpił się za przykładem zięcia, pani Rogowska umarła, a nieszczęście Urszuli wzrastało. Modliła się ona gorąco w kościele łódzkim o zdrowie nieobecnego ojca, gdy znany jej młodzian, Podstolic, zapałał do niej afektem serdecznym, wbrew woli tych, coby jej mieniem owładnąć chcieli. A Jacek miał już wtedy syna, Włodzia. Niepokoi się więc i powiada do teścia: »Jak się ryba wyśliźnie z Łodzią, tylko na Rogach osiądzie Włodzio«. Obaj stawiają tedy przeszkody energiczne małżeństwu Urszuli. Kiedy podstolic zajeżdża z orszakiem, zastaje obu opiekunów Urszuli pijanych. Zebrawszy poddanych, rozbroili oni gościa i pobili go tak ciężko, że umarł niebawem. Wkrótce potem zawitała śmierć i do dworu w Rogach, zabierając Urszulę.

W kościele łódzkim nabożeństwo. Kapłan wzywa Boga o mściciela: »Pawle, ojcze Urszuli, jeśli żyjesz, gdzie się kryjesz?»... Jak na zawołanie, zjawia się postać, niby grobowa i prawi: »Boże, połącz mnie z córką — błagam w pokorze. Jam myślał, że trafię na wesele, a znajduję ją martwą«! Był to Paweł Kubowicz, który po 19 latach niewoli u Turków, wrócił do kraju. Zemdlał u wrót kościelnych. Dostrzegli go tam Rogowski z Jackiem, a i on ich poznał i do zemsty gotować się zaczął.

Tam, gdzie w połowie XIX wieku stała plebania łódzka, wznosił się niegdyś dwór dziedzica Łodzi, otoczony fosą. Po powrocie Kubowicza, a było to w r. 1633, miało tam miejsce pamiętne zdarzenie. Chorąży Paweł Kubowicz, wpatrzony w portrety antenatów, wypowiada monolog: »Komuż powierzę straż przy naszym grobie? Kto o nas wspomni, odda uścisk bratni w przedśmiertnej chwili? Nikt, oprócz kapłana i krom Kościoła. Niechże Kościół za to, że nas oddaje miłosierdziu Pana, rozrządza mieniem — doczesną zapłatą«. Postanawia zapisać Łódź, zamiast krewnym, Kościołowi: »za chciwość krewnych, za grzechy i za śmierć Urszuli«... Pada strzał, okno się wali, a Chorąży, trafiony w głowę, kona. Zbir, jak huragan, zjawia się w komnacie, chwyta — zostawiając wszystko — papiery i ucieka. Posądzony o zbrodnię Jacek, dowodzi,

że sprawcą jej był jakiś łyk miejski. Uwolniony od odpowiedzialności, raduje się z Rogowskim, że wreszcie Łódź zagarną. Aliści okazuje się, że testament już oblatowany na rzecz Kościoła. Jacek wypija dzban okowity i pali się, a Rogowski — gdzieś, między Łodzią a Zgierzem — zostaje pustelnikiem. Po trzydziestu latach odnajduje go tam Włodzio, jako żebraka i pokutnika.

Na treść tej opowieści złożyły się niechybnie, i to w znacznej mierze, tragiczne wspomnienia rodzinne któregoś z biskupich dzierżawców Łodzi. Czyliż jednak legenda ta nie jest, jak tyle innych, prawdziwą wonią przeszłości?...

SZÓSTY KONGRES

MIĘDZYNARODOWEGO INSTYTUTU SOCYOLOGII W PARYZU,

ODBYTY W LONDYNIE W LIPCU 1906 ROKU.

Dzięki staraniom socyologa francuskiego, René Worms'a, oraz współdziałaniu najwybitniejszych przedstawicieli studyów socyologicznych w Europie i w Ameryce, a między innymi profesora Ludwika Gumplowicza z Gracu i prof. Lester Ward'a z Waszyngtonu, powstał w Paryżu na schyłku ubiegłego stulecia Instytut Międzynarodowy Socyologii, zorganizowany w celu skupienia rozstrzelonych dawniej prac na tem polu.

Działalność Instytutu, rozwijającego się nader szybko i pomyślnie, polega przedewszystkiem na ogłaszaniu prac członków swoich w wydawnictwie specyalnem, noszącem miano *Annales de l'Institut International de sociologie*, a wychodzącem w Paryżu, oraz na organizowaniu zjazdów międzynarodowych, podejmowanych w celu wzajemnej wymiany myśli i krytyki prac, przyjętych przez zarząd Instytutu do druku w rocznikach.

Zarząd Instytutu, wybierany corocznie z po-

śród jego członków, stanowili w r. 1906 pp.: Emil Levasseur, profesor Collège de France, jako przewodniczący, a Eugeniusz von Boehm-Bawerk, były austryacki minister finansów, senator Eduardo Sanz y Escartin z Madrytu, Aleksander Czuprow, profesor honorowy uniwersytetu moskiewskiego, oraz Carrol D. Wright, prezydent Clark College w Worcester (Massachusets), jako wiceprezydenci [1]). Sekretarzem stałym zarządu a sekretarzem jeneralnym Instytutu jest jeden z jego założycieli, p. René Worms, redaktor paryskiej *Revue Internationale de sociologie.* Zjazdy członków Instytutu (t. zw. kongresy międzynarodowe) odbywały się zazwyczaj w jego siedzibie, w Paryżu.

Kongres roku 1906-go przeniesiono wyjątkowo, na zaproszenie angielskiego Towarzystwa socyologów, *Sociological Society*, do Londynu, gdzie uniwersytet miejscowy (właściwie instytucya państwowych komisyi egzaminacyjnych angielskich), *University of London*, udzielił mu gościny w *Jehanghir Hall* wspaniałej siedziby swojej, położonej w arystokratycznej dzielnicy *(South Kensington)* olbrzymiego miasta. Kongres, rozpoczęty

[1]) W r. b. (1907) zarząd ten stanowią: Maksym Kowalewskij, jako prezes; E. Delbet, J. S. Nicholson, G. Sergi i Wilhelm Wundt, jako wice-prezydenci, oraz René Worms, jako stały sekretarz generalny.

dnia 3 lipca, a zamknięty po czterodniowej kadencyi dnia 6 t. m., zgromadził liczne grono uczestników, zarówno z pośród członków Instytutu, jako też i gości. W otwarciu uczestniczyło około stu osób, a obrady toczyły się zazwyczaj w obecności 50—60 uczestników obojga płci.

Jakkolwiek omawianemu kongresowi socyologów starano się nadać już z góry charakter czysto naukowy, jednak wada chroniczna kongresów: przyśpieszone tempo odczytów i obrad, znużenie uczestników, potęgujące się w nieustannym szeregu przyjęć i bankietów, wreszcie atmosfera salonowa, podniesiona w Anglii do zenitu — wszystko to razem sprawiło, że kongres nasz stał się, jak wszystkie inne, zebraniem bardziej towarzyskiem, niż naukowem. Obecność strojnych dam nie dawała zapomnieć ani na chwilę, że się jest w salonie — a sam przedmiot wykładów i obrad: najrozmaitsze pomysły, wygłaszane na temat konjunktur socyologicznych, ślizkich najczęściej w założeniu, a elastycznych w dyalektyce wywodów, zdawał się, z małymi wyjątkami, iść w parze z gładką atmosferą elegancyi i »dobrego tonu«.

Byłbym może za surowy, poprzestając na takim sądzie o rzeczy. Inna, dodatnia strona kongresów: możność i łatwość nawiązywania stosunków międzynarodowych w sferze naukowej, panowała i tutaj w nader szerokiej mie-

rze, a rozmowy poufne, prowadzone w małych grupach osób, wywarły na mnie jaknajkorzystniejsze wrażenie.

We wtorek, dnia 3 lipca, o godzinie 4½ po południu, otworzył zebranie prof. Levasseur, otoczony gronem kilkunastu członków Instytutu, z pośród których godzi się wymienić pp. lorda Avebury, prezesa londyńskiej *Sociological Society;* Limousin'a, prezesa paryskiej *Société de Sociologie;* Lester Ward'a, prezesa *American Sociological Society;* barona Rafaela Garofalo z Wenecyi; prof. A. D. Xénopol'a z Jassów w Rumunii; prof. Ludwika Steina z Bernu; prof. Toenniesa z Kilonii i wielu innych. Rosya była reprezentowana przez pp. J. Nowikowa z Odesy, N. Abrikosowa z Moskwy i S. Halpérine'a z Ekaterynosławia. Z Polaków, obok wyżej podpisanego, bywał na obradach kongresu filozof, dr. Władysław Heinrich, prof. uniw. Jag., przebywający, po powrocie z Ameryki, od kilku miesięcy w Londynie. Prof. Levasseur, nakreśliwszy w krótkości dzieje powstania i rozwoju Instytutu, wypowiedział powitanie pod adresem zgromadzonych narodowości, poczem wygłosił odczyt, poświęcony określeniu socyologii jako umiejętności, której zadaniem jest z jednej strony badanie samodzielne zjawisk ogólno-ludzkich; z drugiej zaś synteza wyników, osiągniętych przez nauki społeczne. Uczony profesor w odczycie, wypowiedzianym

z iście francuską lekkością formy i »powiewnością« spostrzeżeń, podkreślił harmonię, istniejącą pomiędzy olbrzymią komplikacyą zjawisk a sposobem i kategoryami myślenia człowieka, oraz wyznał, że najnowsza tendencya studyów socyologicznych, skierowana ku t. zw. psychologii tłumu, posiada w nim połowicznego tylko zwolennika, bo — jak zauważył — nie pojmuje jej w całej rozciągłości. Nie pojmując jej jednak, schyla głowę przed najnowszymi a głębokimi wysiłkami myśli ludzkiej, i powtarza za owczarzem z bajki słowa: »Nie rozumiem cudów tego świata, ale go podziwiam«.

W końcu przewodniczący zauważył, że kongres obecny poświęcony będzie wyłącznie przedmiotowi walk społecznych *(luttes sociales)* i zaprosił zebranych na kongres następny w r. 1909, do Bernu. Tematem jego odczytów i obrad będzie kwestya solidarności społecznej.

Po Levasseurze zabrał głos lord Avebury i mówił o pauperyzmie angielskim, jak prawdziwy Anglik-optymista, wierzący silnie w potęgę cywilizacyi i bogactw swego kraju — w potęgę dobrej woli i praktyczności społecznej, której bez przewrotów uda się rozwiązać zagadnienia i zabliźnić rany socyalne, będące smutnym przeżytkiem czasów błędnej organizacyi społecznej, braku stowarzyszeń, asocyacyi i t. d. Optymizm stanowił wogóle, niemal bez wyjątku,

istną nić czerwoną, wijącą się przez wszystkie odczyty i dyskusye kongresu. Nić ta nabierała tu i owdzie różnych odcieni, zależnie od tematu, a nadewszystko od narodowości prelegenta, ale pełnia wiary w stopniowe doskonalenie się ludzkości, pełnia ufności w potęgę środków cywilizacyjnych, nie dawała ani na chwilę przystępu zwątpieniu.

Szczęśliwe, wesołe ludy świata cywilizowanego zdawały się przez usta swoich przedstawicieli składać świadectwo własnemu rozwojowi, postępowi i dążeniu do doskonałości. Jedno było w tem jednak uderzające: wymowny socyolog rosyjski, p. Nowikow, jak gdyby odczuł i przewidział ów nastrój z góry, postanowił wziąć istny rekord w różowem zapatrywaniu się na świat i na rozwój ludzkości — w kreśleniu iście niebiańskich fantazmagoryi na temat przyszłych ustrojów społecznych, czem w wielokrotnych — nieraz mistrzowskich w dyalektyce — przemówieniach swoich entuzyazmował nieustannie obecne na kongresie damy. Przeciwnikiem jego typowym był Lester Ward z Ameryki, człowiek seryo, myśliciel głęboki, zrównoważony i wnoszący do odczytów oraz do dyskusyi pierwiastek trzeźwości męskiej, nie dającej się unosić pozorom. Nie znaczy to, aby Ward był pesymistą. Nie! To człowiek silnej wiary w postęp ludzkości, to mąż wielkiej wiedzy i kultury,

wielkiej sumienności i jakby kapłańskiego oddania się studyom umiłowanym. Niema w nim lekkomyślności, jest natomiast troska i obawa, aby to, co umysł ludzki zgłębia jako nauki społeczne, było istotnie, nie zaś pozornie tylko żywotną krynicą postępu i udoskonalenia...

Zestawienie obu tych typów: Nowikowa i Warda, uśmiechających się nawzajem z dyskretną ironią podczas przemówień własnych — to istne uosobienie syntezy dwu kierunków: pięknych pozorów i szarej rzeczywistości, które się na kongresie, w głębi dyskusyi i odczytów, a pod pokrywką uprzejmości i »flirtu« zwalczały nawzajem. Sam jednak fakt tej walki, sama możliwość podobnych przeciwieństw ultra podmiotowych w areopagu uczonych, myślicieli i specyalistów, świadczyły chyba w sposób niezwykle wymowny o tem, że temu, co się »socyologią« zowie, daleko jeszcze do miana nauki nietylko ścisłej, ale choćby wyzwolonej, na poły, jak np. historya, ekonomia lub nauki prawne. Po przemówieniu lorda Avebury'ego zabrał głos w imieniu *University of London* sir Arthur Rücker, informując zebranych o prowadzonem z energią i z zapałem przez tę instytucyę popieraniu studyów nad socyologią w formie kursów, wykładów, odczytów i dyskusyi nietylko w Londynie, ale i w całej Anglii.

Pierwsze to posiedzenie kongresu zakończył

sekretarz jeneralny, p. René Worms, przemówieniem, w którem obok sprawozdania z czynności Instytutu, zespolonego już z całym światem, obok wzmianki o nowomianowanych członkach, a wreszcie — słów uprzejmości dla Anglii za podjęcie idei, głoszonych niegdyś przez Comte'a, i przyczynienie się przez to najbardziej do rozwoju socyologii w świecie cywilizowanym, znalazł się zwrot pod adresem ludzkości. Jedni socyologowie twierdzą, że uprawiana przez nich umiejętność winna mieć przedewszystkiem zastosowanie praktyczne; inni, że winna być teoryą. Worms nie wątpi, że tak czy owak — ludzkość dzięki wysiłkom myśli swych najlepszych synów będzie coraz szczęśliwsza, coraz lepsza, coraz wznioślejsza...

Wieczorem, w przybranej kwiatami Jehanghir Hall, przy dźwiękach orkiestry *Scots guards*, odbył się raut na cześć uczestników kongresu, przyjmowanych u wejścia przez sir Arthura Rückera, naczelnika *(principal)* uniwersytetu. Sir, przybrany w togę i biret, czynił honory domu z wielką gościnnością, a zebrani spędzili kilka godzin na bliższem zapoznawaniu się i ożywionej rozmowie.

Kongres rozpoczął się właściwie nazajutrz, dnia 4 lipca, o godzinie 10½ zrana, przyczem p. Levasseur oddał prezydyum bar. Garofalo z Wenecyi. Według programu, pp. Ludwik Gum-

plowicz, Raoul de la Grasserie, Ward, Nowikow i Halpérine przemawiać mieli na temat ogólnej charakterystyki walk społecznych.

Ponieważ dwaj pierwsi uczeni do Londynu nie przybyli, odczytano streszczenia ich referatów. Sumaryusz zasadniczych poglądów socyologicznych prof. Gumplowicza, którego zasługi i imię są w Anglii i we Francyi bardzo wysoko cenione, doczekał się szczerych i gorących oklasków ze strony kongresu. Nie będę powtarzał tu jego treści, bo dzieła czcigodnego naszego rodaka, który imię polskie poza granicami kraju okrywa chwałą, cieszą się u nas w kołach inteligentnych czytelników zasłużonem uznaniem i powagą. Miło mi jednak stwierdzić na tem miejscu, że prawdziwa, głęboka zasługa naszego uczonego znalazła na kongresie, mimo jego nieobecności, wyraz szczerego uznania.

Szereg referatów rozpoczął p. Nowikow od skondensowanego wywodu argumentów dyalektycznych przeciw uczonym stronnikom tych kierunków w socyologii, które, opierając się na charakterze zjawisk ze sfery świata organicznego, zdają się stawiać na wysokości aksyomatu twierdzenie, że morderstwa gromadne to warunek niezbędny postępu i rozwoju społeczeństw ludzkich. P. Nowikow walkę o byt zamyka jedynie i wyłącznie w granicach walki człowieka z naturą: najpierw o życie, potem

o bogactwo, nie zaś — z własnym gatunkiem. Ślizkość tego wywodu, opartego na argumencie, że zwierzęta jednego gatunku nie zwalczają się nawzajem, uderza tu w oczy, albowiem, jak słusznie zauważył potem jeden z oponentów, prof. Ward, walka lub zgoda wilka z wilkiem zależy jedynie od okoliczności życiowych, w jakich się owe wilki w danym momencie znajdują. P. Nowikow zakończył swój wywód interesującą tezą dyalektyczną, polegającą na zaznaczeniu, że ponieważ: *a)* stworzenia niższe nie zwalczają się nawzajem, przeto i *b)* człowiek musiał być niegdyś podobnie usposobiony; *c)* zdolność ludzi do wzajemnego zwalczania się sprzyjała wprawdzie przez czas pewien rozwojowi i postępowi ludzkości, ale *d)* była ona, jest i będzie jedynie fazą przejściową rozwoju bytu gromadnego ludzkości. Optymistyczny ten wywód zamknął prelegent tendencyą moralną, że krzywda cudza nie tuczy, że Machiavelli był złym politykiem, że wojna była, jest i będzie błędem psychicznym ludzkości, jej stanem patologicznym, który minąć musi, a miejsce jej zajmie asocyacya, która wypełni przyszłość. Ludzkość nie może wykraczać stale poza ramy praw biologicznych (!), a zadaniem jej jest zwalczanie natury, nie siebie samej.

Poświęciłem nieco więcej miejsca wywodowi p. Nowikowa, aby dać przykład, jak daleko

dyalektyka zaprowadzić może. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość zebranym w licznem gronie optymistom. Kiedy bowiem prelegent wezwał kongres, aby tenże potępił »oszczerców«, twierdzących, że wojna jest przyrodzoną koniecznością bytu — okrzyk ten nie znalazł głośniejszego echa, a p. Worms oświadczył, że odczyt Lester Ward'a, będący na porządku dziennym, starczy p. Nowikowowi za odpowiedź.

Trzeźwy amerykanin z innej strony spogląda na rzeczy. Walka jest według niego koniecznością, jest niezbędnym, naturalnym warunkiem rozwoju, jest ekstensyą sił społecznych. Błędem jest rozróżnianie zasadnicze walki ze środowiskiem (z naturą) od walki ludzi z ludźmi.

Człowiek jest parazytą, jest pożeraczem oszczędności zwierząt: walka jest jednym z najistotniejszych objawów jego życia indywidualnego i gromadnego. Energia i synergia schodzą się tu z sobą. Zbyteczną nawet byłoby rzeczą uzależnianie tego faktu od rasy. Prelegent zaznacza słusznie, że walka istnieje zarówno w obrębie gatunku, jak i poza nim, a lwy nie pożerają się wzajemnie tylko dlatego, że mają zdobycz łatwiejszą; gdyby jej zabrakło, zjadłyby się nawzajem. Duszą życia i rozwoju jest walka, a wojna jest niczem więcej — jeno udoskonaleniem walki. Wszelako rozwój cywilizacyi, wskazującej dobro pokoju, a klęski wojny, może

i powinien na drodze czysto rozumowej doprowadzić z czasem, jeżeli nie do zaniku wojen, to przynajmniej do ich znakomitego ograniczenia.

Poparł gorąco przemówienie Ward'a prof. Xénopol z Rumunii w dłuższem przemówieniu.

Po południu tegoż dnia członkowie kongresu w gronie kilkudziesięciu osób odbyli wycieczkę zamiejską, podążając na uprzejme zaproszenie lorda i lady Avebury do ich uroczej rezydencyi, położonej w Orpington, w hrabstwie Kent. Przebywszy liczne stacye Londynu, pociąg zatrzymał się wreszcie po jeździe półtoragodzinnej na stacyi w Orpington, już poza linią dymów olbrzymiego miasta, wśród malowniczej okolicy, skąpanej w zieleni. Kilka olbrzymich break'ów, powożonych ręką istnych gentlemanów, czekało na gości, aby ich przez wieś-miasteczko, po szosie, jak marzenie, ujętej w strzyżone szpalery krzewów i liściastych olbrzymów, powieźć o dziesięć minut drogi w głąb parku angielskiego pod progi magnackiej siedziby. Liczna służba, zebrana w przedsionku wielkiego pałacu, pokrytego obyczajem angielskim zielenią, wiodła przybyłych w głąb apartamentów, urządzonych z królewskim przepychem, i wskazywała drogę ku głównemu wyjściu do parku, gdzie u progu oboje gospodarstwo czynili honory domu, witając gości.

Garden party, bo taki był rodzaj przyjęcia, rozpoczęła się z wielką, niczem niezamąconą swobodą. I trzeba było podziwiać szczerą gościnność gospodarstwa, uprzejmość ich i prostotę, z jaką oddali się na usługi zebranych. Orkiestra, strojna w purpurę, przygrywała zdala wśród zieleni, goście krążyli po uroczym parku, bawiąc się żywo rozmową, lub nawiedzając namiot na wzgórzu, gdzie służba, zgromadzona u stołów ze wspaniałą zastawą, raczyła przybywających herbatą, przekąskami, winem i owocami. Jaknajmilsze wspomnienie wywieźli z Orpington po $2^1/_2$-godzinnym tam pobycie członkowie kongresu. Do samego Londynu trwało dzielenie się wrażeniami; wszyscy przyznawali zgodnie, że sir John Lubbock, uczony, bankier i milioner angielski, obdarzony przez królowę Wiktoryę tytułem lorda Avebury, stanowi typ niezmiernie charakterystyczny swej rasy — człowieka wzrosłego w każdym calu na podłożu prawdziwej i wielkiej kultury.

Trzeci dzień kongresu, odbyty pod przewodnictwem prof. Lester Ward'a, przyniósł odczyty pp. Halpérina, prof. Ludwika Steina z Bernu, prof. Xénopola z Jassów, profesorów angielskich Harrisona i Locka, wreszcie dra Emila Reicha, węgra rodem.

P. Halpérine widzi w walce jedynie walkę klas społecznych; że zaś klasy nie są kategoryami zasadniczemi (pierwiastkami) ustroju,

przeto nie mogło ich być w przeszłości odległej a nie będzie ich i w przyszłości. Z chwilą, gdy istnieć przestaną, ustanie źródło walki i zapanuje królestwo Boże. Prof. Stein przeprowadzał paralelę dyalektyczną pomiędzy Marxem a Spencerem. Szermierz i apostoł harmonii, widzi ją wszędzie: w sprzecznościach najradykalniejszych. Walka jest jedynie czynnikiem, zmierzającym do przywrócenia równowagi tam, gdzie ją okoliczności chwilowe zwichnęły. Sprzeczność pomiędzy twierdzeniem Spencera, że walka społeczna jest tylko zjawiskiem szczególnem z zakresu walki o byt — a twierdzeniem Marxa, że jest ona warunkiem i zasadą rozwoju społecznego, sprowadza się do faktu, że Spencer był indywidualistą, a Marx kolektywistą. Różnica nie jest tak przepastna, jakby się zdawało, albowiem kultura zmierza do tego, że człowiek indywidualny musi się na społecznego zamienić.

Prof. Xénopol oświadcza się za niezbędnością wojny, przynajmniej na bardzo daleką przyszłość. Krew jest płynem życiodajnym dla rozwoju ludzkości. Tak było przynajmniej dotychczas. Chcąc zniszczyć wojnę, trzebaby zniszczyć jej przyczyny, a te tkwią zbyt głęboko. Jest atoli jeden czynnik, którego uczony chwyta się, jak deski zbawienia. Czynnikiem tym — to strach przed klęskami wojny. Strach wzmagający się w miarę udoskonaleń strategii i broni.

Dzięki temu czynnikowi przyjść może wreszcie do stopniowego zohydzenia sobie wojny przez ludzkość. Wśród dyskusyi dość ożywionej, jaka się na ten temat wywiązała, prof. Stein zaznaczył, że tworzenie się olbrzymich państw jest równoznaczne z pacyfikacyą małych grup nacyonalistycznych.

Po przerwie dwugodzinnej p. Harrison zabrał głos w sprawie bezroboci w Anglii i podniósł bezkrwawość tej walki. Jest to olbrzymi dowód kultury. Należy jednak zauważyć, że socyalizm angielski jest mniej wojowniczy, niż gdziekolwiekbądź indziej. Nadto, Anglia to kraj najbogatszy w Europie, a w izbie niższej zasiada wielu robotników; Anglia ze swojem bogactwem, świetnym dworem i przykładną arystokracyą — tworzy wielką potęgę moralną, która nakłada ciężkie więzy na porywy walki i wpływa nader łagodząco na bieg wypadków, gdzieindziej tak krwawych. Kierunek ten zaznaczył się w literaturze i w sztuce. »Nasz Edward, *bon enfant*, jest usposobiony jak jaki prezydent — Loubet, czy Mac Kinley«, arystokracya jest istotnie arystokracyą, pojmującą potrzeby mas i t. d. Widać stąd — kończył prelegent — że gdyby wszyscy możni tego świata zechcieli być naprawdę ludźmi, świat mógłby być inny i będzie inny, gdy zbrodnia we własnej obrzydliwości śmierć znajdzie. Prelegent,

wielbiciel socyokracyi Comte'a, jest szczerym chrześcijaninem; odczyt jego przyjęto z sympatyą niekłamaną. Prof. Loch widzi przyszłość w asocyacyach; twierdzi nadto, że wzrastająca zdolność robotników wpływać będzie na wzrost ich dobrobytu, na złagodzenie potrzeby i porywów walki. Czynniki ekonomiczne wesprą tu czynniki psychiczne, podniesione przez Harrisona.

Istną oryginalnością kongresu było ostatnie w tym dniu przemówienie, wygłoszone przez p. Emila Reicha, uczonego i podróżnika, organizatora znanych na Zachodzie konferencyi na temat zagadnień społecznych. P. Reich, wprawny mówca, nie czytał, lecz mówił. Mówił, że nie ma zaufania do socyologii, że jest raczej historykiem niż socyologiem, że jest wielbicielem autopsyi, że chce poznawać te ludy, których dzieje bada. »Mówiono tu dużo o Spencerze; pytam, gdzie byliby dziś Japończycy, gdyby usłuchali jego rady: bądźcie tylko Japończykami!?« Zresztą Spencer zajmował się tylko pre- i post-historyą, chcąc zaś tworzyć teoryę o człowieku, nie trzeba analogii zwierzęcych, trzeba tylko i jedynie studyować historyę. Powiadają, że walka jest niepotrzebna. Proszę o odpowiedź — historyi. Powiadają, że Napoleon zabił 2 miliony ludzi. Zgoda, ale kobiety zabiły we własnych swych łonach 20 milionów istot ludzkich

(panie dostojne wychodzą z sali). A co zrobił Napoleon? Świat odrodził. Co zrobiły kobiety? Nic. W starożytności były »walki pionowe« — klasy społeczne walczyły z sobą. Tak było w Grecyi, w Sparcie i w Rzymie. Teraz są tylko walki »poziome«. Chodzi w nich jedynie o pieniądze. Pierwsze walki były to walki kefaliczne. Miały swoich wielkich przewódców: Mojżesza, Tezeusza i t. d. Oni byli tych walk duszą, pomimo, że przeczą ich istnieniu istniejący — niestety! — profesorowie berlińscy. Gdyby nie było walki, zostalibyśmy tybetańczykami. Wszystkie narody wielkie w walce były zawsze, są i będą wielkie w zakresie kultury, jak Rzymianie, Grecy i Japończycy. Wiecie, panowie, dlaczego tak biadacie nad wojną? — bo Europa od dłuższego czasu nigdzie nie odniosła prawdziwego, świetnego zwycięstwa, bo jej armie były i są bite, tylko bite. Świat wytwarza jednak nową walkę »pionową«, bo ją mieć musi, wytwarza ją pod postacią walki kobiety z mężczyzną. Amerykanie mogliby coś o tem powiedzieć na seryo...

Wieczorem tegoż dnia odbył się na cześć uczestników kongresu świetny bankiet w »The Monico, Regent Saloon«, ofiarowany gościom przez londyńską *Sociological Society*. Toastowali na cześć króla Edwarda VII, królowej Aleksandry i członków Instytutu sir Edward Brabrook,

oraz sekretarz stanu, lord Fitzmaurice. Odpowiadał w imieniu gości prof. Levasseur. Bankiet przeciągnął się do późna; rozmawiano, a nawet tańczono z ożywieniem.

W następnym, ostatnim dniu kongresu, prof. Lester Ward wykazywał ciekawe analogie pomiędzy zjawiskami społecznemi a kosmicznemi i twierdził, że proces działalności gromadnej odbywa się automatycznie. Wykazuje to badanie akcyi wyborczych i parlamentarnych. Liberalizm jest tylko nową formą toryzmu, a podkład ekonomiczny to dusza ruchów masowych. — W zastępstwie nieobecnego członka kongresu, senatora Arcoleo z Rzymu, wypowiedział krótkie streszczenie jego referatu o socyalizmie we Włoszech René Worms. Uzupełnienia podał obecny baron Garofalo z Wenecyi. Optymizm Arcolea spotkał się z ostrą repliką Garofala, który stwierdził, że Włochom brak poczucia dyscypliny, i dlatego wszelkie ruchy społeczne muszą się tam zapowiadać ostrzej, niż na Zachodzie Europy.

Referat p. Alfreda Nicefora, poświęcony zagadnieniom antropologiczno-socyologicznym, nie wywołał większego zainteresowania, natomiast praca p. Abrykosowa z Moskwy, wykazująca budzenie się solidarności w walce i przez walkę, przyjęta była z uznaniem.

Tegoż dnia przed południem weszło na po-

rządek dzienny studyum wyżej podpisanego: *La foule et les meneurs* [1]).

Po wyczerpaniu porządku dziennego rozpoczął się szereg oracyi konwencyonalnych, zamykających obrady kongresu. Dziękowano sobie nawzajem i zapowiadano spotkanie się na przyszłym zjeździe. Przedstawiciele poszczególnych instytucyi przemawiali w ich imieniu, a przedstawiciele wszystkich narodowości dziękowali za otrzymaną gościnę. Wyżej podpisanemu, jako jedynemu Polakowi, biorącemu udział czynny w kongresie, przypadł w udziale zaszczyt takiego przemówienia na wezwanie prezydyum.

Profesor Philipp, nawiązując przemówienie swoje do rozmaitych odczytów, wyraził pod adresem Instytutu życzenie, aby na przyszłość treść przemówień była drukowana przed kongresem w celu umożliwienia krytykom głębszego wnikania w przedmiot. Zarząd Instytutu, przyjąwszy tę propozycyę, wyraził w osobach pp. Levasseura i Wormsa żywe zadowolenie swoje z przebiegu kongresu i zapowiedział rychłe ogłoszenie drukiem w tomie XI *Annales de l'Institut International de Sociologie,* rozpraw, wygłoszonych w Londynie [2]).

---

[1]) Przekład francuski pracy p. t. »Tłum i jego przewódcy«. (Warszawa 1906). Por. wyżej przyp. 1 na str. 8-ej.

[2]) Tom ten ukazał się w r. 1907 u V. Giard'a & E. Brière'a w Paryżu.

Nazajutrz, po zamknięciu kongresu, w sobotę, d. 7 lipca, odbyły się dwie wycieczki urzędowe do Oxfordu i Cambridge. Należało wybierać jednę lub drugą. Wybrałem pierwszą i już około 12 w południe znalazłem się w istnem muzeum kolegiów, w starym Oxfordzie. Fellow of St. Johns College, p. Sidney Ball z małżonką czynili przybyłym honory domu. Zwiedziliśmy większość kolegiów, podziwiając ich stary, omszały gotyk, ich ogrody przepiękne, ich ciszę jakby dla kontemplacyi stworzoną, ich komfort i bogactwo zbiorów, zespolone tu na to, aby wykazać naocznie potęgę i odwieczność kultury angielskiej. W starym refektarzu St. John's College podano lunch wytworny. Stoły uginały się pod ciężarem pamiątkowych sreber, a ze ścian, ze starych portretów, spoglądały na obecnych twarze tych, co tu niegdyś źródeł świetności obecnej *magna pars fuerunt*. Wycieczka uwieńczyła godnie całość otrzymanych wrażeń: silnych, niezatartych, pouczających.

JAKÓB CARO.

W grudniu 1904 roku zmarł uczony dużej miary i talentu, człowiek o umyśle kultury niepospolitej, o zamiłowaniu gorącem i promiennem, pociągającem tych, co z nim się stykali.

Mało czytany — bo zatopiony w studyach gabinetowych i w pracach, w których pierwiastek czysto naukowy zwykł był przeważać nad artystyczną, lub aktualną stroną przedmiotu, — nie bolał Caro nad brakiem szerszej popularności zbyt ciężko, ani stale. Stać było go zresztą na utwory o tonie lżejszym... Sama natura wybitnie artystyczna, zapalna, do uniesień i polotów skłonna, ciągnęła go nieraz — poprzed mozołami ciężkich studyów źródłowych, do przelewania na papier, lub przetapiania w mowę ognistą a płynną — zestawień i obrazów w rodzaju takich, jak: *John Dee, Albrecht Łaski*, *Giordano Bruno, Shakespeare,* lub przepięknych, acz lżejszych w treści, wykładów o »Komedyi« Danta.

Naturze tej, która mogła była tworzyć arcy-

dzieła formy, starał się Caro narzucać obowiązki pierwszorzędne uczonego: giąć ją do wymagań treści — zmuszać do jak najgłębszego opanowania przedmiotu. Duch czasu i dobra szkoła, przebyta w młodości, wywarły na jego umyśle niezatarte piętno.

I powstała stąd walka, widoczna we wszystkich pracach uczonego, nie wyłączając kart *Geschichte Polens* — tych zwłaszcza, gdzie potężna, porywająca strona zjawisk, przemawiała równie silnie do duszy poety, jak myśliciela. A myślicielem był Caro wytrawnym, wyćwiczonym w ogniu przejść życiowych i pracy mozolnej. Głębokości sądu brakło mu rzadko, podobnie, jak i finezyi w określaniu zjawisk, w charakterystyce postaci, w rozplątywaniu węzłów natury dyplomatycznej.

Widać to już w pierwszych tomach pomnikowej jego »Historyi Polski«, którą tworzył i pisał w czasach dotkliwego braku źródeł opracowanych i monografii. Rzec można, że przeorał on cały okres olbrzymi, epokę 1300—1506, wzdłuż, wszerz i wgłąb źródeł surowych, przeważnie nie uprzystępnionych jeszcze w tekstach, ani w krytyce dla autorów prac ogólniejszych.

Roepell i Caro — to dwa nazwiska, zlewające się na pojęcie brzasku nowej metody krytycznej w zakresie naszych wieków średnich.

Pierwszy wydał, jak wiadomo, w roku 1840

w Hamburgu, nakładem Heerena i Ukerta, (wydawców obszernej *Geschichte der europaeischen Staaten)*, swoją *Geschichte Polens*, obejmującą dzieje narodu naszego do końca XIII wieku; drugi — w większych rozmiarach i z większym nakładem pracy, a bodaj i talentu, doprowadził naukowe to przedsięwzięcie do końca wieków średnich, wydając w tymże samym zbiorze Historyę Polski od r. 1300 po rok 1506 w opracowaniu własnem.

Jakób Caro, syn rabina gminy żydowskiej w Gnieźnie, urodził się tamże w r. 1836. Jak świadczy autor jego życiorysu [1]), korzystający z odpowiednich materyałów autobiograficznych uczonego, nie był Caro otoczony w dziecięctwie swojem atmosferą, któraby w nim aspiracye wyższe, albo li też zamiłowanie do rzeczy polskich obudzić mogła. Przeciwnie. Syn rodziny licznej, a ubogiej, skazany od lat najmłodszych na ciężkie doświadczenia losu, miał Caro zostać zecerem, gdy środki ojca przyszłości innej rokować mu nie mogły. Jedynie woli własnej, pracy usilnej i ciężkim poświęceniom rodziców,

[1]) Adolf Pawiński w »Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej Ilustrowanej«, t. XI, str. 93—96. Autor niniejszego szkicu słyszał w r. 1893 we Wrocławiu z ust prof. Caro wyrazy uznania dla pracy prof. Pawińskiego, oraz wzmiankę, że szczegółów biograficznych dostarczył Pawińskiemu sam interesowany.

którzy na zdolnościach chłopca poznali się dość wcześnie, zawdzięczał przyszły historyk możność przebycia drogi ciernistej w gimnazyach ostrowskiem i poznańskiem, drogi, na której ubóstwo, zaburzenia 1848 roku, a potem choroba, kładły nieprzebyte prawie zapory. Wreszcie, dzięki poparciu prof. Schönborna, ukończył Caro szkoły i, powolny pragnieniom ojca, który marzył o rabinacie dla syna, wstąpił na uniwersytet w Berlinie. Już jednak w czasie pobytu w szkołach, osłabł był Caro w przywiązaniu do atmosfery rodzinnej; zerwał też niebawem z dążeniami ojca i, porzuciwszy Berlin, udał się w r. 1857 do Lipska, gdzie go zamiast filozofii, literatury i prawa, zajęły od samego wstępu nauki historyczno-polityczne. Słuchał Albrechta, Drobischa, Roschera, Wachsmutha i in., a ukończywszy studya, obrał sobie, za radą prof. Henryka Wuttke'go, przedmiot z dziejów Polski, jako temat pracy doktorskiej.

Były to już czasy, kiedy świat naukowy niemiecki kładł podstawy szerokie pod studya szczegółowe nad dziejami powszechnemi, które tyle prac cennych, epokowych mają dziś Niemcom do zawdzięczenia. Sam Wuttke zbierał wtedy materyały do (licho jeszcze) wydanego w r. 1864 *Staedtebuch des Landes Posen,* a Stenzel, Roepell, Görtz, Wattenbach i niebawem Colmar Grünhagen, pracowali usilnie nad dzie-

jami Śląska, nad organizacyą stałych badań w tym kierunku, zogniskowanych w Towarzystwie Historycznem *(Verein für Geschichte und Alterthum Schlesiens)* we Wrocławiu.

Że Caro jął się dziejów Polski, można to w części tylko przypisać okoliczności, iż ujrzał światło dzienne na piastowskiej ziemi. Było to raczej dziełem przypadku: wynikiem prądu, skierowującego historyków niemieckich do studyów nad dziejami powszechnemi, a zwłaszcza nad dziejami ludów zgermanizowanych, lub sąsiadujących z Niemcami. — *Oriundus Gnesnae* mieć tu mogło znaczenie tylko o tyle, że Caro, mówiący w domu po niemiecku, wyniósł był jednak ze szkół pewną znajomość języka polskiego: że rozumiał po polsku i mógł łatwiej, niż kto inny, z literatury polskiej korzystać. Słabsza, aniżeli jego, znajomość polszczyzny, wykierowała wielu uczonych niemieckich na ekspertów w sprawach przeszłości, kraju i narodu naszego przed trybunałem niemieckim...

Jako temat rozprawy doktorskiej, obrał sobie Caro czasy bezkrólewia po Batorym i, złożywszy w r. 1860 uniwersytetowi lipskiemu pracę p. t. *Das Interregnum Polens im Jahre 1587 und die Parteikämpfe der Häuser Zborowski und Zamoyski,* stopień doktora filozofii uzyskał.

Losy, zaczerpnięte z przypadku, były rzucone. Rozprawa Cara, wydana w r. 1861, a przy-

jęta przez krytykę niemiecką i polską — naogół bardzo życzliwie, zapewniła mu w Niemczech uznane stanowisko badacza rzeczy polskich. Że zaś nacechowana była zaletami talentu i przygotowania metodycznego autora, podsunęła nakładcy wydawnictwa Heerena i Ukerta, Perthesowi, myśl uproszenia Cara o opracowanie ciągu dalszego »Dziejów Polski«, wszczętych niegdyś, a zaniechanych od lat dwudziestu z górą, przez Roepella.

Dla młodego uczonego była to oferta nie do odrzucenia. I stanął układ, mający w historyi rozwoju dziejopisarstwa naszego znaczenie wręcz pierwszorzędne... Caro zyskał w nim niezbędną, acz nader skromną, podstawę materyalną dla przyszłej pracy swojej, — nauka zaś, a historyografia polska w szczególności — zapowiedź jednego z najcenniejszych nabytków swoich.

Ciężkie warunki tej pracy Cara, obfitej w plony bogate, odtworzyć możemy sobie dzisiaj z łatwością. Pomiędzy rokiem 1861—1863 przygotował on tom pierwszy dzieła swego, a drugi *Geschichte Polens* (Gotha, 1863), objąwszy w nim okres lat 1300—1386. Kto pracował nad dziejami tej doby, uchylić musi czoła przed owocami pracy uczonego i zdumieć się na myśl, że zostały one osiągnięte przed czterdziestu laty! Prawda, że Caro trudów, ani podróży po archiwach i bibliotekach nie szczędził; prawda,

że, docierając do Warszawy, Krakowa, Poznania, Kórnika, Wrocławia, Berlina, Drezna i Lipska, a potem do Moskwy i Petersburga, znajdował wszędzie u uczonych i mecenasów pomoc życzliwą; prawda, że go u nas hr. Jan Działyński, ks. Jan Koźmian oraz Z. A. Helcel gorliwie mocą swoją wspierali. Mimo to jednak plony jego studyów w czasach, poprzedzających wydawnictwa Bielowskiego, Ig. Zakrzewskiego, Piekosińskiego i cały — ogromny dorobek literatury monograficznej z ostatnich lat kilkudziesięciu, wydać się muszą, jako wręcz zdumiewające. Jeżeli też przez uszanowanie dla zasług naukowych Roepella — pisał Caro w przedmowie do (I) II tomu *Geschichte Polens*, że: »Część niniejsza Historyi Polski łączy się ściśle z tomem pierwszym, który wyszedł z pod pióra godniejszego i bardziej doświadczonego«, to — zbyt mało, zaprawdę, powiedział wydawca, nadmieniając, że: »opracowanie ciągu dalszego Historyi Polski powierzone zostało obeznanemu z rzeczą, uczonemu historykowi...«

Tom, o którym mowa, uległ już w wielu punktach przestarzeniu. Jest to zjawisko całkiem naturalne wobec ogromu ujawnionych później źródeł historycznych. Nie chodzi nam też bynajmniej o obecną wartość naukową dzieła, jakkolwiek i ta, oparta na podstawie bardzo szerokiej, ostała się podziś dzień w nader zna-

cznej mierze. Chodzi nam jedynie o zarzucaną autorowi przez krytykę naszą stronniczość w przedstawieniu i oświetleniu niektórych faktów z zakresu stosunku dziejowego Polski do Niemiec.

Sprobójmy ustalić istotę tej »stronniczości...« Krytyka nasza widziała w niej predylekcye niemieckie na niekorzyść rzeczy polskich i miała w tem słuszność pozorną. Potwierdzała ją interpretacya bezstronna a logiczna faktów niektórych, np. oświetlonej »po niemiecku« przez Cara kwestyi warunków Traktatu Kaliskiego z r. 1343 i t. p. Jeżeli chodzi o szczegóły, możnaby uczonemu historykowi wytknąć usterków takich nie mało.

Charakteryzując jednak umysłowość i usposobienie autora »Dziejów Polski«, musimy wznieść się ponad szczegóły oderwane i stwierdzić, że źródło, z którego opinie naukowe Cara płynęły, było całkiem odmiennej natury, aniżeli ta, jakiej się w nim krytyka surowa dopatrywała.

Zarówno wyraz ogólny twórczości dziejopisarskiej uczonego, jak jego wykłady w uniwersytecie wrocławskim i jak wreszcie psyche człowieka, ukazująca się i bliżej i jaskrawiej w poufnem obcowaniu, wykazywały naturę wyższą, a poza słabostkami drobiazgowemi — niesłychanie wrażliwą i subtelną.

W głębi przekonań i upodobań swoich, był

Caro wielbicielem namiętnym »wyższości« kulturalnych i politycznych. Stał w tem umiłowaniu swojem poza atmosferą postulatów i zagadnień aktualnych. W stosunku do wszelkich narodowości i religii był przedewszystkiem obserwatorem i myślicielem, posiadającym w niezależności swego umysłu podstawy najistotniejsze zasadniczej bezstronności naukowej. Jeżeli w ocenie stosunków polsko-krzyżackich uniosła go tu i owdzie »wielkość« Zakonu, to popęd ten nie przeszkodził mu bynajmniej ocenić, a niekiedy nawet entuzyastycznie odczuć i uwydatnić wielkich czynów i wielkich postaci naszych dziejów. — »W niczem, pisał Caro w swojem zamknięciu panowania Ostatniego Piasta (*Gesch. Pol. II* 362) — nie była historya powszechna bardziej sprawiedliwą, aniżeli w tem, że Kazimierzowi tytuł Wielkiego przyznała...« Trudno o wyznanie szczersze i bardziej znamienne!

Wysoką bezstronność moralną i niezawisłość naukowych sądów swoich, kojarzył Caro z wybitnym talentem pisarskim, z sumiennością opracowania i z przygotowaniem metodycznem, stojącem na poziomie wzorów wiedzy europejskiej. Uposażony w te środki niepospolite, wnosił do dziejopisarstwa polskiego swej doby powiew świeży i w następstwa płodny. »Historya« Cara stała się książką podręczną dla wielu badaczów naszych, nicią przewodnią rozlicznych studyów,

poszukiwań i badań, nawet specyalnych. W roku 1869 ukazał się tom (II) trzeci dzieła, zawierający okres od r. 1386—1430; tom (III) IV (wyd. 1875 r.) sięgnął po rok 1454, a w latach 1886—1888 zyskała historyografia polska ostatnie, najlepsze (IV) V*a* i V*b* tomy pomnikowego wydawnictwa, które objęło wraz z »Historyą« Roepella całość dziejów naszych po rok 1506. Ostatnie te tomy posiadają i dziś jeszcze pełną, bez mała, wartość naukową.

Historyk rozwoju dziejopisarstwa polskiego w drugiej połowie XIX stulecia wyznaczy niewątpliwie profesorowi Caro miejsce bardzo wybitne. A sprawią to nie inne prace uczonego, jeno autorstwo pomnikowej *Geschichte Polens*... Czyżby brzmienie obce tytułu tej książki doniosłej, było jednym więcej atutem w rękach tych, co o naszej »młodszości cywilizacyjnej« prawią? Bez wątpienia. Gdyby jednak zasługę tę przyznać sobie chcieli i tym razem Niemcy w całości, należałoby protestować. Caro był uczniem Niemców, ale Niemcem nie był, — podobnie, jak nie był Polakiem, ani Żydem. Był sobą. Był wcieleniem kombinacyi warunków rozlicznych, jakie go wydały i wyrobiły na pożytek naszego narodu.

Wśród studyów trzydziestoletnich nad dziejami Polski, przerywanych przez prace inne, snuło się życie Cara w sposób nader rozmaity.

Rozmaitość ta uczyniła go dla wielu przedmiotem zaciekawienia, człowiekiem »tajemniczym«. Pochodziło to stąd, że Caro lubił mieć stosunki, budzące sensacyę, że posiadał je rzeczywiście i że, wspominając o nich półgębkiem, budził tem większy podziw i sięgające aż hen!... przypuszczenia. Stosunki te płynęły z gruntu naukowo-literackiego, z mecenasostwa sfer wyższych dla talentów i — najprawdopodobniej gruntu tego nie opuszczały nigdy.

W roku 1863, przełamawszy przy poparciu profesorów: Adolfa Schmidta i Hildebranda niechęć uniwersytetu w Jenie przeciw pochodzeniu swemu, Caro — pierwszy Żyd w tej wszechnicy, habilitował się tam na podstawie pracy, p. t. *Johannes Longinus, ein Beitrag zur Litteraturgeschichte des XV Jahrhunderts.*

Będąc niepłatnym docentem, utrzymywać się musiał ze współpracownictwa w *Augsburger Allgemeine Zeitung.* Pracował także jednocześnie w *Staats-Lexicon von K. v. Rotteck und K. Welter,* gdzie w r. 1864 zamieścił artykuły obszerne, p. t. *Polen* i *Posen.*

»Pierwsza z tych rozpraw — pisze Adolf Pawiński [1]) — obejmuje w zarysach dzieje Polski od końca X wieku aż do upadku państwa, a następnie przedstawia losy porozbiorowe, od-

---

[1]) J. w.

słaniając widok na całą połowę XIX wieku. Zawiera w sobie nietylko obraz dziejów politycznych, ale wyłuszcza zarazem rozwój wewnętrzny, kształt i życie organizacyi polityczno-prawnej. Uzupełnia ją rys statystyczny. Panowanie nad rozległym przedmiotem i zgłębienie całokształtu dziejów dobrze świadczyło o zaletach umysłu szerszego«.

W tym to czasie odbył Caro wycieczkę w celach naukowych do Warszawy, gdzie dobrze był przyjęty przez mrgr. Wielopolskiego i wszedł w stosunki bliższe z Aleksandrem hr. Przezdzieckim. Odtąd datują również stosunki uczonego ze światłym dworem książęcym w Wejmarze, który zwrócił nań swoją uwagę i zaofiarował mu sposobność przejrzenia archiwów i bibliotek w cesarstwie rosyjskiem.

Już w r. 1864, zawiesiwszy wykłady w Jenie, został Caro lektorem W. Ks. Heleny Pawłówny, córki Pawła, księcia Wirtemberskiego, a wdowy po W. Ks. Michale Pawłowiczu, bracie ces. Mikołaja I. W nowej tej roli udał się, jako członek dworu W. Księżny, w podróż do Szwajcaryi, Włoch i Rosyi, gdzie spędził czas dłuższy, prowadząc w miarę możności studya archiwalne i biblioteczne w Petersburgu, oraz w Moskwie w archiwum ministeryum spraw zagranicznych. Z tego czasu i pobytu zachował

nadto Caro wspomnienia pewne o pedagogicznej działalności swojej na dworze rosyjskim.

W r. 1865 powrócił do Jeny, gdzie otrzymał niebawem godność profesora nadzwyczajnego w charakterze honorowym, bez uposażenia. Dopiero w r. 1868 powołano go na takież stanowisko do Wrocławia, i za poparciem niemieckiego ministeryum spraw zagranicznych, przyznano mu pensyę stałą w kwocie 1.200 talarów rocznie.

Stosunki, zawarte w r. 1864, zbliżyły go do dworów: drezdeńskiego, meklemburskiego, berlińskiego i petersburskiego. Korespondował z nimi do ostatnich lat życia. Korespondencya ta (np. listy ces. Fryderykowej i Bismarcka) dotyczyła — o ile mi wiadomo — tych samych kwestyi, jakich dotykał w swoich odczytach dworskich, nacechowanych wysokim smakiem estetycznym i wykwintnością stylu. Lorenzo Valla, Pico Mirandola i umiłowany Dante, stanowili — obok grona innych poetów i myślicieli, punkt wyjścia tych przepięknych obrazów myśli i uczuć, jakie Caro przed słuchaczami swymi roztaczał, posiłkując się mistrzostwem języka i oratorską swadą... Zrywał się tam niekiedy poetycki poryw duszy wrażliwej a lotnej przeciw więzom, narzucanym przez wymagania poważne — uczonemu. Tryumfował jednak najczęściej i uczony. Scherr nazywa odczyt Cara o Lessingu i Sfifcie, wy-

głoszony około r. 1868 na dworze w Berlinie — studyum najwybitniejszem, jakie o tym przedmiocie istnieje.

Predylekcya do studyów nad pięknem, do oddychania wskrzeszaną w sobie atmosferą Odrodzenia, do towarzyszenia myślą i duchem najwybrańszym polotom ludzkości i zagłębiania się w arcydzieła literatury, czyniła z uczonego męża *causeur'a* o tonie subtelnym i wykwintnym, pożądanego zarówno w salonach dworskich, jak i na katedrze.

Audytoryum Cara we Wrocławiu, gdzie do zgonu profesurę historyi powszechnej piastował — było zawsze pełne, zawsze przesycone atmosferą skupienia i chłonięcia podniosłych wrażeń.

Słuszną była obawa, że ucierpi na tem ciąg dalszy *Geschichte Polens,* ów niewydany dotąd tom VI (VII) dzieła, mający objąć czasy obu Zygmuntów, nadające się — jak mało co — pod pióro Jakóba Caro. Zdaje się jednak, że nad nim pracował; zdaje się, że w spuściźnie rękopiśmiennej uczonego pozostały — bodaj fragmenty cenniejsze pracy o Złotym Wieku Rzeczypospolitej.

Z pism pomniejszych Cara, poświęconych przeszłości Polski, przedmiotowi, nad którym rósł i mężniał jego talent, wymienić należy (nieszczególnie zresztą wydany) *Liber Cancellariae*

Stanislai Ciołek (2 tomy. Wiedeń, 1871, 1874), oraz słynną rozprawę o Janie Ostrorogu, zamieszczoną wraz z Memoryałem Ostroroga w *Zeitschrift des westpreussischen Geschichtsvereins* (1882 r.), a w tłómaczeniu polskiem w »Pamiętniku« Krakowskiej Akademii Umiejętności (1885 r.). O licznych, pomniejszych artykułach Jakóba Caro, z dziedziny historyi i dziejów literatury polskiej, oraz powszechnej, mówić tu nie będziemy. Pisane przeważnie na schyłku żywota, grzeszyły one niekiedy uprzedzeniem na niekorzyść naszą... W pierwszym rzędzie wymieniłbym tu artykuł o działalności naukowej Henryka von Sybla, zamieszczony w czasopiśmie *Nord und Süd*, a nacechowany wybitnemi zaletami stylu.

W roku 1880 zjawił się Caro na I Zjeździe historyków polskich (im. Długosza) w Krakowie. Wystąpił tam z referatem o potrzebie ożywienia badań geograficzno-historycznych polskich, oraz z przedstawieniem granic i części składowych Polski a W. Ks. Moskiewskiego w XIV i XV w., na przygotowanych odpowiednio mapach (Nr. 68, 69, 70) atlasu historycznego Sprunera. — »Było to — nadmienił wtedy — jedno z zadań najcięższych, nad jakiemi mozoliłem się w życiu«.

W roku następnym, 1881, w uznaniu niepożytych zasług naukowych profesora Caro, przyznała mu Akademia Umiejętności w Krakowie najwyższy z zaszczytów swoich — godność

członka czynnego zagranicznego. Było to na kilka lat przed wydaniem ostatnich tomów *Geschichte Polens* (1886, 1888 r.), które zamknęły właściwie publiczny stosunek naukowy autora do naszego dziejopisarstwa.

Oddany ściślejszej pracy zawodowej, — wykładom i ćwiczeniom seminaryjnym, a wyczerpany już z sił, usuwał się zwolna profesor z szerszej widowni. Być może, że dostatek, zyskany niemal na schyłku żywota; być może, że ciepło rodzinne u boku późno zaślubionej żony, a potem i córki, bardzo ukochanej, pozbawiły go tej energii czynu, jaką tak dawniej celował... Zrobił jednak wiele, bardzo wiele i za to uznanie niekłamane należy się jego pamięci, oraz wdzięczność z naszej strony wielka a szczera.

Studenci Polacy interesowali go zawsze bardzo gorąco. Ugaszczał ich w domu swoim i do siebie zbliżał, opiekując się ich pracami, nie szczędząc im rad, wskazówek, a nawet pomocy czynnej w studyach specyalnych. Miłe wspomnienia takie mają niewątpliwie ci wszyscy zpośród nas, którzy w uniwersytecie wrocławskim naukom historycznym się oddawali. Węzły z tych wspomnień płynące, były serdeczne i trwałe. Nie osłabiły ich bynajmniej naprężone w czasach ostatnich stosunki polsko-pruskie — *die rege zur Zeit gewordenen Leidenschaften, welche auch die besten Gesinnungen dem Misstrauen aus-*

setzen... [1]). I nic dziwnego. Cóż bowiem znaczyła polityka aktualna, a choćby i napięcie walki narodów, dla człowieka, który stał w głębi duszy *jenseits* jednej i drugiej?...

W roku 1900, kiedy obowiązki grzeczności dla Austryi przełamały w chwili ostatniej, pono nie bez »znaku z góry«, postanowienie uniwersytetów pruskich, że się od udziału w uroczystościach jubileuszowych Uniwersytetu Jagiellońskiego cofną zupełnie, wystąpił Caro w gronie przedstawicieli Niemiec, u boku rektora berlińskiego Fuchsa, pod stropem przybranego odświętnie kościoła św. Anny. Blady był i widocznie wzruszony... Czyżby mu się w tym momencie dziejowym przypomnieć miały pełne uczucia słowa, jakie przed laty kilkudziesięciu kreślił o »Królu wspaniałego serca«, co tę wszechnicę fundował i o »Królowej«, która, odnawiając ją, a »uchodząc w zaświaty, czynem wznioślejszym zamknąć nie mogła żywota?...«

---

1) Słowa z listu prof. Caro do autora.

FRANCISZEK PIEKOSIŃSKI.

Zmarły dnia 27 listopada 1906 r. w Krakowie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Franciszek Piekosiński, uczony badacz i jeden z najznakomitszych znawców naszego średniowiecza, wywalczył sobie przez ciąg 62-letniego pracowitego żywota stanowisko niezwykle wybitne i niezwykle oryginalne w świecie nauki polskiej. Wybitne, bo powiedzieć można śmiało, że nazwisko jego sprzęgło się na zawsze z historyą naszych wieków średnich, z ich najcenniejszymi zabytkami prawno-społecznymi; oryginalne, bo wszystko, co Piekosiński stworzył, w zasadzie oparte było wyłącznie na źródłach dziejowych, przetrawianych samodzielnie. Samodzielność, jako warunek normalny wszelakiej pracy naukowej, nie zasługiwałaby tu na podniesienie, gdyby nie jej stopień istotnie niezwykły, wręcz charakterystyczny, w twórczości zmarłego badacza, który wierzył tylko w źródła, a nigdy prawie w literaturę. Gdyby Piekosiński był żył i działał kilkadziesiąt lat temu,

byłby niechybnie wypełnił sobą całą epokę w dziejopisarstwie. Historya prawa polskiego publicznego i prywatnego, dzieje parlamentaryzmu i stosunki włościańskie, świetne a olbrzymie publikacye źródeł i cały szereg pomocniczych nauk historycznych, jak dyplomatyka, paleografia, sfragistyka, heraldyka, numizmatyka, a nawet archeologia — wszystko to były pola pracy naukowej, na których zmarły znakomicie się odznaczył. To też działalność jego na tle najnowszego rozwoju polskiej nauki historycznej, której *magna pars fuit*, odbiła się nietylko obficie, ale i imponująco; zarazem jednak stała się w latach ostatnich — w zakresie syntezy — pewnego rodzaju dyssonansem w stosunku do tonów, w rozwoju wspomnianym dominujących. Wzgląd to całkiem naturalny wobec podniesionej już wybitnej oryginalności poglądów naukowych Piekosińskiego, którego zasługi, spoczywające w olbrzymim jego dorobku naukowym, są dość wielkie, aby znieść bez szwanku najsurowszą nawet krytykę.

Sprawiedliwość każe podzielić działalność zmarłego na dwa okresy, a owoce prac jego mozolnych na dwie kategorye.

Okres pierwszy, to okres najbujniejszej pracy myślowej badacza, rozpoczęty około roku 1874, a zamknięty wydaniem znanej szeroko pracy p. t. »Heraldyka polska wieków średnich« (1899 r.);

okres drugi — to ostatnie lata jego żywota, zamroczone smutnem, nieuleczalnem kalectwem zupełnej głuchoty. Do kategoryi pierwszej zaliczamy wydawnictwa, a do drugiej prace syntetyczne Piekosińskiego. Wydawnictwa zawsze, w obu okresach, stały na pierwszorzędnym poziomie wymagań nauki, rozszerzając je nawet i pogłębiając w sposób twórczy; co do prac syntetycznych, to te, odpowiadając przeważnie stanowisku naukowemu autora w okresie pierwszym, uległy w drugim pewnej chorobliwej już bezwzględności jego poglądów.

Ta chorobliwość, wynik cierpień przewlekłych, którym w końcu uległ, złożyła się w ostatnich latach na istny *circulus vitiosus* rozczarowań i zawodów, na wyzwolenie tragizmu, tkwiącego w losach Piekosińskiego. Człowiek ten, który dopusty najcięższe znosił z dobrotliwym uśmiechem filozofa, zatopiony przez całe życie w głuszy pracy gabinetowej, zapragnął pod koniec, jakby w chęci wyrwania się z ciszy, narzuconej mu przez kalectwo, uznania szerokiego, głośnego — nie dla niepożytych prac swoich, lecz właśnie dla tych, ostatnich już utworów, które błądzić poczęły w krainie fantazyi.

Trudno, niepodobna nawet w szkicu pobieżnym scharakteryzować dostatecznie i należycie olbrzymiego dorobku naukowego, jaki po zmarłym pozostał. Kilkadziesiąt tytułów wyda-

wnictw i rozpraw to szata jego zewnętrzna, a długi szereg kwestyi naukowych, jak: skupienie, analiza i opracowanie materyałów źródłowych, dotyczących Małopolski (1178—1450), miasta Krakowa (1257—1586), katedry na Wawelu (1166—1423) i rachunków dworu Jadwigi i Jagiełły (1388—1420), jak ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego, sprawy monetarne w Polsce XIV i XV stulecia, kwestye wieców, »sejmów«, sejmików i przywilejów ziemskich średniowiecznych, studya nad znakami wodnymi rękopisów z tegoż okresu, a wreszcie — pomijając drobniejsze przyczynki naukowe — słynne studya heraldyczne Piekosińskiego, oto krótka charakterystyka treści naukowej dorobku, jakim tenże po królewsku nas obdarzył.

Najistotniejszą cechą owego dorobku, rzucającą się przedewszystkiem w oczy, to niezwykła, może jedyna w tym rodzaju i stopniu, pracowitość fenomenalna iście benedyktyńska uczonego, której zawdzięczał on możność opracowania olbrzymich dyplomataryuszów swoich. A owe to właśnie zbiory źródeł, — perła w koronie zasług naukowych Piekosińskiego — najmniej ogółowi znana, to krynica, z której wszystkie niemal jego rozprawy, niby produkt uboczny pracy głównej i zasadniczej, spływały. Zmarły uczony, obrawszy sobie przedewszystkiem za teren działalności swojej sferę najszczytniejszą pracy ściśle

naukowej, najszczytniejsze *sub specie aeternitatis* zadanie budowniczego podstaw badania historycznego dla pokoleń obecnych i przyszłych, stał się w tym kierunku pracownikiem naprawdę wielkim. Styl i rodzaj tej właśnie wielkości, opartej na istocie jego upodobań i uzdolnienia, sprawiał, że trudno mu było rywalizować zawsze i zwycięsko na innem zgoła polu twórczości naukowej, na polu syntezy, z jej kapłanami.

Ekonomia pracy dziejopisarskiej nie różni się od ekonomii innych: Tysiące godzin krwawego mozołu, włożone w obróbkę źródeł surowych, muszą, dając plusy w rubrykach jednych, ciążyć odpowiednio na innych, w danym wypadku na rubryce studyów szerokich, porównawczych i t. p., opieranych z zasady na materyale już opracowanym, na rozlicznych pomocach naukowych i na literaturze...

Piekosiński w tej postaci, w jakiej nam się na tle prac swoich zarysowuje, — to syn typowy epoki, która go wydała. Urodzony dnia 3 lutego 1844 roku w Wiercanach w obwodzie Tarnowskim brał udział, jako młodzieniec 21-letni, w wypadkach 1863 roku w Królestwie, poczem dnia 3 grudnia 1870 roku ukończył Uniwersytet Jagielloński ze stopniem doktora praw. *Alma Mater* nie stała jeszcze wówczas na wysokości późniejszej; mimo to jednak i mimo zaniechania dalszych studyów zagranicą, przyszły uczony

jął się odrazu w Krakowie pracy naukowej w atmosferze Józefa Szujskiego, Karola Estreichera i Franciszka Matejki, którzy przy ówczesnem Towarzystwie Naukowem krakowskiem powołali do życia Komisyę historyczną. Już w początkach tej jego pracy odbił się przyszły jej kierunek, a wraz z nim idea roboty dziejopisarskiej »u podstaw«, której wyrazem były wtedy publikacye poważne Działyńskiego i Raczyńskiego, Bielowskiego, Daniłowicza, Bartoszewicza, Hubego, Helcla, Rzyszczewskiego, Muczkowskiego i innych.

Występując na jednem z pierwszych zebrań Komisyi historycznej krakowskiej z hasłem wydania przywilejów i dokumentów, zachowanych w Archiwum miejscowej kapituły katedralnej, a ogłoszonych częściowo, przed laty wówczas trzydziestu, przez ks. Mateusza Gładyszewicza, wstępował Piekosiński — jeden z pierwszych — w szranki najnowszego okresu w dziejopisarstwie naszem, któremu rychłe potem powstanie Akademii Umiejętności (1873 r.), oraz katedry historyi polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim otworzyło wrota przyszłości. Okoliczności tak się złożyły, że, uchwaliwszy rzeczone wydawnictwo, Komisya przekazała je do przygotowania młodemu inicyatorowi. Jakoż już w roku 1874 nakładem Akademii ogłosił Piekosiński tę pierwszą, a już wybitną pracę swoją p. t. części

pierwszej »Kodeksu dyplomatycznego katedry krakowskiej św. Wacława«. Wzór Rzyszczewskiego, Muczkowskiego, a poniekąd i Helcla, został tu udoskonalony, stając się z jednej strony ulepszaną stopniowo podstawą techniczną dalszych prac wydawniczych Piekosińskiego, a z drugiej — dowodem niepospolitego jego przygotowania do pracy naukowej. Strona paleograficzna tego wydawnictwa, przypisy edytorskie, a wreszcie (cieszące się nawet uznaniem Stosława Łaguny!) indeksy — słynne potem indeksy Piekosińskiego — wszystko wskazywało na to, że nauka polska posiadła w nim siłę pierwszorzędną.

Już w dwa lata później (1876 r.) wystąpił młody badacz z tomem pierwszym swego »Kodeksu Małopolskiego«, którego tom ostatni (czwarty) ukazał się przed dwoma laty (1905), a wnet potem, w roku 1878 — z »Najstarszemi księgami i rachunkami miasta Krakowa« (1300—1400). Z tegoż roku datuje pierwsza jego — jedna z najlepszych — praca syntetyczna »O monecie i stopie menniczej w Polsce XIV i XV w.«. Nie przerwało ani na chwilę tych prac naukowych przeniesienie się Piekosińskiego do Lwowa, gdzie objął stanowisko w biurze prawniczym Wydziału krajowego. Już jako członek czynny Akademii Umiejętności (od dnia 9 listopada 1878 r.) ogłosił w r. 1879 tom pierwszy »Kode-

ksu dyplomatycznego miasta Krakowa«, w roku 1883 część drugą »Kodeksu katedry krakowskiej«, a w roku 1885 »Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa« (2 tomy). W tym to czasie, wśród ciągłych prac wydawniczych, nastąpił w naukowej karyerze Piekosińskiego wypadek, który miał stworzyć wpływ decydujący na kierunek późniejszych jego prac syntetycznych, a poniekąd i wydawniczych (»Herold Polski«). Oto, kiedy w roku 1881 Michał Bobrzyński i Stanisław Smolka wystąpili ze swemi teoryami o pierwotnym ustroju społecznym Polski, pierwszy w »Genezie społeczeństwa polskiego na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII wieku«, a drugi w dziele p. t. »Mieszko Stary i jego wiek«, Piekosiński, który nosić się już musiał poprzednio z ideą własną w tym kierunku, wystąpił natychmiast (1881) z rozprawą »O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju«, zawierającą teoryę najazdu.

Zasadniczemi twierdzeniami, na których opierała się wygłoszona tam teorya — teorya najazdu — były: 1) »Ustrój społeczno-państwowy, jaki monarchia piastowska w pierwszych wiekach swego istnienia przedstawia, jest wypływem i skutkiem najazdu, dokonanego przez jeden ze szczepów lechickich, zamieszkały niegdy między Odrą a Łabą, na Lechitów, mających

swe siedziby po prawym brzegu Odry, głównie nad Wartą«; 2) »Z trzech klas, stanowiących ówczesne społeczeństwo polskie, mianowicie: szlachty, włodyków i kmieci, dwie pierwsze stanowią szczep przybylczy, a ostatnia, społecznie najniżej położona, ograniczona w używaniu praw, ale jedyna, która posiada własność ziemską, choć drobną, stanowi klasę wolnych niegdyś autochtonów«; 3) Znaki, które się na najstarszych pieczęciach szlachty polskiej, wcześnie przed herbami zjawiają, i które zapewne jako znaki wojskowe używane były, noszą na sobie charakter run skandynawskich, wskutek czego pierwotnych siedzib szczepu przybylczego gdzieś w najbliższem sąsiedztwie Normanów, u granic Danii szukać należy...«

Losy były rzucone, a cała długoletnia polemika, która ożywiła niepospolicie studya nad dziejami wewnętrznemi Polski średniowiecznej i w której udział między innymi wzięli: Balzer, Bobrzyński, Łaguna, Małecki i Smolka, nie zdołała zmienić ani na jotę poglądów Piekosińskiego. W obronie teoryi swojej, rozwiniętej następnie w szeregu dzieł p. t. »O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu« (1888 r.), »Rycerstwo polskie wieków średnich« (2 t. 1896) i »Rycerstwo Małopolskie w dobie Piastowskiej« (2 t. 1901—2), autor zdobył się na nakład pracy olbrzymiej, na kombinacye pomysłów arcyzręcznych i my-

ślowo nieraz bardzo głębokich, ale chybionych w założeniu dlatego, że snuł je wyłącznie ze źródeł polskich, posiłkując się obcymi jakby jedynie *ad usum Delphini*. Było coś tragicznego w tej — niby olbrzymiej pracy Penelopy, której przędza zawisła w powietrzu. Było w niej coś tragicznego — dla syntezy, pieszczonej przez autora, ale tragedya ta zamieniała się *e contrario* na bodziec ożywczy dla badaczów innych, wpływając na pogłębienie ich studyów, na kierowanie ich dociekań i wniosków ku torom porównawczym, wskazanym przez wiedzę.

Tyle o samej tragedyi syntezy, bo poza nią wartość rzeczowa pomienionych prac Piekosińskiego była i jest niepospolita, jako nagromadzenie i uporządkowanie, zdobytego przez erudycyę niepospolitą, mnóstwa faktów źródłowych. Nadto prace te — stworzyły, rzec można bez przesady, naukową heraldykę polską, wyprzedzając w tym kierunku cały świat cywilizowany, gdzie, w Niemczech np., świeżo dopiero Guido von List studyom podobnym się oddaje. Dzięki Piekosińskiemu, oraz znakomitemu jego przeciwnikowi, Antoniemu Małeckiemu — heraldyka nasza z fazy skromnych prób naukowości (St. Mieroszowski), spoczywającej na olbrzymiem podłożu próżności ludzkiej, przeszła w sferę nauki, czego dowodem namacalnym jest

świetne dzieło zmarłego »Heraldyka polska wieków średnich« (Kraków, 1899).

Z prac ważniejszych Piekosińskiego wymienić należy nadto: »Codex diplomaticus Universitatis studii generalis Cracoviensis«, część piątą (1900), »Statut Litewski« (1899), publikacyę herbarzów Kojałowicza i szlachty witebskiej (1899) w »Heroldzie polskim«, wydawanym i redagowanym przez niego w ostatnich latach ubiegłego stulecia; »Kodeks Dzikowski«, »Statut Wielkopolski króla Kazimierza Wielkiego«, »Pieczęcie polskie wieków średnich« (1899), »Stary Kraków«, opracowany wspólnie z Szujskim, a wydany w r. 1901, oraz rozprawy »Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego« (1891—5), »W sprawie grzywien karnych w dawnej Polsce« (1894), »Ludność wieśniacza w Polsce w dobie piastowskiej« (1896), »O źródłach heraldyki ruskiej«, »Sądy wyższe prawa niemieckiego w Polsce«, »Al Bekri o Polakach«, »Łany polskie w wiekach średnich«, »Zdobycze szlachty polskiej w dziedzinie prawa publicznego w wieku XV«, oraz długi szereg przyczynków drobniejszych, przeważnie z zakresu numizmatyki i sfragistyki polskiej, oraz krytyk, polemik i sprawozdań, drukowanych w *Kwartalniku historycznym*, w *Wiadomościach numizmatyczno - archeologicznych*, *Tygodniku Illustrowanym* i w czasopismach innych.

W roku 1891 objął Piekosiński po prof. Michale Bobrzyńskim katedrę prawa polskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim; został nadto dyrektorem archiwum akt dawnych grodzkich i ziemskich w Krakowie i konserwatorem Komisyi centralnej dla zabytków archiwalnych na Galicyę zachodnią.

Towarzystwo heraldyczne »Adler« w Wiedniu powołało go na swego członka-korespondenta.

Działalność pedagogiczna Piekosińskiego, utrudniona na samym niemal wstępie przez jego kalectwo, które kazało mu wykłady uniwersyteckie przygotowywać na piśmie, a materyałom do ćwiczeń seminaryjnych poświęcać olbrzymi nieraz nakład pracy, miała, poza stroną naukową i dydaktyczną, jednę jeszcze rzadką, a cenną zaletę: Profesor umiał, jak mało kto, budzić w swych uczniach zapał do pracy, zachęcać ich do niej, a nawet i później, do końca, krzepić ich radą swoją i pomocą, dla której nie szczędził mozołów. Żywa, niezatarta wdzięczność rzuca dziś na trumnę jego tę garść wspomnień. Niechaj mu ziemia lekką będzie!

KONKLAWE I KORONACYA
PIUSA X-go.

Bawiąc w drugiej połowie lipca 1903 r. w kąpielach morskich w Anzio, stałem się przypadkowo świadkiem wydarzeń poważnych i wyjątkowej zmiany fizyognomii Wiecznego Miasta.

Dnia 20 lipca zmarł Leon XIII, a wkrótce potem, dnia 31 tegoż miesiąca, zebrało się Konklawe, mające powołać na Stolicę Piotrową jego następcę.

Sąsiedztwo Rzymu pociągało myśl i wyobraźnię ku watykańskiemu wzgórzu, gdzie święte Kollegium, opromienione tysiącem legend i nadziei w ustach okolicznego ludu, wydać miało lada moment ze swego łona nowego Papieża... Napięcie oczekiwania było tak niezwykłe, tak dalece drażniło nerwy i wyczerpywało siły miejscowego ogółu, że zapominano niemal zupełnie o możliwości przeciągnięcia się Konklawe do dni kilku, lub kilkunastu, jak gdyby termin wyboru Arcykapłana zawisł był wyłącznie od granic cierpliwości rzymskiego ludu.

Bezkrólewie watykańskie ciążyło chmurą przygnębienia i troski na czołach podstołecznych obywateli Włoch Zjednoczonych. Niby okradzeni nagle ze zwykłej pewności siebie w stosunku do przybyszów zdaleka, zapomnieli oni na razie o hasłach codziennych, wysuwając w słowach życzliwych, nawet w prasie wrogiego obozu, dział watykański na czoło zwyczajnych i nadzwyczajnych wydań dzienników.

Cudzoziemca uderzać musiała w ich treści i tonie niekonsekwencya dziwna, a nawet rozbieżność pomiędzy zwykłem »lekceważeniem« kwestyi watykańskiej, a ową »świąteczną« jej wyłącznością na łamach prasy włoskiej wszelakich odcieni.

Rzekomość tego lekceważenia, a wpływy potężne odwiecznych tradycyi papieskich; nikłość prądów nowych, a nieokiełznana jeszcze, czy rozpętana przez nastroje chwili, ale — olbrzymia w swoich porywach, żywiołowość tak zwanych przeżytków, wystąpiły tu w całej okazałości barw jaskrawych, składając się na zjawisko nie niespodziane bynajmniej, ale uderzające...

Mimowoli zwracała się pamięć spostrzegacza ku smutnym okolicznościom Konklawe z roku 1878 i mknęła dalej ku wielkiemu pontyfikatowi Papieża Leona, który w ciągu lat Piotrowych metamorfozę taką zgotował.

Rampolla, Gotti i Vanutelli, były to nazwiska, krążące z ust do ust po okolicach Rzymu wśród tych, co wiadomości swoje czerpali z dzienników. Instynkt najniższych warstw ludu pozostawiał kwestyę elekcyi Duchowi Świętemu, którego wyrok »dziś wieczorem, a może jutro zrana« obwieszczony zostanie wiernym z balkonu Bazyliki świętego Piotra.

Dziś, jutro, lada chwila, były to wyrazy, padające naokół wśród żywej giestykulacyi przechodniów, których każdy pociąg, nadchodzący z Rzymu, pozbawiał resztek słabej równowagi. Atmosfera stawała się coraz bardziej podniecającą.

W trzecim dniu Konklawe, w niedzielę, dnia 2 sierpnia, kiedy wieści poranne zwiastowały »z całą pewnością«, że wybór nowego Papieża lada moment dokonany będzie, opuściłem Anzio pociągiem południowym, udając się do Rzymu. Szybko minęła droga trzydziestu kilku kilometrów, wijąca się wśród winnic, zarośli i wąwozów, a wreszcie przez spokojną równinę kampanii, przyozdobioną arkadami słynnych wodociągów. Już około godziny w pół do drugiej znalazłem się pod kolumnadą zalanego słońcem Placu świętego Piotra.

Z powodu upału tropikalnego, Plac był całkowicie pusty, a dokoła panowała cisza zamarłego życia. Przerywały ją zrzadka szmery, na-

pływające z ocienionych ulic od strony zamku Św. Anioła, i łagodny szum wodotrysków, walczących daremnie odblaskami tęczy z drgającą białością południowego światła a — chwilowym powiewem sztucznego chłodu z zapierającym oddech gorącem.

Wszystko, co żyło, szukało skąpego o tej porze cienia, cisnąc się pod kolumnady Placu, albo do wnętrza winiarni nadtybrzańskich, których werendy, ocienione płótnem, więdły, zda się, i parzyły, przesycone palącym oddechem nieba.

Najchłodniej było w głębi kolumnady, dokąd, pod ochroną chustek, zabezpieczających kark i głowę od porażenia słonecznego, zmierzali szybkim krokiem odważniejsi, którzy się z mrocznego wnętrza domów w drogę ku Watykanowi wybrali.

Tam też, w cieniu kamiennych olbrzymów, widniały w kierunku *Porta di Bronzo* szeregi barwnych karabinierów i różnych broni wojska włoskiego, które w szyku bojowym i w grobowem milczeniu strzegło przed niebezpieczeństwem nieistniejącem swobody Konklawe u wrót Watykanu.

Po drugiej stronie granicy, poza schodami, prowadzącemi z końca kolumnady w głąb pałaców papieskich, świeciły jednocześnie przez drzwi uchylone placówki inne, barwniejsze...

Obozował tam oddział Szwajcarów papieskich,

przyodzianych w stroje malownicze pomysłu Michała Anioła, a uzbrojonych tym razem nie w halabardy stylowe, lecz w karabiny i bagnety nowego typu. Kardynał Oreglia, *interrex*, dziekan świętego Kollegium, nadawał tutaj pokojowym antykamerom i dziedzińcom Watykanu wygląd pogotowia wojennego.

A mury watykańskie, przylegające ze wzgórza do Bazyliki, strzelały spokojnie w niebo, kąpiąc się w ciszy i słońcu, rozpalone w swej barwie czerwonawej i patrzące w otchłań bladego lazuru nieba szeregiem okien, poza któremi zagasł dla widza wszelki ślad życia.

Trzy z nich, zawieszone kirem, wskazywały apartament, w którym Leon XIII dokonał żywota; reszta, zabita przeważnie koszami z tarcic w sposób świadczący o nagłości i o pośpiechu w robocie, należała do prowizorycznych mieszkań kardynałów i ich orszaków, zamkniętych w Konklawe. Zasłony te miały na celu odjęcie członkom świętego Kollegium i ich towarzyszom możności znoszenia się za pomocą sygnałów ze światem zewnętrznym.

Drażniącej atmosferze niepokoju, panującej w Rzymie i w jego okolicach, odpowiadała dumnie na wzgórzu watykańskiem świąteczna cisza śmierci i sfinksowe oblicze pałaców papieskich.

Naokół Bazyliki, w cieniu murów i zwisającej z nich roślinności, snuły się pikiety żoł-

nierzy włoskich, którzy główny swój obóz nieopodal *Piazza della Sagrestia* rozbili. U bram, prowadzących w głąb dziedzińca świętego Damazego, świtały znowu barwy Szwajcarów, strzegących u wszystkich wylotów wnętrza Watykanu.

Tylko Bazylika była otwarta, a kolosalne wnętrze jej chłodnych marmurów zapraszało przechodnia w swoje podwoje. Kilkanaście osób, w oczekiwaniu na ukazanie się białego dymu z komina Sykstyny, zajęło miejsce na schodach, prowadzących z Placu do kościoła, jakby w obawie, że spodziewany napływ tłumów nad wieczorem może pozbawić je widoku oczekiwanej »dzisiaj« proklamacyi i błogosławieństwa *urbi et orbi*.

W kościele było nieco raźniej. Turyści, prawie wyłącznie Włosi z dalszych okolic Rzymu, modlili się u grobu Św. Piotra, oglądali arcydzieła Michelangela i Canovy, stali w zadumie nad skromnym grobowcem prowizorycznym zgasłego papieża. Niektórzy z nich rozprawiali szeptem z karabinierami, których część aż tutaj przyszła szukać chłodu, albo badali służbę kościelną o ewentualny koniec i wynik Konklawe.

Służba ta, *sanpietrini*, lokaje kościelni o typie pałacowej służby dworskiej, snujący się w czapkach liberyjnych krokiem leniwym po olbrzymiem wnętrzu Bazyliki, zdradzali dość chętnie, niby półgębkiem, w nadziei napiwka, wysokie

swoje »tajemnice stanu«. Rola ta barwiła ich oblicza w uśmiech protekcyonalny dygnitarzy, znudzonych przez natręctwo tłumu.

Taki to *Sanpietrino* oświadczył mi kategorycznie, że końca Konklawe przewidzieć niepodobna; że jednak są nadzieje rychłego wyboru papieża, na którego cześć zawieszono już purpurą wnętrze olbrzymiej loży ponad przedsionkiem świątyni. Papież udzieli błogosławieństwa tylko nawewnątrz kościoła (co się wbrew przepowiedniom licznych dzienników sprawdziło), a przedtem kardynał Macchi ogłosi wybór ludowi od strony Placu; proklamacya i benedykcya odbędą się prawie jednocześnie.

Na pytanie: kto będzie wybrany — Gotti, czy Rampolla? — oświadczył, że pierwszy »nie ma żadnych widoków« (miał w tym dniu rano dziewięć, a wieczorem trzy głosy) — Rampolli (miał wówczas trzydzieści głosów) boją się oni, *Sanpietrini,* a najpożądańszym dla nich byłby Vanutelli (nie mający już wtedy żadnego głosu), pomiędzy którym a Rampollą, jak powiadał, rozstrzygnie się wybór.

Notuję tu dla oryginalności ów głos opinii *Sanpietrinów,* których wiadomościami karmiło prasę europejską wielu »korespondentów zagranicznych«, wysiadujących całymi dniami w pobliskich winiarniach. O kardynale Sarto, który miał już wtedy dwadzieścia kilka głosów i za-

czął grozić poważnie Rampolli, nie wspomniał ani słowem żaden z tych argusów.

Około godziny 5-ej znalazłem się znowu na Placu świętego Piotra, który przedstawiał tym razem odmienny, bo wręcz ożywiony widok. Upał zmniejszył się znacznie, a zewsząd ciągnęły pojazdy i tłumy w nadziei ujrzenia o godzinie 6-ej dymu białego ponad Sykstyną, proklamacyi papieża i benedykcyi.

Dym, i tym razem czarny, ukazać się miał dopiero nazajutrz zrana. Zawód spotkał nawet najgorliwszych, którzy w znacznej pono liczbie, ufni w wybór niedzielny, zapowiadany przez wróżbitów, do późnej nocy na Placu św. Piotra przetrwali. Mnie uratował rozkład jazdy kolejowej, wykazujący rychłe odejście pociągu wieczorowego do Anzio.

Kiedym opuszczał Plac świętego Piotra, był on już niemal całkiem natłoczony. Dawna cisza ustąpiła miejsca pogwarowi ludu, napływającego wraz z chłodem od miasta... Około 6-ej gwar przycichł, a tłum, oczyma, utkwionemi w pałace Watykanu, z których cienką linijką czarny komin Sykstyny wznosił się ku niebu, usiłował wywołać z tych murów, po dawnemu milczących i tajemniczych, jakowyś ślad życia, wyczytać ich treść wewnętrzną, położyć kres pragnieniom niezaspokojonym, jakie go nurtowały.

Kamienny sfinks, nieporuszony magnetyzmem tłumów, tulił się tymczasem cichy, jak za dnia, niemy, a dumny, w mroki południowej nocy.

* * *

We wtorek, dnia 4 sierpnia, wybrałem się z Anzio na dłuższą wycieczkę do Grot Nerona, o których ruiny fale morskie roztrącają się dzisiaj z takim samym szumem, z jakim igrały niegdyś po marmurach w epoce cezarów. Powracałem z tej okolicy ustronnej a uroczej, cichym wieczorem, kiedy słońce tonęło już w morzu, rzucając na jego granat ostatnie swoje promienie, a Kampania z dziwną słodyczą i spokojem do snu się układała... Nagle przerwały zadumę moją odgłosy dzwonów, bijących na razie wolno i uroczyście, a potem coraz szybciej i potężniej z wieżyc kościelnych w Anzio. Nie umiałem z tego zdać sobie sprawy. Dopiero napotkany w drodze staruszek oznajmił mi głosem radosnym wieść o dokonanej elekcyi.

— *Hanno fatto il nuovo Pontefice!* — *ecco'l giornale* — mówił.

W gazecie czytałem wiadomość południową o wyborze kardynała Sarto, wieść, która o tej godzinie wieczornej cały już może świat cywilizowany obiedz zdołała.

Nazajutrz podążyłem zrana do Rzymu, aby przyjrzeć się jego fizyognomii bezpośrednio po dokonanym wyborze.

Na placu przed dworcem i na ulicach sąsiednich liczni przekupnie głosem donośnym obwoływali tysiączne wydania pism, illustracyi fantazyjnych, przedstawiających scenę elekcyi, wizerunki nowego Papieża, a nawet karty pocztowe z wyobrażeniem przyszłej jego koronacyi — *l'incoronazione del Santó Pădré, due per soldo!* — pomimo, że o samym terminie tej uroczystości najsprzeczniejsze jeszcze krążyły wieści. Spodziewano się jej we wrześniu, a nawet w grudniu. Sam Papież miał ją tegoż dnia (4 sierpnia), wedle wiadomości weneckiej *Difesa*, zapowiedzieć w rozmowie z redaktorem tegoż dziennika na dzień 8 grudnia 1903 roku. A wszelkie wieści weneckie z Watykanu cieszyły się wyjątkowem powodzeniem w Rzymie, gdzie sobie z ust do ust podawano wspomnienia liczne i anegdoty na temat przywiązania Piusa X do królowej Adryatyku.

Kto w latach ostatnich bywał w Wenecyi, mógł był istotnie odszukać we wspomnieniach swoich postać poważną miejscowego patryarchy, wyniesionego dzisiaj na Stolicę Piotrową, kardynała Sarto, który wyjątkowym szacunkiem i przywiązaniem tamtejszej ludności się cieszył. Wspomnienie jego osoby łączyło się z obrazem

nabożeństw uroczystych u świętego Marka, z pamięcią procesyi tłumnych a malowniczych na *Piazzetta* i *Riva degli Schiavoni*.

Przed świętym Piotrem panował ruch niezwykły i ożywienie. Zmniejszone pikiety wojsk włoskich nie opuściły jeszcze wprawdzie dawnych posterunków swoich, a straże papieskie świeciły, jak dawniej, błyskiem bagnetów, lecz nastrój ogólny cechowała swoboda — czy to w postawie publiczności, przechadzającej się pod kolumnadą, czyli też w ruchu podjazdów, krążących z kardynałami i z dygnitarzami dworu papieskiego pomiędzy miastem a Watykanem.

Dawny stan nużącego oczekiwania i niepokoju ustąpił miejsca wytchnieniu, atmosferze pogody i zadowolenia, w jakiej kąpały się ulice Rzymu, pomimo upału.

We czwartek zrana znalazłem się w Bazylice, gdzie łoskot oskardów i pogwar rzeszy robotników zwróciły moją uwagę. Pod dozorem *Sanpietrinów* ludzie ci, ze sprawnością i pośpiechem, dziurawili marmurową posadzkę świątyni, wbijając nizkie słupy metalowe w ziemię i łącząc je poręczami.

Objaśniono mnie, że są to przygotowania do koronacyi, a mianowicie — roboty nad baryerami, jakie zabezpieczyć mają swobodę ruchów orszakowi papieskiemu wobec spodziewanego naporu tłumów. Objaśniono mnie także, że koro-

nacya odbędzie się już w najbliższą niedzielę, i że bilety na tę uroczystość wydaje w Watykanie *monsignore* Bisletti. Ruszyłem ku *Porta di Bronzo* i, minąwszy malowniczą wartę Szwajcarów, która na pytanie o ekscelencyę udzieliła mi wolnego wstępu w głąb Watykanu, znalazłem się po chwili na drugiem piętrze wspaniałej klatki schodowej, w antykamerze *monsignora*.

Bilety, pomimo, że rozdać ich miano całe 50.000, do zdobycia łatwe nie były. Rzymianie i Włosi otrzymywać je mogli z rąk proboszczów swoich; od cudzoziemców specyalnych rekomendacyi żądano. Wyfrakowana służba *monsignora* bąkała coś o niezbędności obostrzeń, dając nawet delikatnie o anarchiźmie do zrozumienia i zapowiadając popyt niebywały na bilety ze strony *forrestierów*, których krocie jakoby do Rzymu zjechać miały. Wspomniano także o zamówieniach telegraficznych i o protekcyach wysokich, jakie w celu uzyskania biletu były niezbędne.

Gdyby nie nagły a przyśpieszony termin koronacyi, gdyby nie sezon wyludnienia Rzymu i niemożność podążenia tamże z wielu punktów Europy na uroczystości koronacyjne, bilet wstępu stałby się był niewątpliwie dla większości turystów walorem, wręcz niedostępnym, za jaki w pierwszej chwili sam go uważałem.

Mówiono wprawdzie, że biedniejsi Rzymianie

odstępować będą bilety swoje; że w ostatnim momencie da się je nabyć od przekupniów na Placu świętego Piotra, albo od portyera hotelowego; ale mogły to być nadzieje złudne, zwłaszcza, że wzrostowi cen spodziewanych zakreślano granice bajeczne.

W takich warunkach, wśród ogólnej pogoni za złotem runem, wśród wieści najsprzeczniejszych o możności i niemożliwości uzyskania wstępu, wśród błysków nadziei i chmur zawodu, wśród napięcia, zbliżonego do atmosfery gry i hazardu, uderzyłem w starania o odpowiedne rekomendacye. Niepokój potęgowała wieść, że bilety rozdawać miano dopiero w chwili ostatniej w sobotę wieczorem, aby utrudnić fałszerzom naśladowanie ich wzoru; ktoby zaś przedtem w sposób odpowiedni biletu nie zamówił, nie otrzyma go wcale. Tymczasem, roznoszone po ulicach w coraz to nowszych wydaniach zapowiedzi i opisy uroczystości, targały nerwami wyczekujących — przyszłych szczęśliwców i zawiedzionych.

W sobotę, w godzinach popołudniowych, zdobyłem nakoniec pożądaną rekomendacyę do *majordoma* dworu papieskiego, *monsignora* Cagiano de Azevedo, i podążyłem z nią na Watykan.

Monsignore śniadał w tej chwili, a i potem przez parę godzin *siesty* miał być niewidzialny. Dystyngowana służba wzbraniała nawet na razie

wstępu ze schodów marmurowych do antykamery, twierdząc, że nie może ona pomieścić ani cząstki tych osób, jakie nad wieczorem, w godzinie przyjęć, cisnąć się będą przed oblicze Jego Ekscelencyi.

Rekomendacya moja, jakkolwiek przyjęta mile, otwarła przedemną, dopiero po półgodzinnym postoju, ciężkie drzwi wchodowe, poza któremi znalazłem się w obszernym pokoju; za nim widniał szereg dalszych poczekalni, przyozdobionych portretami zgasłego Papieża. Znalazłem się tam wraz z żoną, w gronie paru osób, które do tego Sezamu już wcześniej dotrzeć zdołały.

W ciszy, przerywanej coraz dzwonkiem ode-drzwi wchodowych, strzeżonych pilnie przez lokaja, który cierpliwie, z uśmiechem słodyczy na ustach, powtarzał wkoło formułę o *sieście monsignora* i cofał przybywających, zaczęły się długie minuty i kwadranse oczekiwania na podział biletów.

Kilka razy zdążył stary kamerdyner zwilżyć wodą marmurowe posadzki antykamery, i kilkadziesiąt dzwonków przebrzmiało daremnie u wejścia, nim nas zaproszono do poczekalni ostatniej, umeblowanej nieco wspanialej, a pełnej kartek zadrukowanych. Zwiastowały one, że Pius X nie życzy sobie podczas uroczystości niedzielnych żadnych manifestacyi, lecz zaleca obecnym spokój zupełny i nabożne skupienie ducha.

Zaledwie zajęliśmy miejsca na kanapie, do salki wkroczyli olbrzymi wzrostem żandarmi papiescy, w poważnym stroju czarnym, ozdobionym srebrem, i stanęli wyprostowani u drzwi *monsignora*.

Poczekalnia zaczęła się zwolna, a potem coraz hyżej zapełniać publicznością wielojęzyczną, w której szeregach, obok strojów wykwintnych, widniały szaty duchowne księży i mnichów, czarne woale Rzymianek, a za nimi wytarte świty robotników. Już bliskim zdawał się kres naszego wyczekiwania, kiedy na tubalny okrzyk: *permesso!* i chrzęst otwierających przejście żandarmów, tłum rozwarł się na dwoje, tworząc szpaler od wejścia do drzwi *majordoma*.

Na salę wbiegł szybkim krokiem młodzieniec i, salutowany przez żandarmów, a zażenowany ruchem publiczności, która go wzrokiem zazdrości ścigała, znikł w głębi apartamentów. Był to, jak mnie objaśniono, poseł Stanów Zjednoczonych przy Watykanie.

Minęło pół godziny, nim wyszedł z plikiem biletów koronacyjnych w ręku. Publiczność zwarła się znowu, oczekując na ekscelencyę.

Ow nie ukazał się jednak wcale. Wysłany lokaj głosem donośnym oznajmił, że wszyscy Włosi winni zgłaszać się po bilety do swych proboszczów i przełożonych; jedynie tylko cudzoziemców proszono o karty wizytowe i o re-

komendacye, jakie posiadali. Złożyliśmy je natychmiast na ręce służącego, który znikł za drzwiami.

Była godzina 6-a wieczorem, kiedy po trzechgodzinnem wyczekiwaniu — w zamian za powierzone sobie papiery, jowialny, elegancki Figaro *monsignora* wręczył mi dwie karty zadrukowane... Jednę kremową (miejsce lepsze, wymagające stroju czarnego i woalu), dla żony mojej, a drugą białą (wstęp zwykły) dla mnie samego.

Grzeczność dla dam święciła tym razem tryumf i w Watykanie.

Z radością niekłamaną rozglądałem się w tych dokumentach, zaopatrzonych w numery, herby i pieczęcie, a opiewających w dosłownem brzmieniu:

Sacri Palazzi Apostolici.

„Biglietto d'ingresso nella Basilica Vaticana per assistere alla Solenna Messa Pontificale del regnante Sommo Pontifice Pio X e alla Sua Coronazione, che avrà luogo Domenica 9 Agosto alle ore 8½ ant.

Dal Vaticano il 6 Agosto 1903.

Il Maggiordomo di Sua Santità
P. Cagiano de Azevedo".

Nadszedł wreszcie dzień uroczysty, niedziela dnia 9 sierpnia 1903 r.

Ponieważ początek obchodu oznaczono w biletach na godzinę 8½, a otwarcie Bazyliki już na szóstą zrana, należało śpieszyć się bardzo, wobec spodziewanego natłoku, z pozyskaniem odpowiedniego miejsca.

Rzym przybrał już od świtu postać świąteczną. Nawet w odległej od Watykanu dzielnicy dworca kolejowego, na *Piazza Termini, Via Cavour* i *Nazionale,* zapanował o 6-ej rano ruch tak ożywiony, jakgdyby tam uroczystości jakieś się gotowały.

Kiedyśmy przed godziną 7-ą mijali most na Tybrze, zdawało się, że wobec naporu tłumów, dążących ku Placowi św. Piotra, wobec szeregu pojazdów, sunących naprzód z mozołem, nasz *vetturino* nie dotrze do celu. Co chwila zwalnialiśmy biegu, rozglądając się w fali pieszych i jezdnych, zalewającej miasto w okolicy Zamku św. Anioła... W miarę zbliżania się do kresu, tłum rósł i zwierał swoje szeregi, grożąc natłokiem. Przekupnie, sprzedający owoce, ser, salami, wino i stołki składane, docierali z trudem do pojazdów, częstując tem natrętniej swoim towarem i głosząc niezbędność nabywana siedzeń, jadła i napoju wobec długiej uroczystości.

Zatrzymaliśmy się wreszcie na skraju Placu

św. Piotra, naprzeciw Bazyliki, skąd pieszo już musieliśmy zmierzać do wrót świątyni.

Po drodze tłum, przekupnie i podejrzane osobistości, częstujące biletami, fałszywymi bodaj, za drogie pieniądze; wokół — morze głów ludzkich, ujęte w ramy słynnej kolumnady... U schodów, wiodących do Bazyliki, szpalery wojsk włoskich, stojących pod bronią, strzegły najbliższych okolic kościoła od naporu ludu.

Barwny ten szpaler rozwidlał się w kierunku Zakrystyi, tworząc gardziel, błyszczącą od bagnetów, z której pojedyńczo, wąskim strumieniem, posiadacze biletów wylewali się w stronę świątyni.

Podążyliśmy śpiesznie za nimi i, przepuszczeni przez warty, które pobieżnie tylko okiem na legitymacye nasze rzuciły, znaleźliśmy się o godzinie 7-ej w przedsionku kościoła.

Wszystkie podwoje, z wyjątkiem zamurowanej *Porta Santa*, stały otworem, a w olbrzymich ich łukach widniały poważne straże wojsk papieskich, złożone z żandarmów i z dorodnych olbrzymów-grenadyerów Jego Świątobliwości.

Szpalerów, prowadzących do środkowych wrót Bazyliki — w głąb, ku Konfessyi św. Piotra, strzegły wzdłuż baryer zwarte szeregi zbrojnej piechoty papieskiej, błyszczącej złotem guzów i galonów w promieniach porannego słońca...

Już w marmurowej hali przedsionka, zasłanego szczątkami podartych kart wstępu, pano-

wał przedsmak tego natłoku, jakiego każdy z wchodzących mógł był oczekiwać z trwogą w głębi świątyni, wznoszącej dumnie kolosalne sklepienia swoje ze złota i marmurów ponad głowami rosnącego tłumu.

Połączeni z nim, minęliśmy pierwsze odrzwia na lewo, w których uprzejmy oficer żandarmów zwrócił nam bilety nasze w całości i skierowaliśmy się w głąb kościoła, dążąc ku Konfessyi św. Piotra.

W połowie drogi, około posągu świętego Kamila, pochód dalszy stał się niemożliwym. Znaleźliśmy się w zwartej grupie mnichów, rozprawiających żywo o miejscu, z którego miał się ukazać Papież.

Obiegały pod tym względem wieści najsprzeczniejsze, choć rozejrzenie się spokojne po wnętrzu Bazyliki mogło było udzielić w tej mierze informacyi całkiem dostatecznych.

Kolosalna świątynia, której filary marmurowe przybrano w pasy z adamaszku karmazynowego, obramione złotem, zdawała się zmniejszać pod tą ozdobą rozmiary swoje i ułatwiać oryentowanie się naokół wśród ludu, wojsk, i napisów, wzbraniających manifestacyi.

Tłum skupił się prawie wyłącznie w nawie głównej [1]), prąc z obu stron na baryery, poza

---

[1]) Nazywamy tak środkową halę świątyni.

któremi, środkiem kościoła, biegło obstawione strażą przejście szerokie dla Papieża i jego orszaku.

Sięgało ono od kolosalnych wrót środkowych świątyni — pod kopułę — aż do Konfessyi Księcia Apostołów.

Po drodze zbrojny ten szpaler rozgałęział się w dwóch kierunkach, tonących poza filarami nawy głównej.

Odnogą prawą dotykał kaplicy N. Sakramentu, lewą — zwracał się ku ołtarzowi św. Grzegorza, gdzie przestrzeń kilkudziesięciu metrów kwadratowych, pokryta suknem zielonem, otoczona baryerą i ławami, spowitemi w jasne gobeliny jedwabne, a przyozdobiona purpurą i złotem mniejszego papieskiego tronu, którego strzegli szwajcarowie w barwnych strojach Odrodzenia — służyć miała, jako miejsce pierwszego hołdu św. Kolegium, przed majestatem Piusa X.

Przestrzeń kolistą Bazyliki, tuż pod kopułą — tam, gdzie w pośrodku wznosi się Konfessya św. Piotra — ołtarz papieski — odgrodzono baryerą od strony kościoła i obstawiono ją wojskiem.

Poza tą baryerą widniała w głębi świątyni przestrzeń wolna, a olbrzymia, pozostawiona prawie wyłącznie do użytku Papieża i jego dworu. Prawie — albowiem cząstkę zaklętego koła, ku lewej ręce, a w bezpośredniem sąsiedztwie tłumu, zajmowały panie w czarnych su-

kniach i welonach; ku prawej zaś — w pobliżu Konfessyi, ustawiono opartą o filar kopuły trybunę bogatą ze szkarłatu i złota, przeznaczoną dla ciała dyplomatycznego i dostojników zagranicznych.

W głębi — na miejscu wielkiego ołtarza, zaściełały ścianę całą od stropu do ziemi draperye kolosalne z adamaszków, mieniących się karmazynem jedwabiów, złotem sznurów, frendzli i podtrzymujących tysiączne upięcia, aniołów skrzydlatych... Było to tło właściwego tronu, który wznosił się tam na podwyższeniu szkarłatnem, pod baldachimem z purpury i złota, zasłany lamą srebrną, ujętą w czerwony szlak aksamitny, przetykany złotem.

Przestrzeń, zarezerwowana naokół tronu i Konfessyi, była jeszcze wolną w chwili, kiedy po raz pierwszy wzrok na nią zwróciłem.

Zwolna zapełniała się ona uniformami dygnitarzy, dążących do trybuny, kostyumami historycznymi arystokracyi i dostojników dworu papieskiego... W barwnym kalejdoskopie mieniły się tu: czerwień, lazur i złoto, błyski drogich kamieni, atłasy i aksamity, gra pióropuszów, zdobiących kaski i hełmy.

Zewsząd płynęły te postacie, zapuszczając się nawet w głąb szpaleru, prowadzącego ku wyjściu, jakgdyby im żal było rozstać się z roz-

iskrzonem wejrzeniem tłumów i zająć przeznaczone miejsca na uboczu.

A tymczasem rósł pogwar w kościele, gdyż w loży, panującej ponad portykiem, ukazali się trębacze papiescy. Szpaler przebiegać zaczęły malownicze straże szwajcarów ze srebrzystemi halabardami w dłoniach, a za niemi napływał zdala szmer cichy, który zamienił się wkrótce w potężny szum rzeki...

Ludzie gromadzili się na gzemsach u filarów, zazdroszcząc tym, którzy lepsze miejsca zdobyli, tłum chwiał się i kołysał, grożąc katastrofą, a w oddali dały się słyszeć jęki zagrożonych, skierowując myśl ku wyjściu, lub bodaj ku zbudowanym w nawach bocznych oddziałom sanitarnym...

Nagle zapanowała cisza i z ciszy tej wystrzelił oddalony gwar głosów, zwiastujących coś niezwykłego.

Pomimo zaduchu i gorąca, które pozbawić mogły przytomności, skierowałem wzrok mój ku wejściu, gdzie ruch jakiś się poczynał. Zegar kościelny wskazywał 5 minut do 9-ej, gdy wśród ciszy chwilowej tłum zakołysał się znowu, dysząc niepokojem, a w podwojach świątyni ukazał się las halabard, wyprzedzających orszak papieski.

Nikt nie patrzył na barwną jego wstęgę, sunącą zwolna, poważnie, w głąb Bazyliki. Upa-

trywano z oddechem zapartym kogoś i czegoś, co za moment ukazać się miało.

Mignął zdala krucyfiks złoty, wzmógł się szum ludzkiej fali i naraz głosy rozmodlone: *Eccolo! Lui! Lui!* zwiastowały zbliżanie się Arcykapłana.

Wzrok wytężyłem ku wejściu: W olbrzymich podwojach zajaśniało nagle zjawisko niezwykłe.

Tłum przesłonił na chwilę widok na orszak papieski; ze stropu Bazyliki padła smuga elektrycznego światła i, przemknąwszy ponad głowami ludu, zadrgała falą białego blasku w odrzwiach świątyni.

A z blasku tego wyłoniła się, jak na zaklęcie, siedząca postać biskupia, z ręką do błogosławieństwa wzniesioną, w infule srebrnobiałej, jak światło, z którego wyszła i, zakołysawszy się przez chwilę nad morzem głów ludzkich, spłynęła wolno, majestatycznie, niby tajemniczym powiewem niesiona, w głąb Bazyliki.

Tłum poruszył się, stanął i w milczeniu wzrokiem wytężonym śledził zbliżającą się *sedię*, około której, na wysokości głowy papieskiej, sunęły dwa wachlarze z białych piór strusich, ujętych w ciemny aksamit i srebro.

Szmer fali ludziej, towarzyszący zjawisku od wejścia, stopniał nagle w potężnym okrzyku *Evviva!* w powiewie chustek białych, skierowa-

nych przez rąk tysiące w stronę Papieża i we frenetycznym oklasku tłumów.

Szybkiem, energicznym cofnięciem ręki błogosławiącej, Papież przywrócił milczenie i w ciszy tej zagrzmiały niespodzianie z górnych sfer świątyni, z logii od wejścia, słynne trąby srebrne, witające po raz pierwszy Piusa X-go hymnem przepotężnym: *Tu es Petrus*...

Akompaniowały im od Konfessyi św. Piotra głosy śpiewaków mistrza Mustafy.

Papież zbliżał się ku nam...

Otoczona wieńcem halabard i bagnetów, a odwracająca uwagę od wspaniałości orszaku, mijała *sedia* roziskrzone źrenice ludu, unosząc Papieża dalej i dalej, ku oczekującym go nowym zastępom... Wreszcie zrównała się z nami.

Na fotelu z aksamitu wiśniowego, pokrytego haftem bogatym, spoczywał Pius X w sutannie białej i płaszczu złotolitym.

Srebrna infuła zdawała się ciążyć brzemieniem na jego głowie o twarzy pełnej, łagodnej, pobladłej ze wzruszenia, a noszącej na sobie piętno słodyczy i dobroci porywającej.

Nadawała ona rysom papieskim wyraz uduchownienia, przykuwający do siebie rozmodlone spojrzenia tłumów, które chyliły się kornie, usiłując przyklęknąć pod błogosławiącym je ruchem ręki Arcykapłana.

A Papież ze spojrzeniem zadumy, utkwionem

w głowy ludu, czynił znak krzyża i z szeptem modlitwy na ustach posuwał się dalej, dążąc ku kaplicy N. Sakramentu.

Na skręcie powitał go znowu grzmot głosów i oklasków... I znowu ruchem ręki przywrócił milczenie... *Sedia* skierowała się ku odrzwiom kaplicy, zawisła przez chwilę nad głowami tłumu, a potem, otoczona barwnem kołem szwajcarów, gwardyi i kawalerów maltańskich, zsunęła się cicho na ziemię. Pokrył ją las halabard i szyszaków straży... Papież w głębi kaplicy oddawał się adoracyi Ciała i Krwi Pańskiej...

Po kwadransie ruszył Pius X w tym samym porządku, wpoprzek kościoła, zmierzając ku ołtarzowi św. Grzegorza, gdzie kardynałowie hołd mu składać mieli...

Wyniesiono go stamtąd procesyalnie pod baldachimem z jedwabiów i złota, otoczonego kołem jarzącego światła, a poprzedzanego przez purpurowy tłum kardynałów, z Agliardim i Vanutellim na przedzie, a z Rampollą, Gottim, Svampą, Gibbonsem, Skrbenskym i Martinellim w dalszych szeregach...

Kiedy *sedia* znalazła się w pobliżu Konfessyi św. Piotra, głos jakiegoś Wenecyanina zabrzmiał nagle z tłumu okrzykiem radosnym: *Viva el nostro Patriarca!*...

Papież z uśmiechem zadowolenia na twarzy pogonił za nim spojrzeniem... Poniesiono go jednak

dalej, a w drodze do tronu dopełnił *monsignore* Riggi, w oczach Arcykapłana, symbolicznego całopalenia konopi, zakończonego filozoficzną przestrogą:

Pater Sancte! Sic transit gloria mundi...

Kolistą przestrzeń Bazyliki, przylegającą do Konfessyi, zapełnił tłum dostojny. Na lewo wyrósł las białych infuł, ożywiony polichromią mitr i kołpaków egzotycznych książąt Kościoła; na prawo stanęli w zwartych szeregach dygnitarze świeccy w mundurach, lśniących od złota, a u stóp Konfessyi i poza nią, mieniły się w słońcu purpury, krzyże i łańcuchy licznych eminencyi...

W głębi — za tym kalejdoskopem barw, marmurów i złota; za szeregiem wart honorowych, okalających Konfessyę od strony ludu; za bronzami grobu św. Piotra — siadł w majestacie Pius X na srebrnym tronie... Strumień elektrycznego światła padł na jego postać, tonącą w morzu kolorów, w bieli szat papieskich, a obramioną karmazynami kolosalnego tła baldachimu, z którego boków wyrastały strusie pióra wachlarzy i lśniły bezcenne klejnoty asystentów tronu.

Zapanowała chwila milczenia; Papież zstąpił z wysokości i, dosiadłszy *sedii*, podążył w gronie asysty na stopnie ołtarza. Stamtąd już, wśród dźwięków hymnu tryumfalnego Palestriny *Lau-*

date Sion..., zabrzmiał głos jego, tłumiony wzruszeniem: *Introibo ad altare Dei...*

Hymn bił z kopuły falami melodyi i pieśni, tłum szumiał, jak rzeka wezbrana, a poza Konfessyą św. Piotra, twarzą do ludu zwrócony, blady i w białem *zuchetto* na głowie, rozpoczynał Pius X świętą ofiarę.

Po chwili — już po *Confiteor,* znikła nam jego postać z oczu. Papież zasiadł wtedy na małym tronie u stopni ołtarza, oczekując na *pallium* z rąk kardynałów Macchiego i Segna... Niebawem ukazał się znowu na tronie głównym, w potokach światła elektrycznego, przodując obecnością swoją szeregowi obrządków długich, symbolicznych i religijnych, związanych z uroczystą mszą koronacyjną.

Kardynałowie ponowili na klęczkach hołd przed jego majestatem. Tymczasem jednak na pienia i modły tłumu biskupów, na hymny, rozbrzmiewające z wyżyn kopuły, padał głośny, bezceremonialny pogwar ludu, tworząc dyssonanse, nie licujące ani z miejscem i powagą chwili, ani z obecnością Arcykapłana, ani wreszcie — z usprawiedliwionem dążeniem wielu do pochwycenia paru, bodaj, niezagłuszonych melodyi wzniosłej muzyki, przedzierającej się z trudem z pod batuty Perosiego do uszu słuchaczów.

— *Domino nostro Pio, a Deo decreto Summo Pontifici et universali Papae, vita!* — woła chór

głosem potężnym, ale zbyt nikłym wobec tłumu, co szumi, jak burza...

— *Vivo Pio nono...* — akompaniuje mu głos jakiś silny, a niepowołany, z morza głów ludzkich, i publiczność, daleka już od rozmodlenia, czyni uwagi głośne na temat »uderzającego podobieństwa» obu papieżów, racząc się jednocześnie koniakiem i winem...

A nieruchoma, biała postać Piusa X, zmartwiała ze znużenia, tonie w głębi tronu, spowita blaskiem barw i świateł, rzucanych ze stropu świątyni.

Uroczystość, której szczegóły, nie zawsze widzialne dla ludu, uchodzą jego uwagi, staje się nużącą.

Ludzie, skupieni w upale i natłoku, omdlewający, bo stoją od rana, zwracają się wreszcie tu i owdzie ku przesmykom, wiodącym do naw bocznych, gdzie może, może, znajdą sposobność ulżenia członkom strudzonym...

Dążę i ja za nimi. W nawie lewej chłód i przestrzeń wolna, pociągająca ku sobie. Publiczność, ocierając pot z czoła, przechadza się parami po zbrukanych marmurach posadzki i, rozprawiając żywo, szuka siedzeń u podstaw filarów, dąży ku adamaszkowym zasłonom namiotów sanitarnych, wciska się poza kotary OO., zawieszone obok Chrzcielnicy, w kaplicy św. Jana.

W olbrzymich odrzwiach Bazyliki stoją znużone pikiety żandarmów i grenadyerów papieskich, a poza nimi — w głębi przedsionka, otwiera się widok, zdumiewający nawet we Włoszech.

Od Konfessyi św. Piotra, od strony papieskiego tronu, brzmią pienia chóru: *Tu illum adjuva...* i łamią się z pogwarem ludu — a tu na posadzce, zamienionej w błoto, na stosach brudnych, podartych papierów, na szczątkach niedopałków, owoców i kapeluszy, wśród obłoków dymu tytuniowego, wala się tłum o głowach nakrytych, paląc w postaci leżącej cygara i papierosy, spożywając brzoskwinie, ser i salami, albo częstując się z oplatanek koniakiem i winem.

Miałem chwilę niesmaku; wkrótce jednak ogrom Bazyliki wydał mi się miastem o wielu a rozmaitych dzielnicach.

Tam — zawrotne otchłanie przepychu, dwór i jego dostojnicy; dalej — armie, lasy halabard i pióropuszy, dystyngowane koła rzymskich i obcych obywateli, place, natłoczone ludem, szpitale i ulice. Tu — dzielnica Zatybrza z jego malowniczością, ubóstwem i brudem. Wszystko — zawarte w ścianach niebotycznych jednej świątyni, jaśniejącej połyskiem marmurów i rzeźbami olbrzymiego stropu, a ukoronowanej kopułą, co Rzym i wieczne jego pamiątki przygniata. Pod tą kopułą, u Grobu Księcia Apostołów, w sercu

dzielnic i rozmaitego ludu, Arcykapłan sprawował teraz świętą ofiarę.

W chwili, kiedy w drodze powrotnej dotarłem w okolice Konfessyi, kardynał-dyakon, profilem do ludu zwrócony, stał na najwyższym stopniu ołtarza i pośredniczył pomiędzy nim a Papieżem.

Po Epistole i Ewangeliach, odśpiewanych przez przedstawicieli różnych obrządków u tronu, nastąpiła ceremonia średniowieczna z Hostyą i winem, niewidoczna dla publiczności.

Konsekracyę wśród srebrnej fali dzwonków odbył Papież u ołtarza, poczem natychmiast na tron powrócił.

Zajaśniała tam jego postać w otoczeniu kardynałów, z których jeden, Pierotti, wręczył mu Hostyę, a Macchi kielich złoty.

Pius X, spełniając najważniejszy akt symboliczny swego dostojeństwa, przyjął komunię, nie powstając z tronu; z rąk jego komunikowali, klęcząc u stóp papieskich, kardynałowie Macchi i Segna. Msza dobiegała kresu.

Rozległy się ciche słowa benedykcyi i wnet potem Papież, przyjąwszy od kardynała Rampolli archaiczny podarek zbiorowy 25 paolów ($12^1/_2$ lir.) — t. zw. *Presbiterium pro missa bene cantata*, ukazał się na *sedii*, w otoczeniu dworu, poprzed Konfessyą św. Piotra.

Nastąpił szereg chwil równie uroczystych,

jak ta, kiedy Papież po raz pierwszy zstąpił do Bazyliki.

Wspaniały orszak rozwinął się wszerz kościoła, u stóp Konfessyi, od strony ludu. Nieco ku ręce prawej opuszczono *sedię*, która spoczęła na lekkiem wzniesieniu. Kardynałowie, patryarchowie i tłum biskupów otoczyli Papieża, nie przesłaniając jednak widoku na jego postać siedzącą. Po lewej ręce Piusa X stanął Wielki Asystent tronu, Filip ks. Orsini, w aksamitach brylantami tkanych; po prawej — duchowni jego towarzysze.

— *Corona aurea super caput ejus!* — zagrzmiały chóry, a kardynał Macchi, stojąc u stóp Papieża, szeptał wzruszony słowa modlitwy Pańskiej.

Nastała cisza śmierci. Kardynał Steinhuber, zbliżywszy się do Papieża, zdjął ruchem poważnym z głowy jego srebrzystą infułę biskupią, pod którą zajaśniało białe *zuchetto*.

I wtedy, jak wyrosła z ziemi, ukazała się nagle w sąsiedztwie Papieża postać wyniosła kardynała Macchi ze złotą, klejnotami sadzoną, tyarą w dłoniach.

— *Accipe tiaram, tribus coronis ornatam, et scite esse patrem principum et regum* — mówił głosem doniosłym kardynał. Dalsze słowa formuły odwiecznej utonęły w pogwarze tłumu.

Wraz z wyrazem *amen*, wypowiedzianym do-

bitniej, a wśród ogłuszających oklasków i okrzyków ludu, tyara spoczęła na głowie Piusa X.

Pochyliły się halabardy straży, które na klęczkach witały tę chwilę, a o mury Bazyliki odbił się hymn uroczysty trąb i głosów śpiewaczych: *Tu es Petrus...*

I nastała znowu chwila milczenia: Papież szeptem rozpoczął modlitwy, których tekst dwaj biskupi, klęcząc, zbliżali mu do oczu, poczem wstał i, stojąc, wygłosił mową drżącą wielką benedykcyę, wysłuchaną przez obecnych z nabożnem skupieniem.

— *Sancti Apostoli Petrus et Paulus, de quorum potestate et auctoritate confidimus, ipsi intercedant pro nobis ad Dominum* — mówił Papież.

— *Amen* — odpowiedział tłum.

— *Precibus et meritis B. Mariae... et omnium sanctorum misereatur vestrum omnipotens Deus, et dimissis omnibus peccatis vestris perducat vos Jesus Christus ad vitam aeternam.*

— *Amen.*

— *Indulgentiam, absolutionem, et remissionem omnium peccatorum vestrorum, spatium verae fructuosae poenitentiae... at finalem perseverantiam in bonis operibus tribuat vobis omnipotens et misericors Dominus.*

— *Amen.*

— *Et benedictio Dei omnipotentis, Patris, et Filii et Spiritus Sancti* — kończył Papież, wzno-

sząc obie ręce ku niebu — *descendat super vos et maneat semper.*

Rozgłośne *amen* z ust wielotysięcznego tłumu, było odpowiedzią na to błogosławieństwo ostatnie, zamknięte, zwyczajem Włochów, gorącym oklaskiem obecnych.

Czuło się, że lud rzymski, świadomy obrzędów koronacyjnych, zbliżył się w tym momencie uroczystym z ufnością do »swego« Arcykapłana, że dziękował mu za jego miłość ku sobie, za modlitwę i poniesione trudy.

Moment ostatni, zamykający uroczystości dnia tego, przeszedł powagą nastroju i potęgą swego wyrazu wszystkie, bodaj, chwile, jakich świadkami byliśmy w kościele.

Sedia zawisła znowu na barkach służby papieskiej, a orszak wspaniały sunął wolno i uroczyście szpalerem barwnej straży ku widniejącym w dali podwojom świątyni.

Przodem kroczyły malownicze oddziały Szwajcarów z halabardami stylowemi w dłoniach. Wśród lasu stali złocił się krzyż Krucyfera, zwrócony w stronę Papieża. Dalej kroczył tłum mitr srebrzystych, które zasłały całunem białym przejście papieskie niemal od Konfessyi, aż do dalekich wrót kościoła; za niemi postępowali dostojnicy wschodni w infułach szafirowych, w kołpakach, szytych perłami, w mitrach baniastych z blachy złocistej i srebrnej; sunęli kar-

dynałowie w płaszczach książęcych z purpury, a Papież, siedzący między wachlarzami z piór na *sedii* pod baldachimem, błyszczący klejnotami korony potrójnej, stał jeszcze w miejscu, ścigając wzrokiem z poza okularów niknące w dali infuły.

Wreszcie ruszył i on, a wtedy zdało się nam, że spojrzeniem miłości i wzruszenia ogarnął ten tłum kierowników chrześcijańskiego ludu, kroczących kornie u stóp jego rydwanu; — że stanął na wyżynie majestatu arcypasterza nad olbrzymią rzeszą pasterzów świata.

Chwila była niezwykle podniosła i piękna.

Kiedy *sedia* mijała nas, postać Piusa X okazywała już tylko wielkie znużenie... Głowa w tyarze, pochylona ku przodowi, i twarz obficie zroszona potem — o wzroku w przestrzeń utkwionym, zdawała się należeć do innego człowieka, niż ten, który ręką, przybraną w jedwabną rękawiczkę białą i w pierścień Rybitwy, kreślił znak krzyża nad głowami tłumu.

Wśród niepohamowanych okrzyków ludu i dźwięków marsza Longhiego, *sedia,* za którą postępował tłum kawalerów maltańskich i dostojników dworu, skręciła u podwojów świątyni w stronę kaplicy *Pietà,* zawieszonej kotarą adamaszkową.

Wykonawszy na chwilę ruch, jakby powrotny, przyczem Papież kreślił znak krzyża, zbli-

żyła się do zasłony i znikła poza nią. Na karmazynowem tle adamaszku zarysował się barwny oddział Szwajcarów...

Tłum ruszył ku wyjściu. Było wtedy 1½ po południu. — Siedmiogodzinny postój na marmurach wszystkim dał się we znaki. Na placu św. Piotra w promieniach tropikalnego słońca świty robotników i fiolety biskupie walczyły o lepsze w tramwajach i omnibusach. Wojska włoskie opuszczały marszem uroczystym posterunki swoje, a pobliskie kawiarnie i *trattorie* opanowywał tłum głodnych i spragnionych. Piesza, wielotysięczna fala ludu zmierzała za Tyber ku miastu.

Z WYCIECZKI PO KRAJU.

GARŚĆ WRAŻEN.

(Św. Krzyż. — Opatów. — Sandomierz).

I.

Jeżeli na bruku miejskim, albo wśród okolic piaszczystych kraju ogarnie czasem człowieka tęsknota za czemś, co, jako piękno wsi, weszło do poezyi... Jeżeli wśród tęsknych pożądań roić mu się zacznie marzenie o wielkiem bogactwie natury, o dziarskości i dobrobycie ludu, o śladach świetności minionej — o tem wszystkiem, co, jako wspomnienie, lub wrażenie tężyzny polskiej, weszło do literatury, to... szlakiem utartym podąży tam, dokąd go poniesie wygodny wagon kolejowy — na łono przystosowanych do wieku XX letnisk, uzdrowisk, a wreszcie hotelów...

Najczęściej, nauczony doświadczeniem, zwraca się potem tęskny marzyciel ku obcym, zagranicznym drogom letniej wędrówki narodów, gdzie serdecznej tęsknoty swojej nie zaspokoi wprawdzie, ale znajdzie, bądź co bądź, podniosłe wrażenia inne i połączy umysłowe z fizycznem *utile dulci*... A jednak — nie urągając bynajmniej

kształcącym wpływom Zachodu — szkoda to wielka, moralna i umysłowa zarazem, że nie posiadamy w dostatecznej mierze sposobu zaspakajania porywów naturalnych ku widokowi pięknej, pouczającej swojszczyzny! Tam, gdzie u obcych stałyby dziś rzędy rywalizujących ze sobą »austeryi«, ściśle połączonych ze światem, znajdujemy u nas cenny dla badacza, ale mało dla nauki użyteczny, bo prawie niedostępny, byt swoisty natury i człowieka. A mówię tu nie o głębi puszcz i borów, nie o żadnym kącie dziewiczym, lecz o bogatej, historycznie świetnej, połaci południowej ziemi Sandomierskiej, która niegdyś, obok Krakowskiej, wydała zastęp wspaniały małopolskich panów i utrwaliła się przez nich tak wiekopomnie na kartach naszej przeszłości.

Dzisiejszy jeszcze powiew tej ziemi, strojnej w bogactwo natury, dziarskie typy ludu i niezliczone ślady architektoniczne »czasów złotych«, tłómaczy spostrzegaczowi tak jasno i potężnie przyczyny faktu, że Małopolska stała się niegdyś koroną ziem piastowskich — jak żaden, bodaj najmisterniejszy, argument gabinetowy, stwierdzający oczywistość wpływu natury na człowieka i dzieje. Że Kraków i Sandomierz musiały pobić Poznań i Gniezno — dość porównać okolice tych miast starodawnych, okolice, którym pod względem intensywności życia dziejo-

wego, sprostać nie potrafiła żadna inna piastowska dzielnica... Sama nawet stołeczna Warszawa, przyobleczona sztucznie, a szczęśliwie w swe dostojeństwo wysokie przed trzystu blisko laty, nie była w stanie wyrównać po dziś dzień młodszości kulturalnej szerokich równin mazowieckich z »karmazynowem« obliczem tych ziem pra-królewskich.

Kolej żelazna prowadzi nas z Warszawy powolnie, ale zbyt szybko dla oka, poprzez żyzne płaszczyzny Powiśla, zdobne w bujną roślinność starych drzew liściastych, brać tych, co szepcą dziś uroczyście pieśń dawną w pobliskich, starych Puławach ks. Izabelli... Mijamy szmaragdowe łąki stężyckie, zasłane kobiercem olbrzymim aż po kres widnokręgu, mijamy wdzięczną panoramę Radomia, łany Orońska, węgieł bogatych ziem iłżeckich i mury sędziwe siedmiowiekowego opactwa Cystersów w Wąchocku, aby stanąć wreszcie u stóp wzgórz starachowickich, na stacyi w Wierzbniku. Otwiera się przed nami urocza panorama górzystego kraju, w którego głąb ruszamy dalej drogą kołową, powożeni przez dziarskiego Sandomierzanina. Kieruje końmi energicznie, ochoczo i z wielką wprawą. Typ to na tle przepięknego widoku doskonały i bardzo charakterystyczny.

Zbyt długo oddany rolnictwu i osiadły na żyznej glebie, aby miał być górskim sokołem —

zbyt chwacki, wrażliwy i pełen ruchu, aby go ze spokojnym kmiotkiem naszych nizin żytnich zestawić — zdał mi się wybornem wcieleniem wpływów tak rozbieżnych, jak góry skaliste, dające rączą przedsiębiorczość w życiu i — niziny żyzne, usposabiające do trzeźwego poglądu na dobro tego świata. Typ ciekawy, typ dziejowego małopolanina, zachowany pod chłopską siermięgą przodków, która dzisiaj, jak wszędzie prawie, pod wpływem fabryk okolicznych, zamieniła się na brzydki strój miejski, nie licujący z obliczem automedona. Kobiety tylko, zwłaszcza starsze, zachowały jeszcze gdzieniegdzie odzienie dawne — chustę wzorzystą, zwiniętą w turban na głowie, zapaski ciemne ze znaczną domieszką barwy czarnej, wełniaki czerwone i kraśne gorsety.

Jedziemy w szczere Świętokrzyskie — do Szelig, siedziby niegdyś rodu tego miana i miejsca urodzenia syna Wisławowego, prymasa Bodzanty [1]), który wprowadzał ongi Jagiełłę na łono Kościoła, łączył go z Jadwigą i koronował wspólnie parę królewską w katedrze na Wawelu. Późniejsi w wieku XVI właściciele Szelig, skromni Szeliscy herbu Szeliga [2]), świetniejsze zaiste posiedli wspomnienie od wielu »królewiąt« Rzeczypospolitej...

---

[1]) B. Paprocki »Herby«, wyd. 1858 r., str. 377. — Por. nadto M. P. H. II. 941.

[2]) A. Pawiński, »Małopolska« III, str. 195.

Droga prowadzi nas w znacznej części szosą, rzuconą na pagórki, jak wstęga biała, a wiodącą z Kielc do Wąchocka. Zbaczamy z niej wreszcie na gościniec, przecinający lasy rządowe w kierunku Gór Świętokrzyskich. Całe długie ich pasmo, siniejące borami w oddali ponad okolicą falistą, porżniętą w wąwozy, panowało nad okolicą tego wieczora, kiedyśmy, wpatrzeni w spowitą przez »srzeżogę«, dwugarbną Łysą Górę, opuszczali się z wyniosłości w dół ku Szeligom. Ow dół jest także szczytem pagórków, stojących w górskiej kotlinie, to też przed wędrowcem otwiera się coraz to nowa panorama, jedna piękniejsza od drugiej, zdobna w lasy, majaczące na szczytach, to w barwne kobierce pól, zaściełających stoki wyniosłości, to wreszcie w szemrzące po głazach strumyki i bujną, tryskającą życiem, roślinność... Dwupiętrowy wąwóz pod Szeligami, wystrzępiony niegdyś przez wodę w łonie gór, tamujących przejście w dolinę, należy do bardzo pięknych tworów natury. Wytrzymałby z pewnością porównanie z niejedną szczeliną górską Saskiej Szwajcaryi, a nawet bardziej imponujących okolic dalszego Zachodu... Wreszcie, już wśród wioski, rozrzuconej malowniczo na tle wzgórz i wąwozów, wspinamy się pod górę, gdzie z widokiem na lasy i łąki, malujące się w dole, na luki dalekich widnokręgów gór, pól i wiosek, stanął u szczytu przed laty —

bodaj na miejscu swego poprzednika — stary dwór modrzewiowy o niskich komnatach, sieni kamieniem wysłanej i o nastroju iście staropolskim. W tym to, gościnnym domu pp. sędziostwa Janeckich, dokąd na srebrne gody gospodarstwa stawili się licznie krewni i okolica, odżyły wspomnienia dawne w sposób tak serdeczny i szczery, że się sceny z życia Imci p. Paska, rozwieszone po ścianach sędziwych; że się makata z pod Wiednia, jaśniejąca na stole w bawialni i zegar dwudwiekowy — wydały nie zabytkami chwil promiennych przeszłości odległej, lecz przedmiotami, zastosowanymi ściśle do czasu, osób i chwili...

W najbliższem sąsiedztwie Szelig szumi las stary, rozległy — las Zagajski — zakończony tam, gdzie już rzedną drzewa, a oko w dali rozległej tonie, widokiem przepięknym na Doły Opacie i Biskupie, na drogę górską do Kunowa i na dalekie, barwne mury Ostrowca.

Las ten żyzny i bujny, zdobny w przepych roślinności niemal fantastycznej, kryje w swem łonie wąwóz rozwidlony, bardzo głęboki i tajemniczy, a tak piękny w swym mroku, obramionym w górze szlakiem drzew strzelistych i liściastych: jodeł, buków, sosen, świerków i modrzewi, że dziwić się trzeba, iż nie stał się dotąd arcywzorem dla tych, co parki zakładają, arcywzorem, zastosowanym do flory i światła rodzimego,

które go wydały. Zlewa się z niemi tak harmonijnie, że dusza rośnie z zachwytu... Przykry bywa po widoku takim widok owych parków opacznych, owych planów, przeszczepianych sztucznie z pod obcego nieba — z Włoch, Francyi i Niemiec, bo kulawią one z jednej strony piękno oryginałów, a z drugiej — efekty naszego światła, naszej roślinności i naszej harmonii.

Ow las pod Szeligami, przepiękne w sąsiedztwie Grzegorzewice i Chybice, a wreszcie niektóre światła i mroki boru jodłowego na Łysej Górze, tuż pod klasztorem, godne są zaiste studyów najpoważniejszych ze strony planistów naszych, nie mówiąc już o pejzażystach, karmiących się pięknem natury.

II.

Drogą, wiodącą z Szelig przez urocze Grzegorzewice gościńcem leśnym, zawieszonym na stoku górskim u przepaści, ruszyliśmy do miasteczka Słupi, malującego się barwnie w dolinie, przylegającej do stóp Łysej Góry. »Łysiec« [1]) — to dawna jej nazwa pogańska, tak dalece za-

---

[1]) Por. M. P. H. II. 772. — Nazwa ta istniała jeszcze w roku 1405; por. Baliński i Lipiński, »Starożytna Polska« II. 307.

tracona pod wpływem Krzyża w pamięci okolicznego ludu, że »Łysą Górę«, o której słyszał coś niecoś, przenosi gdzieś — hen! w podkarpackie strony i czułby się szczerze dotknięty, gdyby ktoś tem mianem nazwał jego umiłowaną górę świętą, z której szczytu strzelają w niebo wieżyce świętokrzyskiego klasztoru.

Dawne, odwieczne pogaństwo tej pięknej ziemi, minęło, jak mija wszystko — może prócz łez »płaczących kamieni«, pokrywających wałem stoki świętej góry i płaczących dziś tak samo, jak ongi, w prawieku, u stóp masztowych jodeł świętokrzyskich.

U podnóża tej góry, tuż za Słupią, na zielonym kobiercu łączki, co biegnie nad drogą, klęczy jakaś postać z głazu wykuta, mchem starości okryta i oczy wielkie, niby w osłupieniu zastygłe, ku świętej górze zwraca. Pokrywa ją, jakby płaszcz, na rycerską kolczugę nadziany i bujne kędziory włosów, z obfitym zarostem splątane. Gdyby nie ręce, złożone do modlitwy i bose nogi pokutnika, sądzićby można, że ta postać sędziwa — to pogańska »baba«, którą tu Benedyktyni na pamiątkę czasów prastarych pozostawili nietkniętą. Mniemaćby można, że pragnęli, iżby ten głaz zagadkowy, korząc się przed świętością relikwii klasztornych, symbolizował słup graniczny między erą bogów pogańskich, których tu czczono i — Chrystusową. Ale nie!

Wszak to Emeryk (1007—1031), syn króla Węgier, św. Stefana, wnuk w linii ojczystej Adelajdy, Białej Knehini, siostry Mieszka I, osobistość, związana tak ściśle z tradycyą klasztoru Benedyktynów na Łysej Górze[1]). Gdybyśmy bowiem odrzucili bałamuctwa liczne, przekazane nam w związku z tą tradycyą o dziejach zamierzchłych klasztoru, gdybyśmy zapomnieli całkiem o dacie podaniowej jego założenia, roku 1006, o łowach legendowych Emeryka z Bolesławem Chrobrym (jakoby 1003 r.) pod Kielcami, kiedy to księciu węgierskiemu miał się ukazać anioł z rozkazem, by relikwię cenną, drzewo Krzyża św., jakie na piersiach nosił, ofiarował mnichom łysogórskim; gdybyśmy wreszcie szczegóły różne, historyi tej dotyczące, a w młodszym roczniku świętokrzyskim zawarte[2]), puścili mimo uszu z powodu zamętu dat, gmatwaniny osób i czasów, oraz wtrętów podejrzanych — to i tak pozostanie dość dowodów na to, by w naiwnem dziele sztuki pierwotnej, w pokutniku, który »na kolanach co lat sto o ziarnko maku ku szczytowi góry się posuwa«, powitać ucznia św. Gerharda zakarpackiego gościa — Emeryka!

Mętne tradycye średniowiecznych źródeł świę-

---

[1]) Por. O. Balzer, Genealogia Piastów 73—75.
[2]) M. P. H. III. 60, 300.

tokrzyskich, dotyczących jego osoby, znajdują poparcie inne, łatwo dla spostrzegacza dostępne: Posąg z kamienia swojskiego wykuty, nosi na sobie ślady przeszłości tak zamierzchłej, jak ów wojownik umarły na łęczyckim »Tumie«, że go, nie wnikając bliżej w tradycye, wstecz po wiek XIII (? XI), posunąć trzeba niezbędnie, kładąc nacisk na to, że wyobraża rycerza. Powtóre, klasztor świętokrzyski uważał z dawiendawna królewicza Emeryka, kanonizowanego w r. 1081 przez papieża Grzegorza VII, za swego patrona i uroczyście anniwersarz jego w dniu 2 września obchodził [1]). Nakoniec lud okoliczny nie z lektury pono, jeno z przekazu ustnego, widzi w tej rzeźbie »św. Hameryka«, co tu przywędrował zdala. Wszystko to na tle faktu, że żadna więcej postać rycerska z przeszłości zamierzchłej, żadna osobistość, godna, ze względu na stanowisko swoje, uwiecznienia w głazie, nie zespoliła się tak ściśle z tradycyą miejscową, jak właśnie ów zakarpacki królewicz, opisany w roczniku tej góry, każe zapatrywać się na jego przekaz o Emeryku mniej podejrzliwie, niż się to działo dotychczas [2]).

---

[1]) Ks. Józef Gacki, Benedyktyński klasztor św. Krzyża na Łysej Górze, Warszawa 1873, str. 25.

[2]) Nie wyświetla tej sprawy, a nawet nie porusza jej gruntowniej praca specyalna ks. Józefa Gackiego

Z miasteczka Słupi — dawnego S ł u p a nad Pokrzywianką (kto wie, czy nie od posągu Emeryka nazwanego tem mianem), ruszyliśmy pod górę w stronę klasztoru. Ładna to osada z gromadką domów drewnianych, zdobnych w podsienia, zbudowane tak za przykładem dawnych wzorów i z kościołkiem o wdzięcznej strukturze. Uświęcony wezwaniem N. M. P. i św. Wawrzyńca, a fundowany w postaci obecnej na miejscu dawnego przez miejscowego proboszcza, Macieja, Benedyktyna z Łysej Góry, w wieku XVII, zachował jeszcze ten kościół trzy kamienne odrzwia gotyckie, zapewne z dawnej świątyni pochodzące, ładną bramę kutą z XVII stulecia, tablicę erekcyjną z roku 16(? 25)-go, zaopatrzoną w krzyż dwuramienny, symbol relikwiarza świętokrzyskiego, a wreszcie trzy, dobrze rzeźbione figury patronów, ustawione w niszach fasady kościelnej. Na cmentarzu, około świątyni, zwraca uwagę wdzięczny nagrobek kamienny, wzniesiony przez synów — (Alfreda i Michała) — Michałowi Reklewskiemu, oficerowi artyleryi b. wojska polskiego, dziedzicowi sąsiednich dóbr Skoszyna, zmarłemu w r. 1843.

Wjazd pod górę staje się wręcz uciążliwy tuż za Emerykiem. Mijamy pieszo kapliczkę sta-

---

p. t. »Benedyktyński klasztor Sw. Krzyża na Łysej Górze« (Warszawa 1873).

cyjną, zawieszoną na stoku i pniemy się po zwałach »płaczących kamieni« w głąb lasu jodłowego ku klasztorowi. Pochód, trwający przeszło godzinę, nuży mimo widoku przepięknego boru, krystalicznego światła i iście górskiego powietrza. Las masztowych jodeł, usiany morzem kamieni, mieni się tajemniczymi mrokami gąszczu, zielenią roślinności i lśniącą w słońcu powierzchnią głazów. Poza nami widok przepiękny na dolinę Słupi, obok bór górzysty, a dalej otchłań szaro-zielonych olbrzymów, szumiących smętną melodyą zadumy. Wreszcie polanka na skręcie. Na niej krąg pamiątkowy głazów, ułożonych tu przed czterdziestu laty, a z niej widok nagły na klasztor, oddalony już tylko o kilkadziesiąt kroków. Wrażenie pierwsze — fragmentu kościoła Jasnogórskiego, widzianego z bliska. Wiek XVIII i jego *barocco* zagłuszyły tu wszystko, co w chwili odnowy budynków klasztornych i kościoła, dokonanej po pożarze 1777 roku [1]), pozostać mogło po dawnych czasach. Zarówno nazewnątrz, jak i wewnątrz pamiątek mało. Pogrzebane zostały może — bodaj w części — tam, gdzie strzępy murów odwiecznych świadczą wyglądem swoim o wiekach minionych. Brama barokkowa z napisem późnym i z krzyżem dwuramiennym, przywodzącym na myśl złoty reli-

[1]) Por. tamże str. 55.

kwiarz kościelny, prowadzi nas w podworzec wewnętrzny, na poły więzienny, a na poły urągający swem zaniedbaniem miejscu i jego tradycyom. Brniemy w głąb budynków klasztornych przez ciemne zakamarki starodawnych murów, aby stwierdzić, że schludnie przedstawia się tylko jakaś komnata sklepiona, zamieniona na kancelaryę nowoczesnego celu i użytku; wszystko, pogrążone zresztą w niepamięci i opuszczeniu zupełnem. Kościół, kryty zewnątrz cały kamieniem, a obielony wewnątrz wapnem po freskach i stiukach, przykre sprawia wrażenie. Posiada ołtarz w stylu korynckim i ładne stalle rzeźbione. Wielkie płótna Fr. Smuglewicza, przystrajające świątynię (w wielkim ołtarzu św. Trójca, w bocznych św. Emeryk z aniołem legendowym, św. Helena, znalazczyni Krzyża św., św. Józef i św. Benedykt, zgon św. Benedykta i Zwiastowanie N. M. P.) zachowały się nieźle i bodajby je zostawiono raczej w stanie obecnym, aniżeli odnowić miano tak, jak freski Reichana w przyległej do zakrystyi kaplicy Oleśnickich. Kaplica ta — domniemane miejsce spoczynku rodziców kardynała Zbigniewa, stanowi właściwie całość odrębną, mauzoleum jego rodziny, połączone przez zakrystyę z kościołem. Ozdobiono je freskami, pokrywającymi ściany całe, w roku 1782, jak świadczy napis *(Mathias Reichan pinxit anno M. D. CC. LXXX II)*, widniejący na palecie, za-

wieszonej u rogu wołu, towarzyszącego św. Łukaszowi Ewangeliście. Freski czterech Ewangelistów, poplamione i zamazane, jakby w przygotowaniu do odnowy, zachowały jeszcze (zwłaszcza św. Łukasz i św. Jan) pod tą powłoką wdzięczną i miękką w ruchu postać pierwotną. Natomiast freski inne, już niestety odrestaurowane, zesztywniały w rysunku, utraciły piętno właściwe i powiewność malowideł nieuszkodzonych, nabrały kolorytu twardego w tonach, rażących oko... Naprzeciw Ewangelistów, a po prawej ręce od wejścia, stoi ołtarz późnej konstrukcyi, mieszczący w cyboryum sławny relikwiarz złoty w kształcie krzyża dwuramiennego o dolnem ramieniu dłuższem, zamknięty w pozłacanym krzyżu oszklonym. Relikwiarz właściwy, zdobny rysunkiem narzędzi Męki Pańskiej na ramionach, a w środku otworem czwórlistnym, kryjącym relikwię drzewa Krzyża św., posiada u dołu emaliowany znak fundatora, herb Topór, a wokół tarczy jego inicyały. Ofiarodawcą tym był prawdopodobnie (?) Jerzy Ossoliński [1]), kanclerz wielki koronny.

Na ścianie od wejścia widnieje niezły portret olejny opata Benedyktynów Łysogórskich, Michała Maliszewskiego, herbu Godziemba, zmarłego w roku 1608, a tuż przy nim wznosi się

---

[1]) Por. tamże str. 39.

zachowany dobrze nagrobek podwójny, w marmurze czerwonym wykuty. Ponad nim, na fryzie, wieńczącym rzeźby wspaniałe, jaśnieją herby Dębno i Śreniawa. Na płycie górnej nagrobka, tuż pod fryzem, spoczywa w płaskorzeźbie postać strojnego rycerza, dzierżącego z butą ozdobny buzdygan w prawicy; na dolnym śpi snem wiekuistym niewiasta, pełna słodyczy i wdzięku, o białej twarzy alabastrowej i rękach śnieżnych, w marmur czerwony wprawionych. To *epitaphium*, jak świadczą napisy, nie żałujące miejsca, ni stylu — Mikołaja Oleśnickiego, wojewody lubelskiego i żony jego, Zofii z Lubomirskich, córki Sebastyana. Ona zmarła w roku 1612, on w siedemnaście lat później; nagrobek wkrótce potem wzniesiono... Dumni fundatorowie kaplicy Oleśnickich, inaczej Świętokrzyską zwanej, kazali złożyć pod nią, w łonie skał, w sklepionym grobie murowanym, śmiertelne szczątki swoje... Zstąpmy i my tam na chwilę, by spojrzeć na miejsce wiecznego spoczynku szczodrego wojewody, co żył, jak napis opiewa — »sławą na ziemi«, nim »duchem zamieszkał w niebie« — na prochy tej, której »skromności, wiary i cnoty los w roku 1612 pozazdrościł światu«...

Po stromych schodach marmurowych opuszczamy się w głąb grobowca i — ogarnia nas przerażenie. Oświetlona mdłem światłem zakratowanego w górze okna, mieści w sobie ta nisza

podziemna kilkanaście zbutwiałych, rozwalonych trumien, a w nich odarte z odzienia, nagie szkielety i trupy. W jednej z nich, ozdobniejszej, niż inne, plączą się w szczątkach postrzępionych złotego jedwabiu kości ludzkie spróchniałe, w innych szkielety i mumie z wyrazem boleści na ustach, w objęciach śmierci zastygłe, zdają się tęsknić, by je z tego miejsca »chwały«, gdzieś w piasku wiejskim na sen wiekuisty złożono. Górują nad tym obrazem zniszczenia i znikomości dwa sarkofagi. Jeden, blachą cynową pokryty, a guzami w lewki rzeźbione i rozety zdobny na powierzchni, zawiera, jak świadczy w głowach wielki herb Śreniawa, zwłoki wojewodziny. Czas, czy ręka złowroga rozsadziły wprawdzie ścianę boczną sarkofagu, trudno atoli dociec, co się dziś jeszcze w jego wnętrzu kryje. Drugi, tych samych rozmiarów, co pierwszy, blisko z nim sąsiadujący, to niewątpliwie miejsce spoczynku wojewody, przedstawiające dziś obraz potworny dzikiego zniszczenia i grabieży. Odarty z blachy, z odwalonem wiekiem i wyciętym przez łupiezcę otworem owalnym w drewnianej pokrywie wewnętrznej, powleczonej smołą, tłómaczy on smutne dzieje pośmiertne Mikołaja Oleśnickiego. Przez otwór widnieją nagie, pełnych jeszcze kształtów, szczątki wojewody, obrane skrzętnie przez świętokradcę z bogatego stroju.

Opuszczamy to miejsce, kościół i klasztor z żałością i z życzeniem, aby w roku uroczystym, z uwagi na zapowiedziany »jubileusz 900-letni« pra-pamiątek Świętokrzyskich, doprowadzono groby fundatorów i dobrodziejów miejscowych do właściwego stanu, podobnież, jak zewnętrzną bodaj postać świątyni i najbliższego jej otoczenia.

Czcigodnej pamiątce odwiecznej, posągowi św. Emeryka, należałoby się przy tej sposobności ogrodzenie trwałe. Figura ta bowiem, jak świadczą ślady świeże, poniosła niezbyt dawno szwank poważny na twarzy z ręki swawolnej a lekkomyślnej. Na korytarzach klasztornych widnieją domagające się oczyszczenia, nagrobki rodzin Sierakowskich i Radoszewskich, oraz ryte w marmurze dzieje klasztoru, bałamutnie w języku łacińskim przed stu laty spisane. Z wieży świętokrzyskiej, zbudowanej trwale, a wzniesionej na 2000 stóp bez mała ponad poziom morza, roztacza się widok rozległy i wspaniały. Całe bogactwo tej ziemi urodzajnej i ludnej leży tam u nóg widza, jak kobierzec barwny, przez wzgórza skłębiony, a sięgający hen! naokół daleko w promieniu mil kilkunastu.

III.

Droga powrotna wiedzie nas przez uroczą wieś Chybice, przez Pawłów parafialny, znowu

do gościnnych Szelig, skąd ruszamy nazajutrz wózkiem sandomierskim ku nadwiślańskiej stolicy województwa.

Na szlaku polnym — Waśniew, schludna osada z kościołem murowanym, noszącym ślady niedawnej odnowy. Jak opiewa napis grobowy Konstancyi z Komorowskich Popielowej, żony Pawła, kasztelana sandomierskiego, w kościele bernardyńskim w Opatowie, kościół waśniewski, w którym kasztelanowa śmierć męczeńską poniosła, zgorzał od pioruna w czerwcu 1787 roku. Z pamiątek dawnych nic w nim nie ocalało, krom kazalnicy drewnianej w stylu *barocco* i — co ważniejsza — obrazu olejnego na drzewie (Zwiastowanie N. M. P.), malowanego nieźle, a pochodzącego z późnej doby gotyckiej (XV—XVI stulecia). Obraz ten, stanowiący dzisiaj zasuwę w prawym ołtarzu bocznym, godzien jest uwagi znawców i konserwacyi starannej.

W okolicy Waśniewa, na polach prusinowickich, zwraca uwagę, nawet w tym kraju kamiennych figur polnych i licznych śladów zamożności odwiecznej, stary filar rzeźbiony, z roku 1699 pochodzący, z herbem Lubicz, z inicyałami S. I. Z. I. fundatora i z ładnym pilastrem stylowym, podtrzymującym godło krzyża.

Góry Świętokrzyskie, przewijające się wciąż barwą sinawą na horyzoncie, nikną zwolna,

w miarę, jak się do Opatowa zbliżamy. Okolica żyzna, jak i poprzednie — macierz słynnej »opatówki«, »sandomierki«, jak pszenicę tamtejszą zowią — przechodzi stopniowo od typu gór i wąwozów w grunt falisty, a nawet w bardziej rozległe równiny. Czerwona Góra, słusznie tak dla żelazistej swej barwy nazwana, jest jakby słupem granicznym obu pomienionych typów tej sandomierskiej ziemicy.

Lud zamożny i rosły, choć mniej niż »świętokrzyscy zbóje« ruchliwy, ciągnie właśnie na nabożeństwo niedzielne szlakiem falistym pól, świeżo uprawnych, ku »Łopatowu«, który wyłania się z za pagórków na widnokręgu w malowniczej pstrociznie swych wieżyc i dachów. Wiedzie nas w głąb miasta starodawna brama wieżowa, najwidoczniej z czasów Zygmunta I pochodząca, bo herb ówczesnych panów Opatowa i wielkich dóbr okolicznych, stary Odrowąż Szydłowieckich, widnieje na niej po dziś dzień, kuty w kamieniu. Brama to oryginalna, pozbawiona sklepienia, a z czworoboku wysokich murów zębatych złożona... Zamyka główną ulicę miasta, przy której wznosi się Kolegiata, panująca w pobliżu Opatówki na wyniosłym wzgórzu. Dążymy ku tej panoramie pięknej, w dół ulic od rynku, mijamy sady i kręte dróżki wiejskie, aby znaleść się wreszcie u ciosowych ścian świątyni, która tu

zapewne za biskupów lubuskich, panów miasta przed Szydłowieckimi [1]) stanęła.

Kościół to wielki, majestatyczny, zbudowany w kształcie krzyża — z wnękiem, zamiast kopuły, na przecięciu ramion — w dobie romanizmu i gotyku. Niestety, doba ta, wykończenie dwóch wież naczelnych, zaledwie do połowy wysokości z ciosu wzniesionych, szczodremu barokowi przekazała. Uwieńczył je też drzewem i blachą na modłę gloryetek, zgoła do całości niezastosowanych, wdarł się do wnętrza świątyni i, naprzekór jej stylowi, pokrył wszystko, czego dosięgnąć zdołał — filary, sklepienia i ściany, rozlewną, a tanią bujnością swych barw i kształtów...

Skromnie na pozór, ale po pańsku, jak dwa klejnoty cenne w otoczeniu szkieł i szychu, widnieją w kościele na tle fresku, malującego sceny z odsieczy wiedeńskiej, dwa nagrobki stare, do ścian lewego ramienia świątyni przyparte. Jeden, w marmurze czerwonym wykuty, zdobny w płaskorzeźby i *epitaphia*, to miejsce wiecznego spoczynku Ludwika-Mikołaja, Zofii z Targowiska i Krzysztofa Szydłowieckich. Drugi, niemal z nim współczesny — olbrzymie w rozmiarach arcy-

[1]) Baliński i Lipiński, »Starożytna Polska« II, 302. Fundacyę tę, podobnie jak autorowie dawniejsi, odnosi do XII wieku i Karol Potkański (Kolegiata w Opatowie. Sprawozd. Akad. Umiej. V, str. 7).

dzieło pełnego Odrodzenia — przygniata go swoim ogromem, barwą, pięknem i majestatem. Cały, kuty w bronzie, składa się z trzech płyt wielkich, w linii łamanej spojonych. Dwie dolne otacza rama, przepięknie zarysowana i harmonizująca z całością, a uwieńczona dwiema konsolami w górze, podtrzymującemi architraw, pełen wysokiego smaku i stylu. Rama ta, artystycznie cyzelowana, kryje po bokach, w dwu niszach muszlowych, dwa posągi spore, z których jeden przedstawia św. Krzysztofa. Piękno nagrobka występuje atoli w całej okazałości, gdy się bliżej w płaskorzeźbach trzech płyt rozejrzymy. Dolna maluje stypę rycerską. Czterdzieści z górą osób, każda odmienna w ruchu i wyrazie, siedzi i stoi przed i poza stołem, w strojach odświętnych, gestykulując żywo, tonąc w zadumie, lub spożywając potrawy z mis złotych. Psy i sokoły — żywa jeszcze reminiscencya gotyku — szukają żwawo pod stołem kości i okruchów, rzuconych im przez biesiadników. Płyta druga, środkowa, pod kątem rozwartym z pierwszą spojona, przedstawia w majestacie bohatera tej epopei, w spiż zaklętej — pana na Opatowie i rozległych włościach okolicznych, Krzysztofa Szydłowieckiego, który kasztelanię sandomierską, podskarbiostwo oraz kanclerstwo wielkie koronne i starostwa bogate poniósł z sobą do grobu w roku 1532.

Ostatni ten znakomitego domu potomek po

mieczu, wyobrażony na płaskorzeźbie w wielkości naturalnej, uderza doskonałym modelunkiem twarzy golonej, z jaką przeszedł do potomności i pan jego miłościwy, król Zygmunt Stary, imponuje chłodnym spokojem, w całej postaci rozlanym i książęcią iście postawą. Okrywa go zbroja, pięknie rzeźbiona; w prawej ręce dzierży proporzec, jakby od wichru skłębiony, ze znakiem rodu, wąsatą strzałą Odrowąża, na bronzowej tkaninie. U stóp dumnego pana, przy lewej jego goleni, spoczywa wielki hełm rycerski, strojny w pięć rzędów piór pawich na czubie. Chcemy tu zwrócić uwagę na ów starodawny, średniowieczny sposób przedstawienia herbu z godłem na proporcu, a z klejnotem u nóg rycerza.

Nie jest nam znany twórca tego arcydzieła, ale, pomijając wskazówki inne, już na samej tylko podstawie jego pojęć heraldycznych, stwierdzamy, że musiał być cudzoziemcem, może z Niemiec pochodzącym, a wykształconym, poza całą znajomością renesansu — na wzorach klasycznych średniowiecznej (XIII—XIV stul.) sztuki rycerskiej [1]).

Ponad architrawem, misternie z nim spojona, a bezpośrednio w ścianę świątyni ujęta, widnieje trzecia, najmniejsza płyta grobowca, wyobraża-

---

[1]) Por. J. K. Kochanowski, »Heraldyka«, Warszawa M. Arct. 1902 (rozdział III).

jąca kutego w bronzie aniołka z tarczą herbową Szydłowieckich i z napisem, nieczytelnym zdala.

Opuszczamy *Monumenta Szydłovieciana* pod silnem wrażeniem piękna, jakie z przed czterech stuleci bez mała chwili obecnej przekazały. Arcydzieło zachowano w porządku, a nawet zabezpieczono je balustradą od strony kościoła. Posiadałoby tedy wszelką gwarancyę trwałości, gdyby nie rysujące się już niestety mury świątyni i zły przykład ręki niepowołanej, która, by połysk z bronzu wydobyć — starła cenny nalot starości — emalię *(erugo nobilis)*, pokrywającą grobowiec, z jego części wybitnych: ze sceny, przedstawiającej ucztę, z anioła i z ramy; sam Szydłowiecki pozostał szczęściem nietknięty.

Wśród fresków świątyni zwracają uwagę ponad łukami filarów, oddzielających nawę główną od bocznych, postacie alegoryczne, z których jedna dzierży Orła i malowany nieźle portret Stanisława Augusta, inne zaś — tarcze herbowe z Odrowążem, Gryfem, Pogonią i Śreniawą, godłami kolatorów i dobrodziejów Kościoła. Nawę środkową zdobią ławki, pięknie rzeźbione, z wieku XVII pochodzące, a fundowane, jak świadczą herby, drążone w drzewie, przez Ostrogskich, którzy przed Lubomirskimi, a po Szydłowieckich i Tarnowskich, władali Opatowem [1]). Widnieją na

[1]) Baliński i Lipiński j. w. str. 302.

nich liczne napisy poetyckie, na cześć księcia Janusza (?) spisane, oraz godła województwa sandomierskiego, z herbami kniaziów łączone.

W ścianach zewnętrznych Kolegiaty zachowały się dotąd odrzwia kamienne z czasów Szydłowieckiego, pokryte ciekawym ornamentem stylowym, a na murze, okalającym świątynię — płaskorzeźba ze św. Krzysztofem, patronem Podkanclerzego.

Drugą świątynią, zwiedzaną w Opatowie, jest odnowiony w roku 1901 kościół po-bernardyński. Pierwiastkowo stał tam pono kościołek parafialny, założony w wieku XI, a opromieniony podaniem, że w nim św. Stanisław nabożeństwo solenne sprawował [1]). Próżnobyśmy jednak wśród ruin, czy odrestaurowanych murów klasztoru i kościoła poszukiwali śladów przeszłości odległej. Nazewnątrz jedynie, w ścianie prawej świątyni, widnieją trzy fragmenty rzeźb kamiennych z XV wieku, później tam wprawione i mchem zczerniałym porosłe. Towarzyszą im w pobliżu nagrobki barokowe, mocno zniszczone: jeden z nich — któregoś Lanckorońskiego, zdobny w herb poczwórny — Zadorę, Korczaka i dwa Topory. Na dworze również, ale już na ziemi, spoczywa niewieści nagrobek renesansowy z za-

[1]) Legenda miejscowa: Utrwalili ją Baliński i Lipiński (por. j. w. II. str. 304) bez wskazania źródła.

tartym napisem. Szkoda go, bo rzeźba była wcale zręczna.

Jeżeli sędziwa kolegiata opatowska razi stylem swych fresków barokowych, to niemniej dziwnie uderza oko archaizm tej polichromii niby gotyckiej, jaką pokryto kilka lat temu ściany kościoła po-bernardyńskiego, nacechowanego strukturą nader nowożytną. Widać w tem wprawdzie staranność wielką i troskę, godną uznania, ale mimowoli ciśnie się na myśl uwaga, że znajomość rzeczy nie szła tu w parze z zapałem.

Na kurytarzu klasztoru, w którym niegdyś ukrywał się pono Mikołaj Zebrzydowski po przegranej bitwie pod Guzowem, zwraca dziś uwagę portret (XVII—XVIII st.) Jana Tarły, fundatora Bernardynów opatowskich, zmarłego w Jerozolimie 1488 r. Okrywa go habit zakonny, a wiersz polski, przed kilkudziesięciu laty na sąsiedniej ścianie zawieszony, sławi jego żywot — za Vadingusem [1]) — i bogobojne czyny. Tutaj to, na tym kurytarzu, znaleść się powinny usunięte na zewnątrz rzeźby i nagrobki, jeżeli nie mają zupełnemu uledz zniszczeniu.

---

[1]) Jak brzmi notatka współczesna, zamieszczona pod tekstem.

IV.

Z Opatowa, drogą na Włostów, ruszamy ku Sandomierzowi. Okolica, przechodząca w płaszczyznę coraz rozleglejszą, karmi oko widokiem tej zamożności i dobrobytu, jakie towarzyszyły od wieków zwycięskiej dzielnicy. Na polach włostowskich, nieopodal od zabudowań, widnieje znowu stary krzyż kamienny — tym razem okrągło toczony, a pokryty wdzięczną płaskorzeźbą gron i liści winnych. Jak na figurę wiejską, w szczerem polu ustawioną, uderza artyzmem pomysłu i wykonania, oraz niepoślednią starożytnością. Pamięta może czasy saskie, a może i nieco dawniejsze, świadcząc o małopolskiej kiesie i dobrym smaku swego fundatora.

Dalej — wśród malowniczej, falistej równiny, jak gwiazda zielona z kępą drzew pośrodku i promieniami sędziwych szpalerów lipowych, wyłania się stary Ossolin... Gniazdo odwieczne świetnego domu, który niegdyś na ulicach Rzymu »siał złote podkowy«, otrzymywał od papieży i imperatorów tytuły książęce, a w osobie kanclerza i podskarbiego W. Kor., Jerzego Ossolińskiego, osiągnął szczyt dostojeństw i chwały, smutne dziś sprawia wrażenie. Złowrogie *sic transit gloria mundi* zdaje się wisieć nad całą tą miejscowością, nad przerzedzonymi rzędami lip starych,

nad ruinami zamku, z którego szczątków powstała pono część obecnych zabudowań dworskich; — nad oryginalną, jedyną w swoim rodzaju, kaplicą wschodniego typu, Betleem zwaną! Ta ostatnia trzyma się jeszcze najlepiej. Drzewa i murawa pokrywają, jak dawniej, kopiec, w którego głębi mieści się jej sklepienie i trzy wewnętrzne ściany. Arkadowa fasada kaplicy przepuszcza do jej wnętrza strumień skąpego światła przez okno zakratowane, a tuż przy niem spostrzegamy niewielką tablicę marmurową z napisem łacińskim. Opiewa on, że mury te, na wzór betleemski, fundował w roku 1640 Jerzy Ossoliński, a odnowił je i uposażył w roku 1760 jego potomek, Józef Salezy, wojewoda sandomierski. Czworobok całego terytoryum, w którego głębi wznosi się kaplica, uwieńczona Loretańską wieżycą na szczycie, otacza podziśdzień parkan murowany, zamknięty bramą od wschodu. Węgły frontowe muru zajmują dwa domki małe — niegdyś pustelnia, a dziś ruina, chyląca się pod dziurawym gontem do upadku. Z zamku, zbudowanego w roku 1636 na jedynej w okolicy skale przez kanclerza, a zwalonego przed wiekiem na rozkaz Antoniego Ledóchowskiego, ówczesnego (1806 r.) dziedzica Ossolina [1]), pozostała jeszcze okrągła baszta szczerbata, mężnie sta-

---

[1]) Baliński i Lipiński j. w. II. 282, przyp.



wiająca czoło zniszczeniu i nieco rumowisk ponad linią fundamentów. Dawne fosy, a obecnie płytkie rozdoły, pokrywa skąpa murawa; w pobliżu lipy stare, córy tych, co tu niegdyś ogrody włoskie zdobiły, stroją człowieka na nutę tęsknej zadumy...

Ale oto wieś ludna i bardzo bogata, a młodem życiem przebujnej roślinności tchnąca — stare Świątniki, »narok« średniowieczny Kolegiaty Sandomierskiej [1]). Mrok już zapada nad kępami drzew wiejskich, przyśpieszamy przeto biegu i, przemknąwszy kilka wąwozów i wiosek, mniej górzystych, niż w świętokrzyskiem, ale malowniczych w księżycowem świetle wieczora, stajemy na noc w starościńskim niegdyś Samborcu [2]), pod dachem gościnnego domu pp. Krzesimowskich. Stamtąd prowadzi już droga niedaleka, a bardzo odmienna od dotychczasowej, bo — przez milowy szpaler, wierzbami sadzony, wzdłuż żyznych, gęsto zaludnionych wiosek Powiśla — do Sandomierza.

Miasta, przesłonionego przez konary wierzb, zwisające nad drogą, nie widać niemal do ostatniej chwili. Mijaliśmy w szybkiej jeździe rzędy

---

[1]) Por. Fr. Bujak, Studya nad osadnictwem Małopolski, cz. I. Rozpr. Wydz. hist.-fil. Akad. Umiej. XLVII, str. 348.

[2]) Por. A. Pawiński, Małopolska III, 165, a nadto Baliński i Lipiński j. w. II. 277.

chat wiejskich i porosłe wierzbami rozdoły, gdy nagle, jakby z gąszczu drzew wyrosły, zamek, panujący z góry wysokiej nad Wisłą, zajaśniał przed nami w słońcu poranka olśniewającym blaskiem swych białych murów. Byliśmy u kresu podróży.

Niepodobna w szkicu pobieżnym, a na podstawie szybkich oględzin, wyliczać wszystkich zabytków i pamiątek, nawet donioślejszego znaczenia, jakie w swych murach kryje to miasto sędziwe, stolica odwieczna piastowskiej dzielnicy, a potem województwa. Uczyniła to już przed nami obszerna literatura, a w pierwszym rzędzie badacz starożytności miejscowych, ksiądz Buliński, zmarły w roku 1874, oraz monografista kościoła św. Jakóba, nieodżałowany prof. Łuszczkiewicz. Chcemy tu jednak podzielić się z czytelnikiem wrażeniem tego, co widzieliśmy w Sandomierzu dnia 11 września 1905 r.

Minąwszy krętą drogą, wiodącą pod górę, wyniosły i obszerny zamek sandomierski, zbudowany w postaci obecnej w roku 1520 przez Zygmunta Starego [1]), a świeżo widać odnowiony i blachą pokryty, dążymy przez ulice małomiejskie, w powodzi drzew skąpane, ku rynkowi. Wznosi się w jego sercu piękny, z rysunków znany, ratusz gotycki, nader lekkiej budowy, za-

---

[1]) Baliński i Lipiński j. w. II. 278.

chowany dobrze i na specyalną monografię zasługujący. Strzeliste zakończenia ścian, przesłaniające widok na linię poziomą dachu, tworzą z pionową tendencyą budowli harmonię niepospolitą, zepsutą chyba tylko przez późniejsze — *comme de raison* barokkowe — zakończenie wieży. Szczegóły rzeźb i ornamentów w cegle i kamieniu, a nadewszystko przepiękne głowy ludzkie, co, niby zdobne wyloty rynien, tkwią w górnych węgłach budynku, napraszają się o spopularyzowanie ich w dobrej reprodukcyi. Zresztą rynek, poza planem topograficznym, stracił wszelką cechę starożytności. Otoczony przeważnie domkami mizernej konstrukcyi i barw płowych, zabrukowany licho a natłoczony w dniu jarmarku okolicznym ludem, pozbawionym już całkowicie barwnych strojów swojskich, robił w tym dniu wrażenie pospolitego targowiska, urągającego szlachetnej budowie ratusza, który wystrzela ku niebu. Ale żałujemy niebawem tak surowego sądu: podobnie wyglądać musiał niegdyś, n. p. w czasach Rzeczypospolitej Krakowskiej, nasz rynek prastołeczny, nim przywdział obecną szatę wielkomiejską.

Przeciskamy się z trudem ku katedrze, dawnej kolegiacie, która wznosi się w pobliżu od środka miasta, na szczycie góry, panującej nad Wisłą. Otacza ją ład i porządek, a strzeże ogrodzenie żelazne, zamykające całe terytoryum ko-

ścioła. Mimo pożaru, jaki go dotknął w r. 1656[1]) w erze wojen szwedzkich, starożytność wieje podziśdzień od całego gmachu, obłożonego pokrywą z cegieł czerwonych i czarnych na wzór szachownicy, a wzniesionego w stylu gotyckim. Świątynia nie przemawia wprawdzie do widza czasami pierwiastkowych swych fundatorów — Krzywoustego (?), ani syna jego, Kazimierza[2]), lecz poi oko harmonią kształtów i wdziękiem linii stylowych. Drobne na zewnątrz dary szczodrego barokka, jak portal główny i ozdoby ściany frontowej, przechodzą w orgię barw i łamańców dopiero wewnątrz kościoła. Czegoż bo tam nie stworzył nasz styl zepsuty szalejącej kontrreformacyi?!

Powyginał w esowate sploty linie ołtarzy, kłócących się z lekkością architektoniczną murów; pokrył je tysiącem ozdób krzyczących, a ściany świątyni — wieńcem bohomazów, malujących na płótnach olbrzymich rozmiarów sceny apokaliptyczne mąk piekielnych, mających przedstawiać wspomnienie z najazdów tatarskich na Sandomierz w wieku XIII. Dwa — jeśli się nie mylę — obrazy, zawieszone w ich

[1]) Tamże str. 279.

[2]) Tamże j. w. — Por. Władysław Abraham: Organizacya Kościoła w Polsce do połowy wieku XII. Lwów 1893, str. 159.

rzędzie, a poświęcone t. zw. rytualnym mordom żydowskim, noszą na sobie piętno lepszego pędzla. Pochyloną postać żyda, występującego na pierwszym planie malowidła, uznaćby nawet można za niezłe dzieło sztuki, gdyby nie rysunek wadliwy reszty jego towarzyszów.

Na lewej ścianie prezbyteryum, ponad stalami u góry, zwracają uwagę dwa obrazy stare (XIV—XV st.), z których jeden przedstawia »Pocałunek Judasza«, a drugi »Wieczerzę Pańską«; oba zasługiwałyby na lepsze światło i na lepsze miejsce w świątyni.

Ciekawy jest także barokkowy ołtarzyk przenośny z hebanu i srebra, ustawiony w prawej kaplicy, przylegającej do prezbyteryum, a oznaczony herbem Wadwicz u podnóża cyboryum.

W skarbcu katedralnym, utrzymanym wzorowo, a stanowiącym poważny już zawiązek muzeum z zakresu paleontologii, archeologii i sztuki, uderzają — poza dużym zbiorem średniowiecznych rękopisów kościelnych — cztery przedmioty cenne: Wielki relikwiarz gotycki pozłacany, gobelin, bardzo już zniszczony, a zalegający ścianę w głębi skarbca, tryptyk ze św. Elżbietą, malowany na drzewie (XV st.) i — nadewszystko — piękny obraz olejny, zawieszony ponad drzwiami od wejścia, a przedstawiający »Hołd trzech Królów« (XVI st.). Jednym z nich jest Zygmunt Stary, jakby żywcem przez mi-

strza włoskiego we wczesnej dobie Bony portretowany.

W pobliżu katedry, wznosi się, podobny do krakowskiego, stary »Dom Długosza« z Wieniawą i z napisem gotyckim ponad drzwiami. Cały z cegły nietynkowanej, mieści dziś mieszkania służby kościelnej, a domaga się rychłej, jaknajśpieszniejszej odnowy.

Podążamy dalej, na drugi kraniec miasta, poprzez wijące się z góry na dół kręte uliczki wyboiste, by dostać się na wzgórze, zielenią okryte, a piastujące na szczycie mury sędziwe klasztoru po-dominikańskiego św. Jakóba. Odległa starożytność świątyni, mało nadwyrężona przez dodatki późniejsze, zachowała się tu najlepiej w postaci zewnętrznej kościoła. Uderzają w niej jeszcze liczne cechy romanizmu, tak rzadkie w naszej architekturze, a warkoczowe ornamenty łuków i filarów, zdobiących odrzwia, wykonane z gliny palonej, stanowią osobliwość nader wyjątkową i cenną [1]). Wnętrze — poza liniami

[1]) Władysław Łuszczkiewicz (Sprawozd. Kom. hist. sztuki II) poświęcił specyalną monografię tej świątyni.

Dochodzi nas, wśród druku książki, wiadomość, że po nieszczęsnym pożarze z r. 1906-go, który strawił część tej świątyni, Warszawskie Towarzystwo opieki nad zabytkami, w porozumieniu z Komitetem sandomierskim, zamierzyło zająć się umiejętną a gruntowną restauracyą Kościoła św. Jakóba, oraz Domu Długosza.

ścian i sklepień bielonych, a zdobnych również w warkocze, uległo, jak większość naszych budynków kościelnych, wszechpotężnemu wpływowi barokka.

Zachowały się jednak i pamiątki stare, a w ich rzędzie wymienić trzeba, jako pierwszą — czworokątną płytę kamienną (pocz. XIV st.), wyobrażającą w płaskorzeźbie leżącą postać niewieścią wielkości niemal nadnaturalnej — o włosach przy szyi strzyżonych, odzianą w szatę powłóczystą i składającą ręce na piersiach do wiekuistego spoczynku. Otacza ją stary napis gotycki: *Hic jacet dominicella Adelais... ducis Casimiri filia, ducis Lestconis soror...* To nagrobek księżniczki Adelajdy (1249—1291 [1]), córki Kazimierza, ks. Kujawskiego, a siostry Leszka Czarnego i Łokietka, rzekomej fundatorki, istotnie zaś mieszkanki zakonnej tych murów, w których Iwo Odrowąż, biskup krakowski, 1226 r. Dominikanów osadził [2]). Płytę, przez pół pękniętą, ale odrestaurowaną starannie, wmurowano niedawno w ścianę jednej z kaplic kościelnych, pokrytej nowożytnym freskiem »tatarskim«. Stoi tam naprzeciw starego *epitaphium* nowy sarkofag dębowy, pracowicie z jednej, olbrzymiej kłody

[1]) Por. Oswald Balzer: Genealogia Piastów, str. 337, 338, 339.

[2]) Por. tamże str. 338.

drzewa rzeźbiony, z leżącą na wieku postacią Adelajdy, w mitrze książęcej na głowie. Kryją się w nim pono, w szkatułce niewielkiej, prochy mniszki — Piastówny, z grobów klasztornych dobyte.

W rzędzie zabytków starszych, zdobiących filary nawy głównej, godzi się wymienić rycerski nagrobek kamienny (XVI st.), płytę grobową nieznanego bliżej Jana Doktora (szlachcica), zmarłego w roku 1427, fragmenty bronzów renesansowych, przedstawiające herby: Leliwę, Zadorę, Rawicza, Grzymałę i Świnkę, a wreszcie — skromne *epitaphium* mieszczańskie z gmerkiem (godłem) w pośrodku i polskim napisem: *Sławni Mathis Bogvczki, miesczanin sandomierski, sobie i Zophiey Pothoczkey, małżonce, wespołek z dziathkami swemi na wieczną pamiątkę położył. Amoris ergo proscie za nie Pana Boga. Anno Domini MDLXXXV (1585), die vero octava mensis junii.*

Lewa ściana świątyni dźwiga kilka niewielkich nagrobków barokkowych, mniej cennych. Należą one przeważnie (trzy płyty) do rodziny Gryfitów Chronowskich. Nie byłyby może godne wspomnienia, gdyby nie osobliwość heraldyczna, jaka na jednym z nich uderza. Herb Gryf, zdobiący grobowiec Katarzyny Chronowskiej, może i *de domo* Gryfitki, składa się z dwóch Gryfów, splecionych z sobą ogonami i ułożonych w kształcie półksiężyca. Wielce to oryginalna dowolność pomysłu, warta zaznaczenia.

Jedna z kaplic kościelnych, przed laty niespełna dwudziestu, dobrą, lecz dziś już zniszczoną polichromią gotycką pokryta, kryje w czarnym ołtarzu barokkowym obraz pięknego pędzla, przypisywany Rubensowi. Przedstawia on Chrystusa na krzyżu w otoczeniu dwóch niewiast bolejących i św. Jana. Ruch tej ostatniej postaci, w płaszcz szkarłatny odzianej, znamionuje mistrza; całość — posiada wysoką wartość artystyczną.

Nakoniec kaplica św. Jacka, synowca biskupa Iwona Odrowąża, a chluby zakonu dominikańskiego w Polsce, posiada obraz tego Świętego, malowany z dobrym poczuciem smaku w roku 1673, jak świadczy napis u dołu płótna zamieszczony.

Ruszamy dalej.

W pobliżu starej, a pięknej bramy Opatowskiej, rówieśnicy Ratusza, za miastem, na wzgórzu, wznosi się, zbudowany w wieku XVII, pono ze szczątków zamku w Zawichoście[1]), ciekawy klasztor OO. Reformatów. Ciekawy ze względu na swoje antepedya stare, pracowicie przez zakonników ze słomek różnobarwnych w deseń ozdobny klejone; — ze względu na ładne obrazy stacyjne Eljasza Radzikowskiego, który w rysach osób, towarzyszących Panu, przekazał nam wiele

[1]) Baliński i Lipiński j. w. II. 280.

postaci historycznych (np. ks. Józefa Poniatowskiego) i lokalnych (np. burmistrza sandomierskiego z pierwszej połowy XIX wieku); ciekawy wreszcie ze względu na dobre płótno szkoły włoskiej (? XVII st.) — »Wieczerzę Pańską«, zawieszoną u chóru — ale ciekawy nadewszystko z powodu grobów, kryjących między innymi zwłoki »świętej panienki«, Teresy Morsztynówny († 1707 r.) i ojca jej, Stanisława († 1725 r.), wojewody sandomierskiego, tłumacza Seneki i Rasyna, autora trenów, na śmierć córki pisanych.

V.

Jeżeli groby świętokrzyskie rodzą przerażenie, to z tych natomiast wieje — jak przystało — spokojny smutek i wielka powaga.

Z głównej nawy kościelnej opuszczamy się po wygodnych schodach kamiennych w głąb podziemi... Przez utrzymane dobrze i pozbawione zaduchu sklepy, pełne trumien, posuwamy się zwolna ku ostatniej kamerze, gdzie wprost na piasku, z cegłami w wezgłowiu, spoczywają bez trumien i obuwia — na znak pokory — dwaj zakonnicy, w habity odziani. Gdyby nie kuny, które szerzą tam pono zniszczenie, rysy ich twarzy byłyby jeszcze nieźle zachowane. W trumnie już, w sąsiedztwie niedalekiem, spoczywa jakiś dawny

wojskowy z sianem pod głową i w szacie powłóczystej; twarz zachowała wyraźne ślady zarostu...

Dwie skrzynie wyróżniają się z pośród innych wielkością swoją. Jedna z nich kryje trumnę Morsztyna, druga — jego »dziewki drogiej«. Po uchyleniu wieka pierwszej trumny, krytej, jak i druga, spłowiałym aksamitem wiśniowym, zdobnym w guzy złote, ukazuje się oczom naszym postać Wojewody, jakby zapadająca się pod fałdami bogatego stroju w głąb ziemi. Krótkie buty skórzane — barwy niegdyś może czerwonej, dziś cynamonowej, jasny żupan jedwabny, nieco zbutwiały, przepasany lśniącym pasem złotolitym, zachowanym wspaniale, rękawiczki białe i spłowiały biret niebieski na głowie — robią wrażenie szat, ułożonych bez pana, na jednej płaszczyźnie. Z pod biretu tylko, zsuniętego na oko prawe, widnieje twarz wychudła, niemal kościana, barwy szarej, boleśnie i jakby z sarkazmem skrzywiona. Morsztynówna natomiast, pomimo, że leży tu dłużej o lat osiemnaście od ojca, sprawiałaby dziś jeszcze wrażenie osoby śpiącej, gdyby nie popielata barwa oblicza. Oblicze to młode, pełne i piękne panny 18-letniej, spoczywającej na wezgłowiu z mory białej, posiada wyraz dziwnej słodyczy i spokoju. Wieńczy je biały łubek jedwabny, z pod którego spływają resztki długich włosów czarnych. Suknia adamaszkowa o lekkim odcieniu różowym, ko-

ronkami zdobna, szyte srebrem pantofle skórzane, dewizka złota i rękawiczki białe — całość szat, jakby świeżych, pokrywa tu, zda się, ciało młode i pełne, któremu, w podziwie nad tą łaską nieba, *pia fraus* czyjaś nadała barwę krwistą życia i zdrowia pod rękawiczką jedwabną na kiści ręki prawej.

Opuszczamy podziemia z silnem wzruszeniem. Taki obraz przeszłości odległej przemawia do wyobraźni nad wyraz potężnie... Gdyśmy czytali w chwilę potem w kościele, na górze, ryte w głazie, a przez ogień niegdyś strawione, litery stare trenu Stanisława Morsztyna na śmierć wojewodzianki, zdało się nam, że to, cośmy widzieli na jawie, było snem mistycznym, który nas za wieki przeniósł, za ludzi i za wypadki...

* * *

Na resztę pamiątek sandomierskich nie stało już czasu.

Srebrną wstęgą Wisły, zarosłym wikliną pobrzeżem galicyjskiem, opuściliśmy na »Sokole« przepiękną panoramę starego Sandomierza, unosząc tyle wrażeń podniosłych z jego krainy. Wyniosłe wzgórza Zawichosta, ludne powiśle lubelskie, malownicze zwaliska pałacu w Józefowie, kościół w Piotrowinach, Solec, widniejący

wśród górskich rozdołów, biało-żółtawe ruiny zamku w Janowcu i sędziwy Kazimierz ze swymi kościołami, resztkami zamku i basztą białą, wystrzelającą z zieleni — oto widoki urocze, a wymowne, jakie towarzyszyły nam nieprzerwanie aż do ślicznych Puław, skąpanych w gąszczu przedziwnej roślinności...

Zresztą — *quantum mutatum ab illo!...*

Wieczorem prozaiczny wagon kolejowy powiózł nas i wspomnienia nasze aż do Warszawy.



SPIS RZECZY.

Str.

Najnowsze kierunki w historyozofii a wskazania historyografii naukowej 1

Przyczynki do dziejów rozwoju pojęć moralnych na tle zabytków języka polskiego 13

Rozwój dziejopisarstwa polskiego w drugiej połowie XIX-go wieku 29

Kmiecie w Polsce 47

Kiedy Boruta był pacholęciem... 91

Szósty Kongres Międzynarodowego Instytutu Socyologii w Paryżu, odbyty w Londynie w lipcu 1906 roku 233

Jakób Caro 255

Franciszek Piekosiński 275

Konklawe i koronacya Piusa X-go 289

Z wycieczki po kraju (garść wrażeń) 327

2


3 2044 036 472 504

